

# CZAS HURAGANÓW



FERNANDA MELCHOR

Nie dość, że Fernanda Melchor pisze z wściekłą mocą i ostrością odpowiednią do poruszanych tematów, to na każdej stronie udowadnia, że ma do tego odpowiednie oko i ucho, co rzadko widuje się w literaturze meksykańskiej.

Yuri Herrera

FERNANDA MELCHOR

# CZAS HURAGANÓW

PRZEŁOŻYŁA Z HISZPAŃSKIEGO  
Katarzyna Sosnowska



*Ericowi*

*Bo zrzekł się swojej roli  
W codziennej naszej farsie;  
Jego życie się też odmieniło,  
Odmieniło się całkowicie:  
Straszne piękno się narodziło.*  
W.B. Yeats, *Wielkanoc 1916*  
(tłum. Barbara Dziedzic)

*Niektóre z opisywanych tu wydarzeń miały rzeczywiście miejsce.  
Wszystkie postaci są fikcyjne.*  
Jorge Ibarregüen, *Zabite*  
(tłum. Tomasz Pindel)

**D**otarli do kanału przez wąwóz prowadzący od rzeki – proce w pogotowiu, zmrużone oczy, powieki prawie zlepione w blasku południowego słońca. Było ich pięciu, a ich przywódca jako jedyny miał na sobie kąpielówki, kolorowe, połyskujące wśród niskiej trzciny charakterystycznej dla początku maja. Reszta grupy szła za nim w majtkach, czwórka obuta w trzewiki za kostkę, zmieniająca się przy skrzyni z drobnymi kamieniami, które tego ranka wyciągnęli z rzeki; czwórka ze zmarszczonymi brwiami, dzika, tak bardzo gotowa do poświęceń, że nawet najmniejszy z nich nie ośmieliłby się przyznać, że się boi. Szedł, zabezpieczając tyły, trzymał procę z naciągniętą gumą, w kawałek skóry wcisnął otoczek, gotowy zaatakować każdego, kto stanie im na drodze, jeśli tylko wyczuje zasadzkę, usłyszy krzyk z ambony zbudowanej jako strażnica na drzewach za ich plecami albo szuranie gwałtownie odsuwanych liści lub świst kamieni lecących prosto w ich twarze; gorąca bryza, pełna sępników odcinających się od prawie białego nieba, niosąca smród gorszy nawet od garści piasku ciśniętej w twarz, odór, który zachęca do płucia – żeby tylko nie zszedł do żołądka, bo odbiera chęci do dalszego marszu. Przywódca wskazał brzeg wąwozu i cała piątka przeszła po suchej trawie na czworakach, piątka ściśnięta w jedno ciało, piątka otoczona zielonymi muchami, piątka, która wreszcie rozpoznała to, co wyłaniało się z żółtej piany zbierającej się na wodzie: zgniłą twarz trupa pomiędzy gałęziami i plastikowymi workami, które wiatr przywiewał tu z drogi, uśmiechniętą ciemną maskę, w której roilo się od czarnych żmij.

## II

**N**azywali ją Wiedźmą, tak samo jak jej matkę. Była Małą Wiedźmą, gdy stara zajęła się leczeniem i rzucaniem uroków, i po prostu Wiedźmą, kiedy została sama, w roku, w którym osunęła się ziemia. Jeśli miała jakieś inne imię, zapisane na wymiętym przez upływ czasu i nadjedzonym przez robaki papierze skrywanym być może w jednej z tych starych szaf, które stara wypchała torbami i brudnymi ścierami, wyrwanymi kosmykami włosów, kośćmi i resztkami jedzenia, jeśli kiedyś nadano jej imię i przypisano nazwiska jak innym ludziom w miasteczku, nikt nigdy ich nie poznał – nawet kobiety, które co piątek przychodziły do ich domu, nigdy nie słyszały, by matka zwracała się do niej inaczej niż ty głupia, ty oślico, ty pieprzone diabelskie nasienie, kiedy chciała, by Mała do niej przyszła albo żeby się zamknęła, albo po prostu siedziała cicho pod stołem, gdy ona wysłuchiwała skarg kobiet, zawodzeń, jakimi okraszały swoje zmartwienia, niedomagania i bezsenność, sny, w których pojawiali się zmarli krewni, kłótnie z tymi, co jeszcze żyli, i historie o pieniądzach; prawie zawsze chodziło o pieniądze, ale też o męża, o te dziwki z pobocza i o to, że nie wiem, dlaczego mnie zostawił właśnie teraz, kiedy wszystko miało się już ułożyć, płakały. Na co to wszystko, wyły, lepiej po prostu umrzeć, od razu, żeby nikt nie wiedział, że istniały. Wycierały łzy rąbkiem fartucha i wychodząc z kuchni Wiedźmy, zakrywały twarz, żeby potem nie gadano – nigdy nie wiadomo z tymi plotkami w miasteczku – że były u Wiedźmy, bo planowały zemstę, rzucenie uroku na prostytutkę, która wyłudzała pieniądze od ich mężów. Nie brakowało takich, co wymyślały niestworzone historie, kiedy się tylko zwyczajnie szukało lekarstwa na niestrawność dla tego pieprzonego chłopaka, który sam pożarł kilo kartofli, albo herbatki na zmęczenie czy maści na bóle menstruacyjne i tyle. Albo chciało się po prostu usiąść na chwilę w tamtej kuchni, żeby zrzucić ciężar z piersi,

wyżalić się, wywalić bóle, które nieustannie rosły w gardle. Bo Wiedźma słuchała i sprawiała wrażenie, że nic nie jest w stanie jej zadziwić, mówiło się nawet, że zabiła swojego męża, samego Manola Conde, tego skurczybyka, i to z powodu pieniędzy: pieniędzy, domu i ziemi starego, stu hektarów ornych i łąk, które zostawił mu ojciec – tego, co przetrwało z ziemi sprzedawanej po kawałku szefowi Syndykatu Cukrowego, sprzedawanej, żeby nie musieć już nigdy pracować, żeby żyć z czynszów i z interesów, które zawsze brały w łeb. A ten majątek był tak ogromny, że gdy don Manolo zmarł, i tak zostawił jeszcze całkiem spory kawałek, z którego wyciągało się dobry czynsz, tak że synowie starego – dwóch dorosłych już chłopaków z ukończonymi studiami, których don Manolo spłodził ze swoją legalną małżonką mieszkającą w Montiel Sosa – gdy tylko się dowiedzieli o jego śmierci, natychmiast wpadli do miasteczka. Nagły zawał, stwierdził lekarz z Villi, gdy przybyli do domu stojącego pośrodku plantacji trzciny cukrowej, gdzie czuwano przy zmarłym, i właśnie tam, na oczach wszystkich, powiedzieli Wiedźmie, że do jutra ma się wynieść z domu i miasteczka, że chyba oszalała, jeśli sobie myśli, że oni pozwolą, żeby jakaś kurwa przejęła majątek po ich ojcu: ziemię, dom, ten dom, który po tylu latach nadal był w budowie, ten dom wielki i pokraczny, tak jak wielkie i pokraczne były sny don Manola, dom ze schodami i poręczami ozdobionymi gipsowymi cherubinami, z niezwykle wysokimi pomieszczeniami, gdzie pod sufitem nietoperze zakładały gniazda, dom z pieniędzmi ukrytymi ponoć w jednym z pokoi, kupą banknotów, którą don Manolo odziedziczył po ojcu i której nigdy nie zaniósł do banku, no i z brylantem, pierścieniem z brylantem, którego nikt nigdy nie widział, nawet jego synowie, ale o którym mówiono, że to kamień tak wielki, aż wydaje się fałszywy, prawdziwa pamiątka rodzinna, której właścicielką była niegdyś babka don Manola, señora Chucita Villagarbosa de los Monteros de Conde. Klejnot ten zgodnie z prawem ludzkim, a także boskim, należał się matce chłopców, legalnej małżonce don Manola, zaślubionej przed Bogiem i ludźmi, a nie tej podłej przybłędzie, ladacznicy i morderczyni, tej całej Wiedźmie, która nosiła się jak wielka pani, ale była tylko sprzedajną dziwką, którą don Manolo wyciągnął z jakiegoś kurwidołka w puszczy, żeby mieć z kim zaspokajać swoje najniższe instynkty, gdy samotność na

równinie go przycisnęła. No więc to była zła kobieta, bo nikt nie wie, jak – być może za podszeptem diabła, sądzili niektórzy – dowiedziała się o istnieniu ziół, które rosną na wzgórzu, prawie na samym jego wierzchołku, wśród starych ruin – władze mówiły, że to groby starożytnych, tych, co zamieszkiwali te ziemie jako pierwsi, jeszcze przed Hiszpańcami, którzy zobaczyli ze statków to wszystko i powiedzieli: a kuku, te ziemie należą do nas i do królestwa Kastylii, a tamci starożytni, niedobitki, musieli pójść w góry i wszystko wtedy stracili, nawet kamienie, z których zbudowane były ich świątynie, co to zapadły się pod ziemię podczas huraganu z siedemdziesiątego ósmego, kiedy osunęła się ziemia, a błotna lawina pogrzebała ponad dziesięciu mieszkańców La Matosy, stracili też tamte ruiny, gdzie jak mówiono, rosły zioła, które Wiedźma przyrządzała jako truciznę bez smaku ani koloru – nie zostawiała żadnych śladów, bo nawet lekarz z Villi powiedział, że don Manolo zmarł na zawał. Ale ci durni synowie się upierali, że to była trucizna, i potem ludzie winili Wiedźmę także za śmierć synów don Manola, bo w samym dniu pogrzebu, gdy prowadzili kondukt na cmentarz, porwało ich лихо; obaj zginęli pod ciężarem żelaznych drutów, które wypadły z ciężarówki przed nimi. Następnego dnia na zdjęciach w gazecie widać było tylko zakrwawione żelastwo. To było przerażające, bo nikt nie mógł wyjaśnić, jak doszło do wypadku, jak to się stało, że te druty wysunęły się z zabezpieczeń, przebiły przednią szybę samochodu i wszystkich w środku; niejeden stwierdził, że to wina Wiedźmy, że Wiedźma rzuciła na nich urok, żeby nie stracić domu ani ziemi, że ta zła kobieta oddała się diabłu. To mniej więcej w owym czasie Wiedźma zamknęła się w domu i już nigdy z niego nie wyszła, ani za dnia, ani nocą, być może z obawy przed zemstą rodziny Conde albo dlatego, że coś ukrywała, jakiś sekret, z którym nie chciała się rozstawać – było w tamtym domu coś, czego nie chciała zostawić bez opieki. Schudła i zrobiła się blada, strach było patrzeć jej prosto w oczy, sprawiała wrażenie, że oszalała. Kobiety z La Matosy zносиły jej jedzenie w zamian za pomoc, w zamian za jej lekarstwa, wywary sporządzane z ziół, które uprawiała w ogrodzie albo po które wysyłała kobiety na wzgórze, gdy jeszcze istniało. W tamtym też czasie ludzie zaczęli widywać latające zwierzę – nocami prześladowało mężczyzn wracających



do domu bocznymi drogami między miasteczkami. Wyciągało szpony, gotowe ich ranić albo być może chwycić i zabrać do piekła; jego oczy świeciły przerażającym blaskiem. Wówczas pojawiły się też pogłoski o figurze, którą Wiedźma trzymała w ukryciu w jednym z pomieszczeń domu, najpewniej na piętrze, gdzie nigdy nie pozwalała nikomu wchodzić, nawet kobietom, które ją odwiedzały. Mówiono, że zamykała się tam, by odbywać stosunki cielesne z tą figurą będącą ogromnym wizerunkiem diabła z członkiem długim i grubym niczym ramię mężczyzny z nożem myśliwskim – niesamowity kutas, na który Wiedźma nadziewała się każdej nocy. Dlatego powtarzała, że niepotrzebny jej chłop, i rzeczywiście po śmierci don Manola nie widywano tej czarownicy z żadnym facetem, bo niby jak, skoro nieustannie ciskała gromy na mężczyzn, mówiła, że wszyscy są pijakami i śmierdzącymi leniami, że to pieprzone wściekłe psy, nikczemne knury, że wolałyby pierwiej umrzeć, niż pozwolić, by któryś z tych wałkoni przekroczył próg jej domu, i że one, kobiety z miasteczka, są durne, skoro ich znoszą. Oczy jej błyszczały, gdy to mówiła, i przez chwilę znowu była piękna, ze zmierzwionymi włosami i zaróżowionymi z podniecenia policzkami, a kobiety z miasteczka na ten widok robiły znak krzyża, bo wyobrażały sobie ją nagą, jak dosiada diabła i zanurza w sobie groteskowego kutasa do samego końca, a nasienie ścieka jej po udach, czerwone jak lawa albo zielone jak ten wywar, który bulgocze w kociołku nad ogniem i którym Wiedźma poi kobiety łyżkami, by wyleczyć je z ich dolegliwości, a może czarne jak smoła, czarne jak wielkie źrenice i skołtunione włosy dziecka, które pewnego dnia odkryły pod stołem w kuchni uczepione spódnicy Wiedźmy. Dziecko było nieme i tak cherlawe, że wiele z tych kobiet modliło się w duchu, by nie przetrwało zbyt długo, by nie cierpiało. Jakiś czas później to samo dziecko odkryto u stóp schodów, z otwartą książką na skrzyżowanych nogach, gdy w ciszy obracało językiem słowa, które odczytywały wielkie czarne oczy. Wiadomość o tym w kilka godzin obiegła okolicę i dotarła aż do Villi: a więc córka Wiedźmy nadal żyje. Dziwna sprawa, jako że zdeformowane stworzenia, które od czasu do czasu rodziły zwierzęta – kozły o pięciu nogach lub kurczęta o dwóch głowach – umierały kilka dni po otwarciu oczu, córka Wiedźmy natomiast, Mała, jak od tamtej pory

zaczęto ją nazywać, to dziecko zrodzone w tajemnicy i wstydzie, rosła i nabierała sił; w niedługim czasie mogła już wykonywać wszelkie polecenia matki: rąbać drewno i przynosić wodę ze studni, chodzić aż na rynek w Villi, trzynaście i pół kilometra w jedną stronę, z wypełnionymi torbami i koszami na plecach, bez zatrzymywania się nawet na chwilę odpoczynku, nie mówiąc nawet o tym, by miała zejść ze ścieżki albo wałęsać się z innymi dziewczuchami z miasteczka, bo żadna z nich nie ośmielała się do niej zagadać, żadna z nich nawet nie wyśmiewała się z Małej, z jej kędzierzawych skołtunionych włosów, obdartych ubrań i wielkich bosych stóp, z tego, że była tak wysoka i nieforemna, tak śmiała jak chłopak i inteligentniejsza od nich wszystkich. Później wszyscy się dowiedzieli, że to właśnie ona zajmowała się rachunkami, negocjowała czynsze z ludźmi z Syndykatu, którzy dalej uprawiali resztki tego latyfundium i czyhali na jakiś fałszywy ruch ze strony Wiedźm, by za pomocą sztuczek prawnych je wywłaszczyć, korzystając z tego, że nie było żadnych papierów, że nie było żadnego mężczyzny, który by ich bronił. Choć wcale nie był potrzebny, bo Mała nie wiadomo jak nauczyła się prowadzić interesy i okazała się wręcz niezłą suką, gdy pewnego dnia pojawiła się w kuchni i wyznaczyła cennik na usługi Starej – która choć nie skończyła jeszcze czterdziestu lat, wyglądała na sześćdziesiąt z powodu zmarszczek, siwych włosów i zwisającej skóry. Stara już wtedy mało kontaktowała i zapominała pobierać opłaty albo zadawała się tym, co przynosiły jej kobiety: ciastem, kwartą suchej ciecierzycy, tutką na wpół zgniłych cytryn albo zarobaczoną kurą – co tu dużo gadać, były to gówniane datki – aż wreszcie Mała Wiedźma położyła kres temu wyzyskowi i pewnego dnia zjawiła się w kuchni i swoim ochrypłym, nieprzyzwyczajonym do mówienia głosem stwierdziła, że dary, które kobiety znosiły, nie wystarczają jako zapłata za poradę i że dalej tak być nie może, więc ustaliła cennik w zależności od trudności tego, z czym przychodziły, wysiłku matki oraz rodzaju magii. Jakże można było przecież liczyć tyle samo za wyleczenie hemoroidów i za sprawienie, by obcy mężczyzna rzucił się do stóp zainteresowanej, albo za rozmowę ze zmarłą matką, żeby się dowiedzieć, czy wybaczyła to, że się ją zaniedbało za życia, prawda? Tak więc od tamtej pory wszystko miało się zmienić i wielu kobietom wcale się to nie

spodobało, i przestały przychodzić w piątki, a gdy źle się czuły, odwiedzały tamtego pana z Palogacho, który wydawał się skuteczniejszy od Wiedźmy, gdyż przyjeżdżali do niego nawet ludzie ze stolicy, gwiazdy telewizji, piłkarze, politycy. Tyle że kazał sobie słono płacić za swoje usługi, a skoro większość kobiet nie miała nawet za co pojechać autobusem do Palogacho, powiedziały Małej, że no więc dobra, zgodziły się na to, co ustaliła, choć martwiły się, co będzie, gdy przyniosą jedynie to, co mają. A Mała wyszczerzyła swoje wielkie zęby i powiedziała, żeby się nie martwiły; jeśli to nie wystarczy, mogą dać coś w zastaw, na przykład tamte kolczyki, które miałaś na sobie ostatnio, albo łańcuszek twojej córki, albo po prostu garnek na jagnięcinę, kawiarękę, radio, rower. Przyjmowała wszystko, a jeśli spóźniały się z wykupem zastawu, doliczała im odsetki, bo z dnia na dzień zaczęła też pożyczać gotówkę, na trzydzieści pięć procent lub więcej, i całe miasteczko gadało, że są to zwyczajne diabła, że kto to widział, żeby jakaś dziewczyna była tak sprytna, skąd jej się to wzięło. Nie brakowało też takich, co szemrali w barze, że te odsetki to rozbój w biały dzień, że trzeba by oddać tę pierdoloną sukę w ręce władz, zgłosić na policję, niech ją wsadzą za spekulację i nadużycia, co sobie myśli, że będzie wyzyskiwać ludzi z La Matosy i pozostałych wiosek, ale gdy przychodziło co do czego, nikt nic nie robił, bo kto dałby im pieniądze za te ich żałosne fanty, poza tym nikt nie chciał stać się wrogiem Wiedźm, tak naprawdę wszyscy się ich bali. Nawet mężczyźni z miasteczka niechętnie przechodzili nocą obok tamtego domu. Wszyscy wiedzieli o dobiegających z jego wnętrza hałasach, krzykach i zawodzeniu, które słychać było z drogi. Ludzie wyobrażali sobie, że były to dźwięki wydawane przez obie Wiedźmy spółkujące z diabłem, choć niektórzy sądzili, że to raczej przejaw tego, że Stara Wiedźma osuwa się w szaleństwo, bo w owym czasie prawie już nie rozpoznawała nikogo i co chwilę wpadała w trans, a ludzie powtarzali, że to kara boska za jej grzechy i świństwa, a przede wszystkim za to, że urodziła tę diabelską dziedziczkę. Kobiety czasami się ośmielały i pytały ją, kto jest ojcem Małej; była to niewyjaśniona tajemnica, jako że nikt dobrze nie wiedział, kiedy dziecko przyszło na świat, w każdym razie don Manolo już wtedy nie żył od wielu lat, a nikt nic nie słyszał o nowym mężu Wiedźmy, ponadto nie opuszczała ona domu i nie chodziła na

tańce. Kobiety tak naprawdę chciały się dowiedzieć, czy to nie ich mężowie zrobili jej to pokraczne dziecko. Włosy stawały im dęba, gdy Wiedźma z ponurym uśmiechem wbijała w nie wzrok i odpowiadała, że Mała jest córką diabła i że na Boga, nawet go przypomina, bo wystarczy przyjrzeć się dziewczynie i porównać ją z wizerunkiem diabła, którego święty Michał Archanioł pokonuje na obrazie w kościele w Villi, wystarczy przyjrzeć się jego oczom i brwiom. Na te słowa kobiety czyniły znak krzyża i czasami śniło im się potem, że ściga je diabeł ze sztywnym kutasem, żeby zrobić im dziecko, wtedy budziły się ze łzami w oczach, wilgotnym wnętrzem ud i obolałym podbrzuszem, biegły do Villi, żeby się wypowiadać przed ojcem Casto, który beształ je za wiarę w czary. Byli też tacy, którzy wyśmiewali te wszystkie plotki, mówili, że Stara po prostu zwariowała i zapewne ukradła Małą w jakiejś wiosce. Inni powtarzali opowieść Sarajuany, jak to pewnej nocy przyszli do jej baru młodzieńcy, nie byli z La Matosy i prawdopodobnie nawet nie z Villi, sądząc po ich mowie, i że po pijaku zaczęli się chwalić, jak to potraktowali taką jedną z La Matosy, która zabiła swojego męża i podawała się za wielką czarownicę. Sarajuana od razu nadstawiła uszu, a oni opowiadali, jak wpadli do tamtego domu, pobili kobietę, żeby zachowywała się spokojnie, i jak wszyscy ją wypieprzyli, bo ta pierdolona stara mogła sobie być wiedźmą, ale miała ciało jak ta lala, smakowity kąsek, i widać było, że to jej się spodobało, bo wiła się i krzyczała, gdy ją pieprzyli. Wszystkie baby w tej pieprzonej dziurze to dziwki, powiedzieli, i nie zabrakło – bo nigdy nie brakuje, Sarajuana dobrze o tym wie – jakiegoś idioty, który obraził się za te słowa o dziurze i wdał w kłótnię, rzucił się na nich i wszyscy obecni spuścili niezły wpierdol tym chłopakom, ale ostatecznie nikt nie wyciągnął maczety, może dlatego, że szybko ich powalili, a może panował zbyt wielki upał, żeby te słowa o dziurze potraktować tak zupełnie serio, no i nie było kobiet, którym można byłoby zaimponować, nawet tych kościstych biedaczek, co to przychodziły, żeby sprzedać się za piwo – żadnej kobiety, tylko faceci i Sara, która w owym czasie była dla nich jak mężczyzna, o ciemnej twarzy i nieodłącznych wąsach, grzejąca w ręce butelkę piwa pod skrzypiącym wentylatorem. Sarajuana z trudem przedzierała się przez gęstą mgłę,

którą wydzielały ich ciała, a magnetofon, *sianeczko dla królika*, samotnie grzmiał obok świecy, *zieloną trawkę skoszę mu*, przed obrazkiem przedstawiającym Martína Caballero, *żeby nakarmić króliczka*, i aloesem przywiązany do listewki zamoczonej w wodzie święconej, *który już z głodu niecierpliwi się, o tak*, i w gorzałce z trzciny cukrowej, *żeby odsunąć zawiść*, wyjaśniła Wiedźma, *żeby odesłać zło do tego, kto na nie zasługuje, kto je szerzy*. Dlatego na kuchennym stole w tamtym domu, na samym środku, na talerzu posypanym grubą solą zawsze leżało czerwone jabłko przecięte od góry do dołu cienkim nożem, do tego biały goździk, a kobiety, które w każdy piątek rano przychodziły wcześniej w odwiedziny, stwierdzały, że wszystko zwiędło i zmizerniało, jakby się zepsuło, nadgryzione żółcią spowodowaną przez złe wibracje, jakie same zostawiały w tym domu, rodzaj negatywnych prądów, które we własnym mniemaniu kumulowały w sobie w czasach nieszczęść i katastrof, a z których Wiedźma potrafiła je oczyścić za pomocą swoich lekarstw. Były to gęste, choć niewidoczne miazmaty, które utrzymywały się w powietrzu w tym zamkniętym domu, bo nikt nie wiedział dokładnie, kiedy Stara dostała obsesji na punkcie okien, ale na pewno gdy Mała już raczkowała w mrocznym salonie po drugiej stronie kuchni, tam gdzie nikt nigdy nie odważył się wejść, wszystkie okna zostały już zamurowane – Stara zrobiła to własnymi rękami – zabite dechami, zasłonięte pustakami, cementem i drutem, i nawet główne drzwi z prawie czarnego dębu, te same drzwi, przez które wyprowadzono trumnę don Manola, by pochować go w Villi, nawet te drzwi zabarykadowała cegłą i kawałkami drewna, i czym się dało, żeby już nigdy ich nie otworzyć. Do domu można było się dostać tylko przez drzwiczki kuchenne od strony podwórza, bo Mała musiała jakoś wychodzić po wodę, żeby się zająć ogrodem czy załatwić sprawunki, a skoro Wiedźma nie mogła zamknąć tamtych drzwiczek, zamówiła kratę grubszą niż te w celach na posterunku w Villi, a przynajmniej tak twierdził kowal, który ją zrobił, i zamykała ją na mającą rozmiary pięści kłódkę, do której klucz zawsze nosiła na lewej piersi pod gorsetem. Kobiety z miasteczka coraz częściej natykały się na zamkniętą kratę i ponieważ nie ważyły się zapukać, czekały, a czasami słyszały krzyki, bluźnierstwa i jęki Starej, która rzucała meblami o ściany i wywracała je na

podłogę, sądząc po hałasach dochodzących na zewnątrz, podczas gdy Mała – sama opowiadała to po latach dziewczynom z pobocza – chowała się pod kuchennym stołem, ściskając w rękę nóż i zwijając się w kłębek, jak wtedy, gdy była dzieckiem i całe miasteczko sądziło, że umarła, liczyło na to, a nawet się modliło o jej rychłą śmierć, aby nie musiała cierpieć, gdyż wcześniej czy później diabeł upomni się o swoje i wtedy ziemia się rozpadnie i obie Wiedźmy wpadną w przepaść, prosto do jeziora piekielnego ognia; jedna, bo jest demonem, druga za wszystkie zbrodnie popełnione za pomocą czarów: otrucie don Manola i rzucenie uroku na jego synów, kastrowanie mężczyzn z miasteczka i osłabianie ich swoimi robótkami i czarami, a przede wszystkim za wyciąganie z łona złych kobiet prawie posianego tam nasienia, rozpuszczanie go w truciźnie, jaką przyrządzała każdej, która o to prosiła. Przepis na truciznę przekazała Małej, zanim zmarła, gdy zamknęły się w domu w dniach poprzedzających osunięcie się ziemi w roku siedemdziesiątym ósmym – wtedy huragan uderzył w wybrzeże z wściekłością, a donośne pioruny przez całe dni łączyły wodę i niebo, zatapiając pola i niszcząc wszystko, topiąc zwierzęta, którym z powodu strachu przed wiatrem i piorunami nie udało się na czas opuścić zagród, a także dzieci, których nikt nie wziął na ręce, gdy wzgórze się rozpadło i runęło w dół z łomotem opadających kamieni i wydartych z korzeniami dębów, a czarne błoto pochłonęło wszystko, rozlało się po wybrzeżu i zamieniło w cmentarz trzy czwarte zamieszkanego terenu – wszystko to na zaczerwienionych od płaczu oczach tych, którzy przeżyli, bo udało im się chwycić gałęzi mangowców, gdy zaatakowała woda, i wytrzymali wtuleni w korony drzew, aż żołnierze przyплыnęli łódkami i zdjęli ich stamtąd, gdy tylko ustał szal wiatru pochłonięty przez łańcuch górski, słońce przedarło się przez ołowiane chmury, a ziemia znów zaczęła twardnieć. Wtedy przemoknięci do szpiku ludzie z ciałami pokrytymi porostami podobnymi do małych koralików, niosąc zwierzęta i dzieci, które przeżyły, przybyli procesją do Villagarbosy, by szukać schronienia. Zajęli parter ratusza, atrium kościoła i nawet szkoła zawiesiła lekcje, by przez wiele tygodni gościć ich z całym dobytkiem i tym ich zawożeniem, z ich listami zmarłych i zaginionych, na których znajdowały się Wiedźma i jej diabelska córka, bo po kataklizmie nikt ich nie

widział. Dopiero wiele tygodni później Mała Wiedźma pojawiła się pewnego poranka na ulicach Villi, cała w czerni – czarne rajstopy i czarne włosy na nogach, czarna bluzka z długimi rękawami, spódnica i buty na obcasie. Miała też woalkę, którą przypięła sobie spinkami do długich ciemnych kosmyków zebranych wysoko na czubku głowy. Wszyscy osłupieli na jej widok, nie wiadomo tylko, czy bardziej ich on przeraził czy rozśmieszył, bo wyglądała komicznie – żeby w tym upale, w którym mózg się wręcz gotował, ubrać się na czarno, chyba zwariowała, idiotka, skąd ta potrzeba robienia z siebie stracha na wróble jak ci transwestyci, którzy co roku zjeżdżali na karnawał do Villi. Co prawda nikt nie odważył się otwarcie jej wyśmiewać, gdyż w tamtych dniach wielu straciło swoich bliskich i widząc ją w tym przebraniu bogini Parki, z godnością, choć zarazem z pewnym zmęczeniem powłócząc nogami w stronę targu, domyślili się, że Stara Wiedźma zeszła z tego świata, prawdopodobnie pogrzebana w błocie, które pochłonęło pół miasteczka. To była brzydka śmierć, choć w gruncie rzeczy ludziom wydała się zbyt łaskawa jak dla kogoś, kto prowadził grzeszne sprzedajne życie; i nikt, nawet kobiety, nawet te, które odwiedzały Wiedźmę co piątek, nie miały odwagi spytać żałobniczki, co teraz będzie, kto zajmie się leczeniem, czarami, i musiały minąć lata, zanim ludzie wrócili do domu położonego wśród plantacji trzciny; w owym czasie La Matosa powoli się odbudowywała, wypełniała na nowo chałupami i szopami stawianymi na kościach tych, którzy zginęli pod zwałami ziemi. Napływali ludzie z zewnątrz, przyciągała ich przede wszystkim budowa nowej drogi, która przecięła Villę, by połączyć stolicę i port z niedawno odkrytymi złożami ropy na północy, za Palogacho. Na tej budowie stawiano baraki i jadłodajnie, a potem bary, gospody, nocne kluby i burdele, w których zatrzymywali się kierowcy, inżynierowie, obwoźni sprzedawcy i robotnicy, by na chwilę oderwać się od monotonii drogi otoczonej trzcina cukrową, kilometrami trzciny i łąk, sitowia pokrywającego ziemię od samej krawędzi asfaltu po górskie zbocza na zachodzie albo – na wschodzie – aż po strome wybrzeże zawsze tutaj wściekłego morza. Trzciny, trzciny i rozłożyste chaszczki pokryte pnączami, które w porze deszczowej rosły w zatrważającym tempie, grożąc, że pochłoną domy i uprawy, więc mężczyźni musieli je powstrzymać za pomocą maczet

– pochylali się na poboczu, na brzegach rzeki, nad polami, zanurzając stopy w gorącej ziemi, niektórzy z nich zbyt zajęci i zbyt dumni, by odpowiadać na melancholijne spojrzenia, które kierował na nich z daleka, z polnej ścieżki, ten ubrany na czarno duch krążący po pustych zakątkach miasteczka, po działkach, gdzie pracowały ekipy żółtodziobów: chłopcy dopiero co przyjęci do roboty za głodowe stawki, młodzieńcy, którym nie urosła jeszcze broda, elastyczni jak liny, z mięśniami ramion, nóg i brzucha wyrzeźbionymi przez pracę, palące słońce i bieganie za szmacianą piłką po boisku każdego popołudnia, a także szalone wyścigi – kto pierwszy dobiegnie do cysterny z wodą, kto pierwszy wskoczy do rzeki, kto pierwszy złapie monetę rzuconą z brzegu, kto pluje najdalej, gdy siedzą na pniu figowca wiszącym nad spokojną wodą o zachodzie słońca, ich krzyki i śmiechy, smukłe nogi kołyszą się w tym samym rytmie, ramiona się dotykają, plecy lśnią niczym wypolerowane skórzane kurtki. Chłopcy są tak błyszczący i ciemni jak ziarno tamaryndowca albo kremowi jak ciągutki czy też delikatna masa dojrzałego sączyńca. Skóra o kolorze cynamonu, o kolorze mahoniu wpadającym w odcień drzewa różanego, wilgotna i żywa, z daleka, z tego pnia położonego wiele metrów od miejsca, z którego podglądała ich Wiedźma, wydawała się napięta, lecz mocna i nabrzmiała niczym kwaśny miąższ zielonych owoców; nie sposób się jej oprzeć, taka skóra, która najbardziej się jej podobała, o którą błagała bezgłośnie, koncentrując całą siłę swych pragnień w penetrującym spojrzeniu swoich czarnych oczu, zawsze czająca się w chaszczach albo sparaliżowana pożądaniem na skraju działek, z nieodłącznymi torbami na sprawunki wiszącymi na jej ramionach i oczami wilgotnymi od widoku piękna tych zakwitających ciał. Podnosiła woalkę, żeby lepiej ich widzieć, żeby lepiej czuć ich woń, żeby w wyobraźni degustować słony zapach, który młodzieńcy wydzielają na tej równinie, rozpuszczają w bryzie, co to pod koniec roku zmienia się w nieprzyjemny wiatr wprawiający w wibracje liście trzciny cukrowej i luźno wystające słomki kapeluszy oraz końcówki ich kolorowych chustek, a także w płomienie przebiegające przez plantację trzciny i popielące zwiędłe grudniowe krzaki. Ten wiatr już w Dniu Niewiniątek zaczynał wydzielać zapach spalonego cukierka, pojawiała się woń kłótni, powolne kołysanie się



ostatnich ciężarówek do pełna załadowanych szerniałą trzcina, odjeżdżających w stronę siedziby Syndykatu pod zawsze zachmurzonym niebem. Wtedy chłopcy chowali maczety, nawet nie czyszcząc ich z soku, i biegli na pobocze, by się pozbyć zarobionych potem i tkanką swych wyczerpanych ciał pieniędzy, jakby paliły ich w ręce. Między kolejnymi łykami ciepłego piwa wyjętego ze starej lodówki Sarajuany, zagłuszającej swym terkotem dźwięki cumbii, *tumpa, tumpa, co przychodzi na myśl jako pierwsze*, zebrani wokół plastikowego stolika, *soczysta maleńka, co już dojrzała*, wracali do wydarzeń ostatnich tygodni i czasami się okazywało, że wszyscy ją widzieli, a niektórzy nawet natknęli się na nią na jakiejś ścieżce. Oni nie nazywali jej Małą Wiedźmą, tylko po prostu Wiedźmą, z powodu swojej ignorancji i młodości mylili ją ze Starą i z tymi przerażającymi opowieściami, które słyszeli od kobiet z miasteczka, gdy byli mali: o Płaczce, co w złości zabiła wszystkie swoje dzieci i otrzymała za to karę wieczną na ziemi, gdy żal za grzechy przemienił ją w okropnego upiora o twarzy upartego muła i nogach pokrytych włosami niczym nogi pająka. O Dziewczyńce w bieli, duchu, który się pokazuje, gdy nie słuchasz babki i wychodzisz nocą z domu, by błaznować, a Dziewczynka w bieli idzie za tobą i gdy najmniej się tego spodziewasz, woła cię nagle po imieniu, a kiedy się obracasz, umierasz ze strachu na widok jej trupiej twarzy. Wiedźma była dla nich podobnym stworzeniem, tyle że znacznie bardziej interesującym przez to, że była prawdziwa, była osobą z krwi i kości przechadzającą się po targu w Villi, pozdrawiającą przekupki, nie była jak te fantastyczne stwory wysane z palca matek, babek i ciotek – te pieprzone plotkary po prostu nie chcą, żeby chłopaki się włóczyły po okolicy, co nie?, żeby czerpały radość z zabawy, jakiej przysparza wyjście z domu nocą, błaznowanie, straszenie pijaków i podrywanie prostytutek. Jaka tam Wiedźma, bez jaj, mówili, ta stara potrzebuje chłopca, stwierdzał jeden bystry, jeśli Wiedźma ma mi obciągnąć, to niech zacznie tutaj, od samego korzenia, wtrącał drugi, i chwycił się za jądra. Wśród żartów i uśmiechów, bekania i walenia pięścią w stół, wśród wybuchów śmiechu przypominających wycie nie brakowało gagatka, który myślał o tych wszystkich terenach i tych wszystkich pieniądzach, jakie prawdopodobnie ukrywała w kufrach

i workach pełnych złotych monet, i o tym, że z całym tym bogactwem Wiedźma z trzciniowiska mogłaby swobodnie kupić sobie to, co oni dawali za darmo dziewczynom z miasteczka i niektórym zagubionym durniom, którzy na to zasługiwali, co nie? Nikt jednak nie wie, kto zrobił to pierwszy, kto zebrał się na odwagę, by nocą pójść do domostwa czarownicy, pilnując, żeby nikt nie zobaczył, jak zatrzymuje się przed kratą naprzeciwko drzwi kuchennych, które nagle się otworzyły i ukazały bardzo wysoką chudą kobietę z pękiem kluczy dźwięczącym w dłoniach bladych niczym kraby o pomarańczowym pancerzu. Te dłonie wynurzały się chwilami spod czarnych rękawów tuniki, które sprawiały wrażenie, że unoszą się w ciemnościach. Prawie nie było widać blasku żaru pod kociołkiem, choć kuchnia wypełniała się kamforową mgiełką, a zapach przez kilka dni utrzymywał się we włosach młodzieńców, którzy zdobywali się na odwagę z powodu ambicji albo dla adrenaliny, bo trawiła ich gorączka lub mieli taką potrzebę, więc zadawali się z cieniem, który każdej nocy ich w drzeniu oczekiwał. Robili to jak najszybciej i natychmiast po tym ruszali biegiem ścieżką przez pola, ku drodze, znowu bezpieczni u Sarajuany, gdzie pieniądze, które cień wciskał ci do kieszeni, gdy wreszcie się zdecydował wypuścić cię, przemieniały się w ciepłe piwo. Nawet nie musiałem na nią patrzeć, chwalił się ten czy tamten chojrak każdemu, kto chciał go słuchać; nie musiałem nic robić, tylko wystarczyło się oprzeć na rękach i pozwolić się wylizać ustom, które również były niczym cień, pojawiały się i znikwały za szorstkim brudnym materiałem okrywającym głowę, podnoszącym się tylko wtedy, gdy było to niezbędne. Nigdy nie odsłaniała całości, za co tamci w pewnym sensie byli wdzięczni, tak jak byli wdzięczni za prawie absolutną ciszę, w jakiej się to odbywało, bez jęków ani westchnień, żadnych zabaw czy słów, tylko ciało przeciwko ciału i nieco śliny w przymglonym mroku kuchni lub w korytarzach ozdobionych wizerunkami nagich kobiet, których papierowe oczy wydarto paznokciami. A gdy plotka, że Wiedźma płaci, dotarła do Villi i pozostałych wiosek po tej stronie rzeki, pojawiły się procesje, nieustanne pielgrzymowanie chłopców i już dorosłych mężczyzn, którzy kłócili się o to, kto wejdzie pierwszy, a czasami pojawiali się tylko po to, by się zabawić, w furgonetkach, z radiem na cały głos,

wnosili do kuchni skrzynki piwa i zaraz zamykali się w środku, skąd słyhać było muzykę i hałas jakby imprezy, ku przerażeniu sąsiadek i przede wszystkim nielicznych przyzwoitych kobiet, które się jeszcze ostały w miasteczku – wówczas już całkowicie opanowanym przez dziry i kurwy, co to przyjechały nie wiadomo skąd w ślad za pieniędzmi, jakie ropa zostawiała za sobą. Były to dziewczyny o chudych biodrach i grubym makijażu, które za jedno piwo pozwalały wsadzać sobie rękę pod spódnicę, a podczas tańca nawet palce. Były też dziewczyny całkiem krągłe, sprawiające wrażenie, że ich tłuszcz rozpływa się z powodu zepsutych wentylatorów; te po sześciu godzinach imprezowania nie wiedziały już, co jest bardziej męczące: godzina miętoszenia kutasa faceta, który ją sobie wybrał, czy udawanie, że naprawdę słyha tego, co on jej opowiada. Wreszcie weteranki, które gdy nikt ich nie prosił, tańczyły same na środku parkietu z udeptanej ziemi, upojone cumbią i wódką, zatracone w amnezyjnym rytmie tumpa, tumpa. No i dziewczyny przedwcześnie postarzałe, wyrwane nie wiadomo z jakiej dziury przez ten sam wiatr, który bawił się plastikowymi torebkami w kanałach. Kobiety zmęczone życiem, kobiety, które szybko się przekonywały, że nie dadzą już rady wymyślać się na nowo z każdym poznanym facetem, kobiety, które śmiały się szczerze, odsłaniając zepsute zęby, gdy przypominały sobie swoje złudzenia z przeszłości, jedyne, które – zachęczone przynoszonymi przez baby z miasteczka pogłoskami i opowieściami, których słyhały, gdy szły prac nad rzekę albo czekały w kolejce na swój przydział mleka – odważyły się pójść do Wiedźmy, do jej zagubionego wśród pól domu. Pukały do jej drzwi, a gdy ta wariatka we wdowim ubraniu wyjrzała przez szparę, wówczas zaczynały ją błagać, niech im pomoże, niech im przyrządzi te wywary, o których nadal mówiły kobiety w miasteczku: kleiki, dzięki którym można zniewalać mężczyzn, zupełnie sobie ich podporządkować; breje, które sprawiają, że mężczyźni na zawsze dają sobie spokój; herbatki, dzięki którym po prostu się o nich zapomina; wreszcie wywary, które niszczą nasienie spuszczone w ich brzuchy przez tych bydlaków, co to natychmiast umknęli w swoich ciężarówkach; no i tamte jeszcze silniejsze mikstury, które podobno odciągają duszę od kuszącego blasku samobójstwa. Ostatecznie tylko tym kobietom Wiedźma zdecydowała się pomagać

i co dziwne, nie brała od nich zapłaty, no i dobrze, bo większość dziewczyn z pobocza często nie miała na jedzenie, a wiele z nich nie posiadało na własność nawet ręcznika, którym ocierały się z wydzielin mężczyzn. Być może robiła to, bo te dziewczyny nie wstydziły się chodzić do niej z odkrytą twarzą, pokazywać swoich krągłych pośladków i zachrypniętymi od dymu i braku snu głosami krzyczeć: Wiedzmo, Wiedzmulko kochana, otwórz mi, ty nieboskie nasienie, bo znowu wpadłam, i wtedy pojawiała się Wiedźma, ubrana w czarną tunikę, ze skołtunionymi włosami, która w świetle dnia w zasyfionej kuchni, gdzie parował kociołek, a podłoga pokryta była błotem i zaschlą krwią, nie mogła ukryć siniaków pokrywających jej powieki ani strupów na twarzy i łukach brwiowych. Tylko tym dziewczynom Wiedźma zwierzała się czasem ze swoich trosk, być może dlatego, że one ją rozumiały, w końcu na własnej skórze odczuwały kurewski ciężar męskich nałogów, a nawet żartowały sobie i nakłaniały ją do śmiechu, żeby zapomniała o ciosach, żeby zdradziła imiona tych sukinsynów, którzy ją pobili, którzy przychodzili do jej domu i przewracali meble, bo byli nabuzowani i żądali pieniędzy, skarbu, który ponoć Wiedźma ukrywała w domu, złotych monet i tamtego pierścionka z brylantem, który miał być wielki jak pięść; chociaż Wiedźma przysięgała im, że to nieprawda, że nie ma żadnego skarbu, że ona sama żyje z czynszów za resztki ziemi, kilka skrawków dookoła domu, na których Syndykat Cukrowy zbiera trzcinę, i wystarczy zobaczyć, jak mieszka, przyjrzeć się tej ruinie zastawionej garnkami i zgniłymi pudłami oraz workami na śmieci pełnymi papierów i szmat, i łyka, i kaczanów, i kołtunów z załupieżonych włosów, i kurzu, i kartonów po mleku, i pustych plastikowych butelek, tylko pieprzone śmieci, tylko pieprzone resztki, które jej prześladowcy rozwalali, gdy próbowali otworzyć drzwi do pokoju na górze, do sypialni od lat, od czasów jej matki, zamkniętej, zamurowanej od wewnątrz; Stara zrobiła to jeszcze podczas jednego ze swoich ataków: oparła wszystkie znajdujące się tam meble o drzwi z litego dębu, tak że tylko zebrany siłom siedmiu policjantów, którzy egzekwowali prawo w Villagarbosie – do czego wliczało się sto trzydzieści kilo komendanta Rigorita – udało się wreszcie przełamać tę zaporę w tym samym dniu, gdy ciało biednej Wiedźmy pojawiło się

w kanale obok Syndykatu. Przerazająca sprawa, stwierdzili ludzie, bo gdy chłopcy znaleźli trupa, był już zupełnie napęczniały, oczy wyszły z orbit, a zwierzęta zjadły część twarzy i wydawało się, że biedna wariatka się uśmiecha, przerażające, no, co za pech, niech to diabli, bo ona w gruncie rzeczy była całkiem dobra i zawsze im pomagała, bez opłaty i nie żądając niczego w zamian, najwyżej odrobiny towarzystwa. Dlatego się odważyły i wśród dziewczyn z pobocza i niektórych pracujących w barach Villi zebrały nieco grosza, by godnie pogrzebać biedne zgniłe ciało Wiedźmy, tyle że te przydupasy ministerstwa z Villi – niech te pozbawione serca sukinsyny się wałą i pierdolą własne matki – nie chcieli wydać ciała kobietom, po pierwsze dlatego, że było ono dowodem w sprawie i śledztwo nadal się nie zakończyło, a po drugie dlatego, że nie przedstawiły papierów wskazujących na jakiegokolwiek więzy rodzinne z ofiarą, toteż nie miały prawa zająć się ciałem. Pierdolone obiboki – jakie niby chcieli papiery, skoro w miasteczku nikt nie wiedział, jak się ta biedna czarownica nazywa, nawet ona sama nie знаła swojego imienia, mówiła, że go nie ma, że matka wołała na nią tylko ty głupia, ty oślico, ty pieprzone diabelskie nasienie, mówiła, powinnam była cię zabić, gdy się urodziłaś, powinnam była wrzucić cię do rzeki, pierdolona Stara, pierdolona łajdaczka; ale jeśli dobrze się przyjrzeć jej sytuacji, miała powody, by się w ten sposób zachowywać po tym, co te bydlaki jej zrobiły; biedna Wiedźma, biedna wariatka, oby chociaż złapali tego szakala czy szakale, które poderznęły jej gardło.

### III

Tamtego dnia Yesenia poszła nad rzekę wcześniej rano i spotkała go w drodze powrotnej. Szedł ścieżką, potykając się, bosy i bez koszuli, z puszką przyciśniętą do piersi; kolana miał odrapane. Z całą pewnością był pijany albo pod wpływem narkotyków, bo poza tym, że w ogóle odważył się do niej zbliżyć, miał jeszcze czelność zapytać Yesenię, jak woda w rzece, a ona nie zniżyła się nawet do tego, żeby na niego spojrzeć, głęboko obrażona, że jej kuzyn ośmielił się do niej odezwać jak gdyby nigdy nic, jakby nie minęły trzy lata, odkąd przestali ze sobą rozmawiać, tylko najbardziej suchym tonem, na jaki mogła się zdobyć, powiedziała, że woda jest świetna, a potem odwróciła się do niego plecami i poszła w stronę domu, myśląc o tym wszystkim, co powinna powiedzieć temu sukinsynowi, o tym wszystkim, do czego doprowadziły popełnione przez niego świństwa, jakie nieszczęścia sprowadziły one na rodzinę – poczynając od choroby babki po tamtym wybuchu wściekłości, który sprawił, że w połowie ją sparaliżowało, a po roku upadła i złamała biodro, z czego dotąd nie wyszła i być może nigdy już nie wyjdzie; wystarczyło się przyjrzeć, jak biedaczka chudła i nikła w oczach, choć nadal miała charakterek, jak zawsze, i dręczyła Yesenię, wspominając ciągle tego pieprzonego chłopaka: kiedy ten skurczybyk przyjdzie ją odwiedzić, dlaczego nie chce przedstawić jej swojej pani. Bo nie wiadomo jak doszły do niej słuchy, okazywała się głucha tylko wtedy, gdy było jej to na rękę, ale na pewno doszły do niej plotki Blondyn, które opowiadały, że chłopak spiknął się z jedną taką przyjezdnią i sprowadził ją do chaty, którą zbudował za domem swojej jebanej matki. Babka nieustannie dręczy i wkurwia Yesenię: jaka jest ta cała dziewczyneczka? Dlaczego się zeszli, czyżby oczekiwali dziecka? Czy jest pracowita? Czy umie gotować i prać? Wszystko chciała wiedzieć, chciała, żeby Yesenia jej to opowiedziała, tak

jakby nie minęły te wszystkie lata, kiedy ona nie odzywała się do tego pieprzonego gówniarza – od tamtego dnia, kiedy przyłapała go na świństwach i ten tchórz wolał się wynieść z domu, niż stanąć twarzą w twarz z Yesenią i wysłuchać tego, co by mu zarzuciła na oczach babki, żeby do starej wreszcie doszło, jaki z jej wnuka jest gagatek, pieprzony tchórzliwy pedał, pierdolony pasożyt, który nigdy nie podziękował za to, co babka dla niego zrobiła, za to, że go utrzymywała. Bez niej by zdechł, bo ta kurwa, która go urodziła, zostawiła dziecko pobite i umierające z głodu w skrzynce, a sama używała ile wlezie, sprzedając się na poboczu. Ależ się Yesenia burzyła, myśląc o tych rzeczach, doprawdy, za każdym razem, gdy wspominała tego pieprzonego niewdzięcznika, bolała ją wątroba, to samo gdy wracała do myśli, że jej babka okazała się kretynką, kiedy się zaoferowała, że wychowa podrzutka tego skurczybyka wuja Maurilia, wiedząc dobrze, że ta pieprzona lafirynda, z którą się prowadzał, była zawodową dziwką rozkładającą nogi przed każdym, kto jej płacił. Czy nie widzi, że chłopak w ogóle nie jest podobny do Maurilia?, spytała ciotka Balbi, gdy się dowiedziała, że babka zajmie się bachorem. Czy nie widzi, że nie jest podobny do nikogo z naszej rodziny?, dodała Czarnulka, mama Yesenii, gdy wróciła do domu i zobaczyła babkę z tym brudnym chłopakiem wiszącym jej u szyi jak małpa. Bo mam wrażenie, że Maurilio i ta pieprzona krowa myślą, że jesteście durną babą, mamuńku, dziwi mnie to, bo o nas zawsze wprawdzie myślicie co najgorsze, ale też powtarzacie: „dzieci moich córek to moje wnuki, dzieci moich synów – to wie tylko ich jebana matka”. Nie udało im się jednak jej przekonać, choć ciągle powtarzały, że wychowanie tego chłopaka jakby był z ich krwi to błąd, bo Maurilio na pewno nie jest ojcem, że lepiej oddać dziecko do sierocińca, ale nie, żadne zaklęcia nie dały rady jej przekonać. Jakże doña Tina miała zostawić na ulicy to biedne dziecko, swojego jedyne wnuka, syna hołubionego przez nią Maurilia, który był taki chory, biedak, że sam nie mógł się zająć synem?! Jakże miała odmówić Mauriliowi, jedyne mu dziecku, które się dla niej poświęciło i gdy tylko przyjechali do La Matosy, zostawiło szkołę, żeby pomagać jej w jadłodajni, podczas gdy wy dwie zachowywałyście się jak dziwki, zadawałyście się z kierowcami ciężarówek i robotnikami z Syndykatu, takie rzeczy zarzucała im babka. Żeby nie stracić nawyku,

kiedy była wykończona, wypominała im ich błędy, a skoro Maurilio był jej oczkiem w głowie, lubiła mówić, że się dla niej poświęcił, dla jej interesu, ale wszystko to było kłamstwem, którym raczyła siebie samą, bo bardzo chciała uwierzyć, że Maurilio naprawdę ją kocha, podczas gdy w rzeczywistości sukinsyn porzucił szkołę, bo był głupi i leniwy, i interesował się tylko próżnowaniem w barach pobocza, gdzie śpiewał i grał na gitarze, którą jakiś pijaczek zostawił pewnego dnia w jadłodajni babki i po którą nigdy nie wrócił. Maurilio sam się nauczył na niej grać, nikt mu w tym nie pomógł – po prostu szarpał struny i słuchał dźwięków wychodzących z pudła, kiedy samotnie siedział pod morwą na podwórku. Tylko dzięki temu oraz podglądaniu, jak grają młodzi misjonarze na mszy w Villi, nauczył się grać całe piosenki, a nawet wymyślał własne kompozycje, do których dośpiewywał sprośne teksty, a kiedy już się w tym ogarnął, przyszedł do babki i powiedział: doñu Tino – bo zawsze tak się do niej zwracał, po imieniu, nie mówił mamó ani mamuñku, zawsze doñu Tino, pieprzony skurwiel – doñu Tino, powiedział, pójdę pracować na poboczu, jestem teraz muzykiem, nie czekaj na mnie i nie tęsknij, przyślę ci parę gorszy, jak tylko będę mógł. I sobie poszedł, skurczybyk jeden, bo po prostu miał taką chęć, i nawet całkiem dobrze mu szło to granie po barach, był młody i ludzie go lubili, pijaczkom się podobało, że pieprzony chłopak w kapeluszu się z nich podśmiewuje, a w tamtym czasie zaczęła wchodzić muzyka z północy i to też się podobało, a Maurilio najbardziej lubił grać ballady z gatunku corrido, nawet ubierał się jak Meksykanin z północy, tak zawsze prezentuje się na zdjęciach z tamtego okresu: w dżinsach ze skórzanym paskiem i w butach z czubem oraz w kapeluszu naciągniętym na oczy, w ręku trzyma piwo, w ustach ma wielkie cygaro, otaczają go babki. Mówią, że lepiły się do niego jak do miodu, bardziej z powodu jego łajdackiego wyglądu niż muzyki, bo tak naprawdę ten sukinsyn nie był zbyt dobry i dlatego nigdy nie udało mu się wejść do żadnego zespołu ani zarobić prawdziwych pieniędzy na graniu. Raczej się szwendał, prosząc o datki, i dlatego nigdy nie mógł dać żadnych pieniędzy babce; wręcz przeciwnie, nadal żył z jej pracy, przez cały ten czas pomagała mu i pożyczowała pieniądze, których ten skurwiel nigdy nie zwrócił, a w dodatku ciągle musiała opłacać jego leczenie, gdy go pobili



na imprezach, a nawet przez kilka lat niesamowicie się poświęcała, by co niedzielę odwiedzać go w więzieniu w Puerto; nie opuściła ani jednej. Maurilio siedział za zabójstwo pewnego człowieka z Matacoquite, a wszystko przez tę pierdoloną mężatkę, za którą łąził. Nie wytrzymała lania, które spuścił jej mąż, i wszystko mu wyznała, a pewnego dnia, kiedy wuj Maurilio pił już parę dni z rzędu, przyszli mu powiedzieć, że jakiś człowiek wypytuje o niego w Villi i gada, że połamie gnaty Mauriliowi Camargo, bo przeleciał mu żonę. Wtedy wuj Maurilio wstał od stolika i powiedział, że w takim razie dobrze, skoro mają płakać w mym domu, lepiej niech zapłaczą w jego, zostawił swoją gitarę i złapał podwózkę do Villi, gdzie stanął twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem. Miał tyle szczęścia, że się natknął na starego rogacza, kiedy tamten sikał w kiblu jakiegoś baru – bez słowa wyjaśnienia rzucił się na faceta od tyłu i wsadził mu kilka razy nóż, który zawsze nosił w bucie, i tak właśnie trafił do więzienia w Puerto, za zabójstwo z premedytacją, dziewięć lat kary, a przez te dziewięć lat doña Tina odwiedzała go co niedzielę, żeby zanieść mu paczkę raleighsów, parę groszy, mydło i trochę jedzenia, które sama niosła z Villi, samiutka, bo nie chciała, żeby Yesenia albo inne dziewczyny jej towarzyszyły, ponieważ więźniowie obrzucali je sprośnościami. A ponieważ się bała, że zgubi się w tramwajach Puerto, szła na piechotę z dworca autobusowego do więzienia, żeby zobaczyć swojego ukochanego synka, jedynego chłopca, jakiego zesłał jej Bóg, choć tak szybko go jej odebrał, w kwiecie wieku, ledwie rok po tym, jak sukinsyn wyszedł z więzienia, bo jakaś choroba, nikt nie wie, co to było, pożarła go od środka. Babka mówiła, że to żadna choroba, że był taki słaby i przygnębiony z powodu zamknięcia, poza tym wpadł w depresję, bo tamta dziwka, z którą mieszkał, spiknęła się z innym. Czarnulka i Balbi były pewne, że Maurilio ma AIDS, i nie pozwalały dziewczynkom się zbliżać do wuja, żeby się tym gównem nie zaraziły. Ostatecznie babka nie mogła już dłużej udawać, że nie widzi choroby, i w desperackiej próbie ratowania syna postanowiła wysłać go do najdroższego zakładu w Villi, zbudowanego dla pracujących przy ropie, a żeby opłacić rachunek za pobyt i lekarstwa, musiała sprzedać jądłodajnię, swój teren przy samej drodze. Gdy Czarnulka i Balbi się o tym dowiedziały, podniosły lament i zaczęły rwać sobie

włosy z głowy, bo jak ich matka mogła pozbyć się jedynej własności rodziny, o którą tyle walczyły?, z czego będą teraz żyły?, przecież ten kutas Maurilio i tak umrze, nawet lekarze powiedzieli, że nie ma dla niego nadziei, niech lepiej zajmą się organizacją pogrzebu, ale babka wpadła w szał, kiedy to usłyszała, oskarżyła je, że są wstrętnymi chciwymi harpiami, że jadalnia należy do niej, tylko do niej, i jeśli jej sprzedaż im się nie podoba, to niech wypierdalają, jadłowicie żmije, egoistki, zazdrośnice, jak śmiały jej mówić, że Maurilio umrze, skoro dzięki Bogu ma wiele lat przed sobą, jeszcze będzie oglądał, jak rośnie jego syn, i będzie miał inne dzieci. Wówczas Balbi i Czarnulka powiedziały: więc wypierdalamy, idź do diabła z tą twoją jadalnią i z tym obibokiem Mauriliem, odchodzimy i już więcej nie zobaczysz ani nas, ani naszych córek. Zebrały swoje dziewczynki, ale babka wypadła i zatrzymała je w drzwiach, powiedziała, że chyba oszalały, jeśli myślą, że pozwoli, żeby małe z nimi poszły; mają zostać dziwkami jak wy, prawda? Czarnulka i Balbi mogą wypierdalać, ale dziewczynki zostają z babką. Darły się i wierzgały, ale babka ich nie wypuściła i jej córki same pojechały na północ, gdzie ponoć było mnóstwo pracy dzięki ropie, i nie wróciły do La Matosy, nawet gdy wuj Maurilio wreszcie wyciągnął kopyta – no i dobrze, że nie wróciły, bo szlag by je trafił na widok tego, ile pieniędzy babka wydała, żeby jej święty synek miał pogrzeb, na jaki według niej zasługiwał, ceremonię, jakiej od lat nie widziano w miasteczku: tamale z jagnięciny dla wszystkich obecnych i grupa muzyków z północy oraz *mariachi*, do tego wiele skrzynek gorzałki, żeby wszyscy porządnie się uwalili i płakali za Mauriliem krokodylimi łzami. A potem jeszcze nakazała zbudować mu grób, który wyglądał jak kaplica – w głównej części cmentarza w Villi, tej najważniejszej, bo doña Tina nie mogła pochować swojego ukochanego synka na taniej kwaterze, co nie?, takiej, z której po dziesięciu latach wyciągano ciało, żeby wsadzić tam kolejne – nie miała pewności, czy pożyje jeszcze dziesięć lat, i co wtedy stanie się ze szczątkami biednego Maurilia? Wrzucą je do wspólnego grobu z winy tych podłych żmij, które miała za córki, i dlatego właśnie zdecydowała się na jeden z tych grobów wieczystych, które kosztowały majątek, więcej niż dom w La Matosie, kuriozalne pieniądze za przywilej leżenia obok kości założycieli miasteczka: rodzin

Villagarbosa, Conde i ich kuzynów Avendaño, którzy spoczywali w eleganckich grobach z marmuru i ceramiki; teraz między nimi znalazła się mogiła tego skurczybyka Maurilia Camargo, pomnik w kolorze kanarkowym. Babka przez lata splotała pogrzeb i grób, sprzedając soki z trzykołowego roweru przy wjeździe do Villi, na wysokości stacji benzynowej. Nawet gdy chorowała, musiała wstawać o świcie, żeby popedałować na targ i załadować rower workami pomarańczy, marchwi, buraków, mandarynek i mango, a tymczasem Yesenia zostawała w domu i zajmowała się młodszymi kuzynkami i tym pieprzonym chłopakiem, który gdy tylko podrośł, stał się nieszczęsnym niewdzięcznym skurwielem i wyprowadzał ją z równowagi. Jako najstarsza, Yesenia musiała w czasie nieobecności babki wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za dom, kuzynki i pieprzonego chłopaka i zawsze zbierała największe ciężary, gdy coś było nie tak, gdy coś nie poszło tak, jak chciała babka. Yesenia odpowiadała też za wszystko, co zbroił jej kuzyn – sąsiadki przychodziły się poskarżyć, że pieprzony chłopak ukradł im napoje ze sklepu, że pakował im się do domu, by wyjadać jedzenie i zabierać im różne rzeczy i pieniądze, które tam znajdował, że bił młodszych i bawił się zapalkami, o mało nie spalił chaty Blondyn ze wszystkim i z kurami; tak więc Yesenia ciągle musiała przeproszać za jego sprawki, naprawiać szkody, które wyrządzał, udawać głupią i potem jeszcze powstrzymywać gniew, gdy widziała, że babka nigdy nie karze pieprzonego chłopaka za to, co ten wyczynia pod jej nieobecność. I co z tego, odpowiadała zawsze, gdy Yesenia zaczynała litanie psot popełnionych przez jej wnuka danego dnia, przecież to tylko chłopiec, nie ma w nim zła, to same dziecinady, Jaszczurko, zostaw go w spokoju, tego biedaka, jego tato też był takim ancymonem i mały jest do niego podobny, są identyczni, mówiła babka, choć nie była to prawda, lecz ona lubiła powtarzać z miną niewiniątka, że byli identyczni, tacy sami, jak dwie krople wody, chociaż łączyło ich tylko to, że obaj byli upierdliwymi leniami i wykorzystywali babkę, która zawsze pozwalała im robić to, na co im przyszła ochota, i dlatego chłopak stał się dzikusiem; gdy tylko puszczano go wolno, zmykał w góry, nawet w środku nocy. Według babki tak właśnie należało wychowywać chłopców, żeby nie bali się niczego, ale to Yesenia musiała nakłaniać kuzyna, żeby

się umył, łątać jego kompletnie podarte ubranie, wyciągać mu wszy i kleszcze, które łapał w górach, i każdego ranka ciągać chłopaka do szkoły, klnąc na czym świat stoi i waląc go po łbie – choć oczywiście nigdy na oczach babki, tylko kiedy byli sami, w tych nierzadkich chwilach, w których zmęczona własnym wrzaskiem traciła kontrolę, chwyciła kuzyna za włosy i zasypywała jego wątłe ciało ciosami, a czasami rzucała nim o ścianę, licząc, że umrze, że ten pierdolony podrzutek wyzionie ducha i wreszcie da jej spokój, nie będzie więcej jej obrażać, nazywać Jaszczurką. Przydomek ten nadała jej w dzieciństwie babka i Yesenia nienawidziła go z całego serca, ale przywarł do niej i w całym miasteczku znano ją jako Jaszczurkę – bo jest brzydka, ciemna i chuda, recytowała babka, jak bazyliśzek hełmiasty stojący na dwóch nogach. Jaszczurka, Jaszczurka, masz włosy na cipie, nucił gówniarz w samym środku ciężarówki, którą jechali do Villi, albo w kolejce, na oczach plotkarzy, którzy wszystko słyszeli i śmiali się z niej. Nie miała wyjścia, musiała rozwalić mu nos jednym ciosem, zamknij się, pierdolony kretynie, i podszczypywać go; czerpała radość z tego, jak skóra chłopca zbiera się między jej paznokciami – ta przyjemność bardzo przypominała ulgę, którą odczuwała, gdy drapała się w miejscu ugryzienia komara aż do krwi, i być może chłopak również odczuwał coś w rodzaju ulgi, bo gdy zebrał bęcki, natychmiast się uspokajał i nawet już jej nie drażnił, tyle że potem babka widziała siniaki i zadrapania, ślady po wszystkich cięgniach, które chłopak dostał, gdy Yesenia chciała, żeby się uspokoił, i oddawała dziewczynie podwójnie za pomocą mokrej linki, której używała do bicia po tyłku i plecach, a nawet po twarzy, gdy się kuliłaś i nie zasłoniłaś rękami. Babka biła, aż Yesenia zaczynała krzyczeć i błagać, by przestała, by jej wybaczyła. Czasami rzucała się też na Kulkę albo na Wredotę, a niekiedy również na Spryciułę, chociaż ta była z nich wszystkich najgrzeczniejsza, nigdy nie ośmieliła się sprzeciwić babce. Chłopak jedynie się przypatrywał, jak babka bije wnuczki i wyzywa od obiboków, nikczemnych łajdaczek, pasożytów, gorszych od zwierząt, trzeba było pozwolić tym kurwom, ich matkom, zabrać je ze sobą albo sprzedać na ulicy, żeby skończyły w zakładzie dla młodocianych, gdzie lesbijki gwałcą dziewczyny kijami od szczotki, pierdolone suki latają tylko z wywieszonymi

jęzorami – darła się na nie, bo nagle coś jej się przestawiało i w Yesenii widziała Czarnulkę albo we Wredocie Balbi i zarzucała im rzeczy, których te biedaczki nigdy nie robiły, na przykład to, że uciekały nocą, żeby się zadawać z mężczyznami, a wszystko z winy pieprzonej Kulki, która w wieku piętnastu lat razem z jedną z najmłodszych Blondyn zaczęła się wymykać nocami na tańce w Maticocuite i żeby mieć na autobus i na wstęp, gruba nieszczęśnica, zaczęła podkradać pieniądze babce z portmonetki; oto do czego prowadzi chęć zabawy i posiadania narzeczonego. Wreszcie pewnej nocy babka zauważyła, że Kulki nie ma w łóżku, gdzie zwykle spała z kuzynkami; machając pasem, zerwała nas wszystkie ze snu i wysłała na poszukiwanie tej zdziiry, zapowiadając, żebyśmy bez niej nie wracały, i nie ma rady, trzeba biegać po całej La Matosie, od domu do domu, budząc psy i ludzi, którzy następnego dnia z całą pewnością powiedzą, że Kulka nie jest już panną. Po jakimś czasie Yesenia musiała wziąć Spryciulę na ręce i kopniakami popędzać Wredotę, która była wówczas jeszcze mała i płakała, bo chciało jej się spać. Wybiła druga w nocy, a one nie znalazły Kulki, a skoro nie ważyły się wrócić do domu ze strachu przed babką, wcisnęły się na podwórko Blondyn, bo tamte psy je znały i nie próbowały ich gryźć, ukryły się w kurniku i ku swojemu zaskoczeniu natknęły się tam na przekłętą Kulkę, bo ta się schowała, gdy usłyszała, że babka jest na nią wściekła i wysłała kuzynki, żeby szukały jej po całym miasteczku. Yesenia musiała wyciągnąć ją za włosy z kurnika i cała ta awantura obudziła doñę Pili, matkę Blondyn, która zaproponowała, że pójdzie z nimi do domu, żeby jak powiedziała, udobruchać doñę Tinę, ale po prostu chciała mieć świeże plotki, pieprzona świętoszka, chciała na własne oczy zobaczyć, jak Kulka weszła do domu z płaczem, a babka tylko jej się przyglądała; a kiedy się okazało, że jest z nimi doña Pili, pokręciła głową, jakby rozczarowana, i kazała wszystkim iść spać, ale dziewczyny nie mogły zmrużyć oka, bo nie wiedziały, o której babka wkroczy do ich pokoju, żeby spuścić im lanie, dobrze wiedziały, do czego była zdolna: nigdy, ale to nigdy nie darowała niczego, choć czasami udawała, że daje sobie spokój, a potem niespodziewanie uderzała linką, tym sznurem, którym okładała ich pośladki, gdy leżały w łóżku albo gdy skończyły się kąpać, jak było w przypadku Kulki parę dni później. Pamiętasz,

grubasko? Śpiewałaś w łazience, gdy cię dopadła, byłaś naga i mokra, kiedy spuściła ci lanie i jeszcze powiedziała, że masz zapomnieć o szkole, bo będziesz chodzić z nią sprzedawać soki, żebyś wiedziała, co to znaczy zarabiać pieniądze, i to zabolowało cię bardziej niż wszystkie cięgi, jakie od niej zebrałaś przez całe życie, prawda? Biedna grubaska, zawsze miała nadzieję, że skończy szkołę i zostanie nauczycielką, ale nic z tego, bo chociaż powtarzała, że wcześniej czy później zrobi maturę, w roku, w którym babka zabrała ją ze szkoły, ta durna dziewczyna już nosiła w brzuchu córkę Vanesę i nigdy nie wróciła, by podejść do egzaminów. Nie wiadomo, jakim cudem starej wystarczyło na ciebie spojrzeć, by wiedzieć, że zrobiłaś coś złego, jakby jej oczy przewiercały ci głowę i widziały, co się tam dzieje, poznawały wszystkie twoje myśli. Nie wiadomo też, jakim cudem udawało jej się dotknąć tam, gdzie najbardziej bolało. Na przykład Jaszczurka nigdy nie zapomniała nocy, w której babka ostrzygła ją nożycami do porcjowania mięsa, kiedy się zorientowała, że Yesenia również wychodzi z domu po nocach, ale nie na tańce ani żeby flirtować z facetami jak ta pieprzona dziwka Kulka, nie, wychodziła, żeby śledzić chłopaka, żeby wiedzieć, gdzie się włóczy, i przyłapać go na tych świństwach, o których wszyscy mówili, i w ten sposób pokazać babce jego prawdziwą naturę; niech zobaczy, że ten pieprzony chłopak to kanalia i degenerat, niech wie, że cały czas łązi pijany i naćpany, przewraca się na ulicy, jak tamtego dnia, kiedy Yesenia zobaczyła go nad rzeką, gdy wstała wcześnie, żeby się wykąpać w pierwszych promieniach słońca, i zobaczyła, jak chłopak schodzi na plażę, bez butów i koszuli, z włosami splątanymi jak gniazdo żmij, zwężonymi i zaczerwienionymi oczami – to od tych wszystkich narkotyków – i spojrzeniem zagubionym w Bóg jeden wie jakich wizjach. Mówił sam do siebie, jak ci niegroźni wariaci, którzy nagle pojawiają się na poboczu i płaczą tam bez celu, przyciskał do piersi puszkę, ręce miał zabrudzone ziemią, a usta wykrzywione w idiotycznym uśmiechu, gdy zapytał Yesenię, jak woda, a ona, nawet na niego nie patrząc, oszołomiona bezczelnością gówniarza, który śmiał się do niej odezwać, jedynie wycedziła, że woda jest świetna, i poszła sobie, czując ścisk w żołądku i przez całą drogę do domu przeżuwać wszystko to, co chciałyby mu powiedzieć, wszystkie

żale do tego pieprzonego chłopaka, tego skurwysyna, żale, które dusiła w sobie od trzech lat, i zrobiłaby to, gdyby tylko ten drań jej nie zaskoczył. Wtedy po raz pierwszy spotkali się twarzą w twarz na ścieżkach miasteczka, bo ten pedalski chuj krył się przed nią i wychodził tylko wieczorami lub nocą, jak pierdolony wampir, żeby spiknąć się z tymi rozrabiakami, którzy jedynie ćpali, chlali i okradali nieostrożnych przechodniów w parku w Villi albo bili się na pięści i butelki z innymi ptaszkami w barach, albo tłukli lampy uliczne i szczali po ścianach i zasuniętych żaluzjach sklepików okalających park. Była to banda młodzieńców bez zajęcia i bez celu w życiu, obiboków i pasożytów, zbieranina narkomanów i chorych na umyśle. Dobrze byłoby, gdyby wszyscy trafili do więzienia, żeby ich tam porządnie złali, zgwałcili i żeby potem ich jeszcze zniknęli, ciekawe, czy wtedy też będą takimi samcami alfa jak teraz, gdy macają dziewczynki, a nawet chłopaczków, którzy popełniają nieostrożność, przechodząc przez park, gdy tamci się w nim zbierają. Tak jakby policja nie wiedziała, do diabła, o układziku, jaki mają z właścicielem hotelu Marbella, w końcu skąd biorą kasę na narkotyki, które zażywają jak nie tu, w parku, w ciemnościach, to w kiblach barów i knajp pobocza albo za opuszczonym magazynem kolei, gdzie jak wszyscy wiedzą, pederastaści wyprawiają swoje świństwa, jak psy, tyle że w świetle dnia. Yesenia widziała to na własne oczy i gdyby chciała policzyć te wszystkie razy, kiedy musiała wyciągać pieprzonego chłopaka z takich miejsc, zabrakłoby jej palców u rąk i stóp. Ten skurwiel zniknął na całe dni i Yesenia nie mogła dalej oszukiwać babki, bo w końcu te pierdolone plotkary Blondyny i tak przybiegały do starej i opowiadały jej, co mówiono o chłopaku w miasteczku, choć babka zawsze wszystkiemu zaprzeczała i odpowiadała, że to zwykłe kłamstwa, że jej wnuk wcale nie ma takich nawyków, że pojechał do Gutiérrez de la Torre pracować przy zbiorze cytryn i te wszystkie historie o tym, jakoby pomieszkiwał w domu Wiedźmy, są czystym wymysłem, kalumnią rzuconą przez zazdrośników, którzy nie mają lepszych rzeczy do roboty niż wymyślanie plotek. Wówczas Yesenia ciągle jeszcze milczała, ciągle jeszcze nie odważyła się powiedzieć babce prawdy, tego, co widziała na własne oczy – a co Blondyny opowiadały wszystkim, którzy chcieli ich wysłuchać – tego, co ciotka

Balbi przepowiadała od początku, od dnia, w którym babka przyniosła do domu tego brudnego pieprzonego chłopaka: będzie taki sam jak Maurilio, a nawet gorszy, bo o wuju Mauriliu mówiono bardzo brzydkie rzeczy, na przykład że niezły był z niego pijus i wykolejeniec, że żył na koszt kobiet, a pod koniec życia ćpał, i mówili nawet, że w ten sposób złapał tę chorobę, która wyssała z niego życie, ale przynajmniej nigdy się nie słyszało, żeby zadawał się z pedałami z miasteczka ani żeby pomieszkiwał w domu Wiedźmy, gdzie odbywały się te orgie – Yesenia zobaczyła to na własne oczy pewnej nocy, tamtej nocy, tej samej, kiedy babka ścięła jej włosy nożycami i kazała spać na podwórku jak suce, bo jesteś suką, powiedziała. Yesenia nie musiała słuchać tego, co opowiadały Blondyny; widziała wszystko i biegiem wróciła do domu, żeby obudzić babkę i opowiedzieć jej o świństwach, jakie wyprawiał w tej samej chwili jej święty wnuczek, może stara wreszcie przejrzy na oczy i zrozumie, jaką źmiję wyhodowała na własnym łonie, i przestanie za wszystko winić Yesenię tylko dlatego, że była najstarsza i miała obowiązek zajmować się kuzynem, a nie wymyślać plotki, które potem Blondyny opowiadały, jakby to była prawda, a nie obrzucać go kalumniami, które powtarzali ludzie, co to nie mieli nic do roboty. Babka nie uwierzyła w ani jedno jej słowo, popatrzyła tylko oczami, w których czaiła się wściekłość, i powiedziała: pieprzona Jaszczurko, tylko ty mogłaś wymyślić tak straszne, przerażające kłamstwo, jesteś chora na umyśle, chcesz tylko wszystkich poróżnić. Nie wstydzisz się tak włóczyć po nocy jak jakaś dziwka i do tego zrzucać winę na kuzyna? Już ja ci wybiję z głowy te wycieczki, pierdolona suko. Ostrzygła jej włosy nożycami do porcjowania mięsa, podczas gdy Yesenia siedziała spokojnie jak opos w świetle ciężarówek przejeżdżających drogą – ze strachu, że zimne ostrze przetnie jej skórę. Potem całą noc spędziła na podwórku, jak suka, którą była wedle tego, co powiedziała babka: plugawe stworzenie, które nie zasługiwało nawet na zawieszony siennik pod swoją cuchnącą skórę. Trochę czasu minęło, nim udało jej się strzepać wszystkie włosy, które przywarły jej do ubrania, osuszyć kapiące z oczu łzy, a kiedy wreszcie przyzwyczaiła się do ciemności, chwyciła za linkę, na której wieszaly pranie, i zaczęła walić nią w ściany domu, aż nabrzmiały od wilgoci tynk odpadł; potem



poszła w stronę krzaków rosnących pod oknem kuchni i je wytrzebiła. Dobrze, że nie miały wtedy jagniąt, bo je też byłyby w stanie zatłuc albo przynajmniej walić w nie do momentu, aż jej kuzynki wyjdą i ją powstrzymają, no i dobrze też się stało, że pieprzony chłopak nie wrócił już do domu babki, bo Yesenia obiecała sobie, że go zabije. Spędziła całą noc na ciemnym podwórku z tępą maczetą w dłoni, gotowa zaatakować pieprzonego chłopaka, gdy tylko się pojawi, potykając się na ścieżce, z tym swoim durnym uśmiechem na twarzy, bo ten pieprzony chłopak wyśmiewał się ze wszystkiego, wszystko było dla niego żartem, śmiał się nawet z lania, jakie zbierał od Yesenii, oraz z błagań i płaczków babki, wszystko chuj go obchodziło, myślał tylko o sobie, a może nawet i to nie, bo z pewnością narkotyki odbierały mu zdolność rozumowania i raczej o niczym już nie myślał ani nie widział, jakie cierpienie powodował – tak samo jak tamten skurczybyk jego ojciec: jeszcze zobaczycie, powiedziała Balbi, niedaleko pada jabłko od jabłoni, jaki ojciec, taki syn; raczej jaka matka, taki syn, poprawiła ją Czarnulka, bo ten pieprzony chłopak będzie takim samym łajdusem jak ta kurwa jego rodzicielka, o której opowiadano naprawdę obrzydliwe rzeczy w miasteczku, ponoć z jej powodu zmarło siedmiu mężczyzn, siedmiu kierowców z tej samej firmy transportowej, wszyscy na AIDS. Siedmiu zmarłych mężczyzn, a może ośmiu, jeśli wliczyć w to wuja Maurilia, tak mówiono. Najgorsze, że tej przeklętej dziwce nic nie było, jakby w ogóle nie złapała choróbska i nie gniła od wewnątrz. Jej twarz pozostawała nietknięta i nie straciła w ogóle na wadze, nadal była pulchna i słyęła z kształtów w tym burdelu na poboczu, który prowadziła, gdzie jak chodziły słuchy, umieścił ją kochanek, młodziutki blondasek, którego Grupa Cienia przysłała z północy, żeby rozprowadzał narkotyki, i który jeździł drogą w tę i we w tę w wielkiej furgonetce z przyciemnionymi szybami. To ten koleś od filmiku, słynnego filmiku, który ludzie przesyłają sobie telefonami – można na nim obejrzeć okropne rzeczy, jakie blondyn robi dziewczynie, prawie dziecku, wychudzonemu do cna stworzeniu, które ledwie może unieść głowę, bo jest tak naćpane albo tak chore; właśnie to te skurwiele, mówi się, wyprawiają z dziewczynami, które porywają po drodze w stronę granicy: wsadzają je do burdeli jako niewolnice i kiedy już nie nadają się do pierdolenia,

zabijają je jak jagnięta, zupełnie jak na tym filmiku, a potem tną ciało na kawałki i sprzedają do jadłodajni na poboczu, jakby to było zwierzę, z którego robi się słynne na cały region tamale – te same tamale, które babka przygotowywała w swojej jadłodajni, tyle że z jagnięciny, nie z dziewczyn. Czysta jagnięcina, którą babka kroiała drobniutko na podwórku albo kupowała od don Chuya na targu w Villi, nie psie mięso, jak mówili plotkarze, zazdrośnicy, których nie brak w tym pieprzonym miasteczku, ludzie, co to nie mają nic lepszego do roboty, niż wymyślać głupoty, jak te pierdolone Blondyny, które bez przerwy wtrącają się w nie swoje sprawy, stare leniuszyska – to z ich winy babka nie przestawała zamęczać Yesenii, ciągle pytając ją o chłopaka i tę kobietę, z którą się spiknął, jakby Yesenia nie miała lepszych rzeczy do roboty, niż rozpytywać o tego skurwiela, jakby nie była zajęta babką, przygotowywaniem posiłków, cerowaniem ubrań i tymi pieprzonymi leniwymi gówniarami, które nigdy jej nie słuchają i które nieustannie trzeba opierdalać, żeby robiły co trzeba. Gdyby nie plotki Blondyn, wszystko byłoby dobrze, wszystko poszłoby tak, jak Yesenia sobie zaplanowała tamtego dnia, w poniedziałek pierwszego maja, kiedy chodziła po Villi z Vanessą, po tym, jak usłyszała Mary, właścicielkę pasmanterii, opowiadającą innej kobiecie, że przed ledwo paroma godzinami znaleźli ciało Wiedźmy w kanale niedaleko Syndykatu, z pociętą głową, już zgniłe i nadgryzione przez sępy. Ten widok był ponoć tak ohydny, że komendant Rigorito nie mógł powstrzymać wymiotów. Yesenia zastygła, gdy to usłyszała, i przypomniało jej się to, co widziała w tamten piątek, w dzień, kiedy poszła wcześniej rano wykąpać się w rzece i natknęła się po drodze na swojego kuzyna skurwiela bosego i bez koszuli, potykającego się na ścieżce. Ten pierdolony cynik zapytał ją, jak woda, i Yesenia odparła, że świetna, a potem wróciła do domu, mimo że miała ochotę naubliżyć temu pieprzonemu chłopakowi i wyrzucić mu prosto w twarz wszystkie nieszczęścia, których był sprawcą. Nikomu nie powiedziała, że go spotkała tamtego ranka nad rzeką, a już na pewno nie odważyła się wspomnieć babce i kuzynkom o tym, że kilka godzin później znowu widziała tego pieprzonego chłopaka – to był ten sam piątek, wczesnym popołudniem, mniej więcej o drugiej lub trzeciej. Stała na podwórzu przed korytem, w którym

prała zasikane majtki i koszulę babki, gdy usłyszała jadący powoli samochód. Wyrzała i zobaczyła furgonetkę w kolorze niebieskim, a może szarym, trudno było to stwierdzić z powodu brudu oblepiającego karoserię. Był to samochód faceta, na którego wołano Munra, męża tej pierdolonej dziwki, co wydała na świat kuzynka; kulawca, który do niczego się nie nadawał, pijusa i utrzymanka, z którym chłopak ciągle jeździł tą furgonetką. Rozpoznała wyraźnie tego Munrę, bo szyby samochodu były opuszczone, a poza tym nikt w miasteczku nie ma takiej furgonetki, niemniej nie udało jej się dojrzeć, czy jechał z nim ktoś jeszcze, czy był tam chłopak, który mógłby chcieć się zjawić nagle w domu babki. Nawet podniosła mokrą rękę do czoła, przysłaniając oczy, żeby spróbować dojrzeć go w środku, ale bez skutku. Serce zaczęło jej mocno walić – ze strachu i z gniewu, którego nie mogła się pozbyć od rana. Bała się, że ten sukinsyn jej kuzynek będzie chciał przyjść do domu i drażnić babkę, i czuła złość z powodu bólu już zadanego starej przez tego skurwiela od dnia, w którym wyniósł się z domu. Zostawiła ubrania w korycie i podeszła do drogi, śledząc wzrokiem furgonetkę. Z przerażeniem dostrzegła, że samochód zatrzymuje się jakieś dwieście metrów dalej, prawie naprzeciwko domu Wiedźmy. Przez nieubłagane słońce Yesenia zaczęła łzawić, ale ani na sekundę nie spuściła samochodu z oczu, gdyż była prawie pewna, że w każdej chwili zobaczy, jak wysiada z niego pieprzony chłopak. Ale po kilku minutach babka zaczęła jęczeć w swoim pokoju i Yesenia musiała do niej pójść, bo nikogo innego nie było w domu – dziewczyny miały niedługo przyjść ze szkoły, o ile te gówniary nie zabawiały się teraz gdzieś po drodze, jak to miały w zwyczaju. Dlatego Yesenia nie wróciła tak od razu na podwórko, ale gdy to zrobiła, samochód dalej stał w tym samym miejscu. Uspokojona nieco tym widokiem, zajęła się płukaniem i wyciskaniem prania, rzucając od czasu do czasu wściekle spojrzenia na drogę. Miała właśnie wywiesić pranie, gdy zobaczyła, jak drzwi domu Wiedźmy otwierają się gwałtownie i wychodzi przez nie dwóch chłopaków dźwigających za ramiona i nogi kogoś, kto wyglądał, jakby stracił przytomność albo był pijany. Jednym z tych chłopaków był jej kuzyn, Maurilio Camargo Cruz, znany też jako Luis Miguel, tego Yesenia była w stu procentach pewna, niech utną jej rękę, jeśli to nie był ten sukinsyn, u diabła,

w końcu wychowywała go, odkąd był dzieckiem, i rozpoznawała te jego skołtunione kudły z odległości dziesięciu kilometrów. Była również pewna, że chłopaki nieśli Wiedźmę – ze względu na rozmiary ciała, a także z powodu czarnego ubrania, jakie miała w zwyczaju nosić ta osoba, odkąd Yesenia pamięta. Rozpoznała też drugiego chłopaka: to był jeden z tych obiboków, którzy zbierali się w parku – nie znała jego imienia ani nie wiedziała, jak na niego wołali, ale mierzył mniej więcej tyle co jej kuzyn, około metra siedemdziesięciu, był równie szczupły i zwinny, tyle że włosy miał czarne, króciutkie i nastroszone, jak to teraz jest w modzie wśród młodych. Wszystko to opowiedziała policjantom, którzy niechętnie wysłuchali jej w tamten poniedziałek pierwszego maja, a potem musiała powtórzyć całą historię sekretarce agenta z Ministerstwa Publicznego: nazwisko kuzyna i adres jego zamieszkania, to, co widziała w piątkowe wczesne popołudnie, to, co ludzie gadali o tym pieprzonym chłopaku, rzeczy, które sama widziała na własne oczy tamtej nocy, gdy śledziła nieświadomego tego kuzyna aż do domu Wiedźmy, a także świństwa, w które nie chciała uwierzyć babka, gdy Yesenia obudziła ją, by opowiedzieć, w jakim gównie babra się jej wnuk. Ale babka nie chciała jej uwierzyć, powiedziała, że Yesenia wszystko to sobie wymyśliła, bo ma umysł przyćmiony brudnymi myślami, i że nocami wymyka się z domu, żeby wyprawiać świństwa. Babka złapała ją za włosy i zaciągnęła do kuchni, chwyciła wielkie nożyce do porcjowania mięsa i Yesenia przez moment myślała, że wbije jej ostrze w gardło, więc zamknęła oczy, żeby nie widzieć tryskającej na kuchenną podłogę krwi, lecz wtedy poczuła mrozący dotyk nożyc na swojej głowie i usłyszała suche skrzypienie ostrzy ścinających całe kosmyki, włosy, o które tak dbała, bo była to jedyna piękna rzecz w jej ciele: czarne, gładkie i gęste włosy, których zazdrościły jej wszystkie kuzynki, bo jej fryzura była tak piękna i gładka jak u aktorek w telenowelach – to nie były ciężkie pokręcone włosy jak u nich, jak u babki, która nazywała je włosami jagnięcia, kędzierzawe, nawet nie takie jak włosy Balbi, która miała zielone oczy i wmawiała wszystkim, że w jej żyłach płynie włoska krew, nawet ona nie uniknęła przekleństwa brzydkich włosów. Tylko Yesenia, Jaszczurka, najbrzydsza, najciemniejsza i najchudsza ze wszystkich kobiet w rodzinie, miała tak bujne włosy, które opadały jej na ramiona

jak jedwabna zasłona, kaskada granatowego aksamitu, prawie czarnego, a które babka nieubłagane potraktowała nożycami, nadając jej wygląd osoby, która wyszła z wariatkowa, a wszystko to, żeby dać jej nauczkę; zobaczymy, czy nadal będzie się wykradać nocą za facetami. Yesenia płakała za swoimi włosami, gdy wytrząsała kosmyki z ubrania, a później chwyciła linkę i obijała nią ściany domu i krzaki pod oknem, aż stały się tak samo łyse jak ona. W tamtym momencie już nie płakała, ani z wściekłości, ani ze smutku, tylko w milczeniu słuchała dochodzących z sypialni lamentów babki za wnukiem; każdy szloch, każdy jęk starej był jak zimny nóż wbijający się w serce Yesenii. To wszystko wina tego pieprzonego chłopaka, pomyślała, ten skurwiel w końcu zabije babkę, kobietę, która mimo wszystko była jak matka dla Yesenii, ponieważ ani Czarnulka, ani Balbi nigdy nie dzwoniły i nie wysyłały pieniędzy, wydawało się, że zapomniały o córkach. Ten skurwysyn musi umrzeć i Yesenia była gotowa posiekać go na kawałeczki. Zaczeka w ciemnościach na podwórku i zaatakuje go, gdy skurczybyk będzie chciał cichaczem się dostać do domu, jak zawsze robił o świcie. Tą zardzewiałą maczetą, którą znalazła pod korytem, jej tępym parszywym ostrzem potnie mu mordę i szyję, mówiąc: a masz, ty tchórze, miarka się przebrała, nie będziesz więcej kpił z mojej babki. A jak go zabije, wykopie w głębi podwórza dziurę i tam go pogrzebie, a jeśli babka będzie chciała ją oskarżyć, z chęcią pozwoli się zabrać policji, spokojna, bo wypełniła misję, uwolniła babkę od tego parszywego sukinsyna. Ale pieprzony chłopak nie wrócił już tamtej nocy ani następnego dnia, ani po tygodniu, ani po miesiącu. Nigdy już nie wrócił do domu babki, nawet po ubranie i swoje manele czy żeby się pożegnać ze starą i podziękować za wszystko, co dla niego robiła od samego początku. W końcu te durne Blondyny powiedziały babce, że chłopak poszedł do matki, i staruszka źle zniosła fakt, że wolał mieszkać z tą kurwą, co to pozwalała mu na wszystkie świństwa, niż z babką, która praktycznie wychowała go, jakby był jej rodzonym synem. Taki miała o to żal, że nim upłynęły dwa tygodnie, dostała wylewu, który z dnia na dzień sparaliżował jej połowę ciała, i jeszcze po roku upadła w łazience i już nigdy nie wstała z łóżka. Kto wie, jak by zniosła teraz wiadomość, że pieprzony chłopak jest zabójcą, że wsadzą go do więzienia; z całą pewnością ta

głupia baba chciałaby go odwiedzać, zanosić mu pieniądze, jedzenie i nawet papierosy, jak zanosila wujowi Mauriliowi. Z całą pewnością kazałaby Yesenii, żeby ją ubrała i zamówiła taksówkę do aresztu w Villi, tak jakby taksówki były tanie i jakby biedna stara ciągle miała siły na chodzenie, kiedy przecież od dwóch lat nie wstawiała z łóżka – odleżyny na plecach i pośladkach są tego dowodem. Nie, babka nie mogła się dowiedzieć, że pieprzony chłopak jest zabójcą, zdecydowanie nie mogła wyniuchać, że to właśnie Yesenia złożyła na niego donos, że to ona tamtego poniedziałku pierwszego maja poszła na posterunek i podała jego pełne nazwisko i adres, żeby go schwytali, bo usłyszała, jak właścicielka pasmanterii opowiada tamtą plotkę, która sprawiła, że Yesenia przez kilka minut stała jak sparaliżowana, zastanawiając się, co by się stało, gdyby się odważyła opowiedzieć władzom to, co widziała w piątek rano i wczesnym popołudniem, zastanawiając się, co powiedziałyby babka, gdyby się dowiedziała o jej zdradzie, ale też myśląc o całej nienawiści, jaką odczuwała do tego głupiego pieprzonego chłopaka, i o tym, jak bardzo chciała zobaczyć go za kratami. Tymczasem Vanessa patrzyła na nią jak jakaś głupia dziewczucha, którą w końcu była, przerażona tym, co się działo z ciotką. Idź do domu, nakazała jej w końcu Yesenia. Spierdalaj stąd natychmiast i powiedz matce i reszcie, żeby się zamknęły i nie wpuszczaly nikogo do domu, nikogo, słyszysz? A już na pewno niech nie wpuszczają tych pieprzonych Blondyn, tych kurewskich plotkar, nie wiadomo, skąd one wszystko wiedzą, może mają jakieś anteny albo są w połowie wiedźmami; te pierdolone żmije, durne babska zaraz by wszystko opowiedziały babce, wiedząc, jak źle stara reaguje za każdym razem, gdy słyszy o chłopaku. I oczywiście powieka im nie drgnęła, gdy powiedziały jej, że chłopak trafił do paki, oskarżony o zabójstwo Wiedźmy. Nie mogły się w żaden sposób dowiedzieć, że to Yesenia go wydała, prawda? Jak, u diabła, babka się dowiedziała, że to jej sprawka? Wystarczyło spojrzeć w oczy Yesenii, gdy pochyliła się ze łzami na twarzy, żeby sprawdzić, jak babka się czuje; a było już bardzo późno, bo te bydlaki z policji zawiozły ją do Ministerstwa Publicznego, żeby powtórzyła całą historię, i pieprzona leniwa sekretarka nie spieszyła się z przepisaniem jej zeznania, żeby Yesenia mogła je podpisać. Gdy mogła wreszcie wrócić do La Matosy, zapadła

już noc i gdy tylko zobaczyła, że światła w domu są zapalone, wiedziała, że stało się coś strasznego; wpadła do sypialni babki i znalazła ją wykręconą w łóżku, z otwartymi ustami, jakby zastygła w krzyku, jej zapadłe oczy zwrócone były w stronę sufitu. Kulka z miną zbitego psa wyjaśniła: babka miała kolejny atak, kilka godzin temu, bo spłakała się, gdy pieprzone Blondyny opowiedziały jej, że policja złapała chłopaka i oskarżyła o zabójstwo Wiedźmy i wrzucenie jej ciała do kanału. Yesenia miała ochotę spoliczkować Kulkę za to, że nie posłuchała jej rozkazów. Dlaczego, do kurwy nędzy, pozwoliła wejść do domu tym pierdolonym kurwom, skoro Yesenia wyraźnie nakazała Vanessie, żeby się zamknęły w domu i nie wpuszczały nikogo, a zwłaszcza tych kretynek? Wtedy, rozglądając się po twarzach wszystkich zebranych wokół łóżka babki, zdała sobie sprawę, że nie było wśród nich pieprzonej Vanessy, tego kurewskiego nasienia. Ta dziwka z pewnością wykorzystała to, że została bez nadzoru, i pobiegła do narzeczonego, tego rozczochranego hippisa, który ciągle się przy niej kręcił, gdy wychodziła ze szkoły. Tak więc Yesenii nie pozostało nic innego, jak tylko wyjść z sypialni i z domu i pójść do domu Blondyn, gdzie zaczęła walić w drzwi pięściami i kopać, krzycząc: wy pieprzone wścibskie kurwy, stręczycielki, co to za radość, żeby atakować babkę waszymi gównianymi historiami. Mogła zrobić albo to, albo spuścić lanie Kulce za to, że urodziła tę pieprzoną gówniarę, która nie była w stanie posłuchać najprostszego nakazu. Blondyny nie były tak szalone, żeby otworzyć jej drzwi, nawet nie wyjrzały przez okno, bo dobrze wiedziały, że Yesenia mogłaby przewrócić im ściany kopniakami, gdyby usłyszała od nich jakąś kretyńską odpowiedź; nawet nie zapaliły świec przy ołtarzyku Matki Boskiej, chociaż Yesenia zmęczyła się krzykiem i wróciła już do domu, gdzie wraz z kuzynkami i siostrzenicami zaczęły na Wredotę, która poszła do Villi po lekarza, a także na tę gówniarę Vanessę, której Yesenia poprzysięgła porządne lanie mokrą linką, gdy tylko tamta przekroczy próg. Tymczasem babka rzęziła, starając się utrzymać przy życiu, już nie mogła mówić, wpatrywała się tylko w sufit, a Yesenia położyła jej głowę na swoich kolanach i głaskała ją po rzadkich białych włosach, powtarzając, że wszystko będzie dobrze, że niedługo przyjdzie doktor i ją wyleczy, niech jeszcze trochę wytrzyma i będzie

silna – dla siebie, dla nich, dla swoich ukochanych wnuczek – ale słowa zastygły jej na wargach, gdy stara wbiła swoje zamglone źrenice w oczy Yesenii i nie wiadomo jakim cudem Yesenia już wiedziała; na miły Bóg, babka patrzyła na nią, jakby wiedziała o wszystkim, co tamta zrobiła, jakby umiała czytać jej w myślach, zorientowała się, że to ona wydała policji pieprzonego chłopaka, powiedziała policjantom, gdzie on mieszka, żeby mogli go zaarrestować. Yesenia stwierdziła także, gdy coraz mocniej zapadała się w rozgniewanych oczach babki, że ta nienawidzi jej z całego serca i w tej samej chwili ją przeklina, wówczas cichutko poprosiła babkę o przebaczenie, chciała wyjaśnić, że to wszystko dla jej dobra, ale było już za późno: babka jeszcze raz dotknęła Yesenii tam, gdzie najbardziej ją bolało, i umarła w tej samej chwili, drżąc z nienawiści, w ramionach swojej najstarszej wnuczki.



## IV

**N**aprawdę, naprawdę, naprawdę niczego nie widział, na świętą pamięć matki, na wszystkie świętości, niczego nie widział; nie miał nawet pojęcia, co te sukinsyny jej zrobiły, jak w ogóle miał wyjść z furgonetki bez swojej kuli? Poza tym chłopak kazał mu zostać za kierownicą i czekać, nie gasić silnika i nigdzie się nie ruszać, bo to wszystko potrwa kilka minut i zaraz spierdalają, a przynajmniej tak to rozumiał Munra i nie wie, co się działo potem, nie wyszedł nawet z szoferki ani nie wychylił się przez otwarte drzwi i chociaż, prawdę mówiąc, chciał popatrzeć, nie dał się skusić i nie spojrzął we wsteczne lusterko – strach zwyciężył. A to dlatego, że niebo nagle pociemniało, zasnuło się chmurami, które nieoczekiwany wiatr przywiał nad wzgórze, przyciskając trzcinę cukrową do ziemi. Munra pomyślał, że już niedługo nadejdzie deszcz, i nawet wyraźnie dostrzegł, jak z ciemnych chmur wyłania się niespodziewanie niemy piorun i uderza w drzewo, które w absolutnej ciszy spala się do cna. Ta cisza była tak gęsta, przez chwilę myślał wręcz, że ogłuchł, bo słyszał jedynie natarczywe dzwonięcie w uszach. Chłopcy musieli nim potrząsnąć i właśnie w tamtym momencie zdał sobie sprawę, że nie ogłuchł, słyszał krzyki tych dwóch skurwieli nakazujących mu, żeby dodał gazu, gazu, no już, pieprzony kulawcu, gaz do dechy, jesteśmy gotowi na przyjęcie, spieprzyli stamtąd jak najszybciej i dotarli do wąwozu prowadzącego w stronę rzeki, ominęli z daleka Krowią Plażę i wjechali do Villi od strony cmentarza, przecięli centrum miasteczka, jadąc główną aleją, z jedynym postojem na światłach, minęli park i znowu wyjechali na drogę w stronę La Matosy. Przez cały ten czas Munra myślał tylko, jak to będzie przyjemnie wrócić do domu i położyć się z butelką gorzały, pić aż do utraty przytomności, zapomnieć o wszystkim, zapomnieć nawet o tym, że Chabela nie wracała od paru dni do domu, zapomnieć o tym, że światła

samochodu jeszcze bardziej podkreślały otaczającą ich ciemność, gdy uciekali najszybciej, jak się dało, przez wąwóz, i zapomnieć śmiech tych pieprzonych chłopaków strojących sobie żarty, których on nie rozumiał. Gdy trafił w końcu do swojego łóżka, naszała go nawet ochota, żeby zażyć jedną z tych pastylek Luisiego, bo gdy zamykał oczy i chciał zasnąć, jego ciało zaczynało drżeć, żołądek się ściskał, a łóżko znikało i miał wrażenie, że wisi nad przepaścią, w którą zaraz spadnie; wówczas otwierał oczy i przewracał się w łóżku, znowu usiłował zasnąć, ale kręciło mu się w głowie, próbował ponownie zadzwonić do Chabeli – jej telefon nadal był poza zasięgiem – i tak minęła noc. Nawet pomyślał, że może lepiej przejść przez podwórze i poprosić Luisiego o jedną z tych pastylek, może dzięki niej uda mu się zasnąć od razu i spać do południa, lecz przecież wiedział, że bez kuli nie da rady przejść pogrążonego w ciemności podwórza, żeby dotrzeć do pokoju chłopaka. Tak więc dał sobie spokój i nadal przewracał się w łóżku, aż wreszcie wpadł w niespokojną drzemkę, która trwała do czasu, aż gdzieś daleko koguty zaczęły pisać, a za oknem pojawiło się słońce. Nie chciał wstawać, ale nie mógł już znieść gorąca panującego w pokoju ani odoru własnego ciała, ani pustki w łóżku, które dzielił z Chabelą – tak więc mozolnie się podniósł i przytrzymując się mebli, a nawet ścian, wyszedł na podwórko, żeby się wysikać i umyć. Kto wie, która była godzina, chłopak nadal nie dawał znaku życia i tamtego dnia na pewno go już nie da. Munra zobaczył, jak leży rozwalony na swoim materacu, który zajmował prawie cały jego pokój – jego domek, jak nazywał to pomieszczenie. Japę miał rozdziawioną, a oczy przymknięte, prawie sine z powodu opuchlizny. Na pewno nie obudzi się do jutra, sądząc po liczbie pastylek, które zażył poprzedniej nocy. I rzeczywiście, pieprzony Luisi nie odzyskał przytomności aż do niedzielnej nocy – wtedy Munra zobaczył, jak chłopak, potykając się, przemierza podwórze i wychodzi na ścieżkę prowadzącą na pobocze. Tam pewnie będzie próbował zdobyć pieniądze, żeby kupić sobie swoje pierdolone pastylki. Co on widział w tym świństwie, Munra nigdy nie był w stanie zrozumieć. Jak to możliwe, że ktoś chce trwać w tym durnym stuporze przez cały boży dzień, z językiem przyklejonym do podniebienia i pustką we łbie, niczym telewizor bez sygnału. Alkohol przynajmniej sprawiał, że dobre rzeczy stawały się

jeszcze lepsze, łatwiej można było znieść różnych idiotów, podobnie działała marihuana, pomyślał. Ale te pastylki, które Luismi wciągał jak słodycze, u Munry wywoływały jedynie ogromną senność; nachodziła go nieprzeparta chęć, żeby się położyć i zapaść w sen, choć nie chodziło mu o to, żeby się pogrążyć w majakach i halucynacjach, jak to ponoć się zdarzało po opium, nie, chciał zapaść w głęboki twardy sen, z którego budzisz się z porażającym pragnieniem i łbem jak po wybuchu bomby, z oczami opuchniętymi tak, że nie da się ich otworzyć, nie pamiętając, jak wlałeś do łóżka ani dlaczego jesteś taki brudny, a nawet obsrany, albo kto obił ci mordę. Pieprzony Luismi zwykł mawiać, że pastylki wprawiają go w błogi stan, że odczuwa spokój, nic specjalnego, żadnych nerwów ani drżenia, nie wyłamuje też sobie palców ani nie strzyka szyją, choć od małego miał ten tik – gdy skręcał szyję, strzykała, i jak twierdził, wyłącznie gdy zażywa pastylki, może się tego pozbyć, a gdy tylko przestaje je brać, natychmiast wracają mu drgawki i tiki razem z innymi, raczej gównianymi wrażeniami, na przykład że ściany się ruszają i grożą przewróceniem się na niego; poza tym papierosy tracą smak i czuje, jakby zamykała mu się pierś i nie mógł złapać powietrza – to były zwykłe wymówki, żeby dalej pchać w siebie to świństwo. Nawet gdy przyprowadził do domku tę durną Normę, nie przestał brać, choć w pierwszych dniach był pewien, że całkiem to rzuci. Tylko piwko i ziółko, powiedział, żadnych pastylek – ale zapachu wystarczyło mu na trzy tygodnie, do dnia, w którym ta pinda Norma zdradziła go i doniosła na policję, żeby go zabrali do aresztu za coś, czego nie zrobił, bo jego jedynym grzechem było to, że próbował pomóc temu pieprzonemu niewiniątku, które tylko wpędziło go w kłopoty, awanturnica jedna. Munra nigdy nie polubił tej smarkatej, zawsze miał ją za fałszywą, odgrywała rolę grzecznej dziewczynki, która nigdy nie stłukła nawet szklanki, i czarowała swoim głosem wszystkich, nawet Chabelę – kto by w to uwierzył: jego żona w końcu się chełpiła, że zna wszystkie sztuczki, jakich używały albo miały jeszcze kiedyś użyć babki pracujące w Excaliburze, ale nawet ona dała się nabrać pierdolonej Normie; już po dwóch dniach od przybycia tamtej pieprzona Chabela gadała tylko o tym, że dziewczyna jest dla niej jak córka, którą zawsze chciała mieć, że jest taka dobra, taka zaradna, taka uprzejma, taka, taka, brzmiało jak

kościelne kołatki, kurewska córeczka. Munra tylko cmokał, z obrzydzeniem słuchając całego tego miodu spływającego z ust żony. Wkurzał się na widok dziewczyny gotującej przy kuchence, zmywającej naczynia albo zwyczajnie kręcącej się wokół pieprzonej Chabeli z tym swoim uśmiechem hipokrytki i z tymi opiętymi indiańskimi pośladkami oraz miną udawanego niewiniątka, przytakującej wszystkim słowom Chabeli. Jego kobieta została oczarowana zabiegami tej małej, aż zapomniała nawet, że musiała teraz utrzymywać dwoje darmożjadów, a nie jednego. Munra uznał, że taka rodzinna harmonia jest co najmniej podejrzana, i nieustannie się zastanawiał, do czego, u diabła, zmierza ta dziewczyna, skąd się, do cholery, wzięła i z jakiego pieprzonego powodu spiknęła się z chłopakiem. Bo to, że byli dwiema połówkami pomarańczy, niech opowiada swojej babci. Która zdrowa na umyśle kobieta chciałaby zamieszkać w tej dziupli na tyłach podwórka z chłopakiem o twarzy umierającego z głodu psa? Munra był pewien, że cała ta sprawa śmierdzi, ale ostatecznie postanowił się nie odzywać, bo ten pieprzony Luismi ostatnio i tak robił, na co mu tylko przyszła ochota, więc po co się pluć na darmo? W końcu raz próbował do niego zagadać na ten temat, tamtego popołudnia, gdy Luismi poprosił, żeby zawiózł go do apteki w Villi, gdzie chciał kupić jakiś środek dla Normy, bo boleśnie krwawiła. Munra natychmiast pomyślał, że ta pieprzona dziewczyna udaje, a oni mają wydawać na nią pieniądze i marnować paliwo, nawet ochrzanił chłopaka, że daje się w tak kretyński sposób naciągać. Nie wie, że to normalna sprawa, że babki co miesiąc krwawią z dupy i nie potrzeba na to żadnych środków, najwyżej podpaski, które Luismi może kupić u doñi Conchy w samej La Matosie, nie trzeba jechać aż do Villi? Czy aż tak bardzo jest głupi? Ale chłopak zaczął bajdurzyć, że to inna sprawa, że Norma bardzo cierpi i że jest niezwykle rozgrzana, w końcu jednak Munra go przekonał, że to normalne, i chłopak wrócił do swojego domku – Munra widział ich oboje leżących na brudnym materacu: Luismi trzymał dziewczynę w objęciach, jakby znajdowała się na łożu śmierci, pieprzona komediantka, pomyślał. Ostatecznie, kto by przypuszczał, okazało się, że rzeczywiście to była poważna sprawa, i Munra nawet nieźle się przestraszył o świcie: chłopak prawie wyważył mu kopniakami drzwi, gdy walił w nie, żeby mu otworzyć. Na rękach

przyniósł Normę, której skóra przybrała kolor zielony, usta były białe, a oczy wywrócone – wyglądała, jakby ją co opętało – uda miała zaś zalane krwią, która kapiała na podłogę. Chłopak prawie oszalał, gadał w kółko o plamie na materacu i krwi, którą Norma traciła, prosił go o przysługę, niech zaraz zabierze ich do szpitala w Villi, i Munra powiedział Luismiemu, że to zrobi, ale trzeba podłożyć coś pod Normę, jakiś koc albo narzutę, bo nie chce, żeby zakrwawiła mu siedzenia w samochodzie. Luismi to zrobił, ale na odwal, tak że cała tapicerka pokryła się wydzielinami i Munra już nigdy nie miał okazji wygarnąć za to pieprzonemu chłopakowi ani wysprzątać samochodu z powodu tego, co się przydarzyło po tamtej nocy, po tym, jak zawieźli Normę do szpitala, gdzie jak jacyś idioci czekali na zewnątrz, aż ktoś wyjdzie i powie im, co z dziewczyną. Siedzieli na klombie aż do południa – o tej godzinie Luismi w desperacji wszedł do szpitala, żeby spytać, co jej jest, bo nikt im nic nie powiedział. Piętnaście minut później wrócił, wyglądał jak zбитy pies i przeklinał – pracownica społeczna wezwała policję. Nie chciał jednak niczego wyjaśniać w drodze do La Matosy ani nawet w barze Sarajuany, dokąd Munra zabrał go na piwo, które bezczelna wnuczka Sary postawiła im prawie od razu. *Nigdy więcej nie wracaj*, dobiegało z radia, *wolę przeżywać mą porażkę*, ze stacji z folkowymi piosenkami w stylu ranchera, których Munra nie znosił, *wczoraj wprowadzie tyle razy wypowiedałem twe imię*, dlaczego nie grali salsy?, *dziś popatrz tylko, jak przygryzam wargi*, ale chłopakowi, kto by powiedział, oczy się zaszklily i pociemniały, jakby miał zaraz zacząć krzyczeć, i Munra pomyślał sobie nawet, że być może Norma umarła albo jest w poważnym stanie i wymaga skomplikowanej kosztownej operacji. Po trzech piwach chłopak nadal nie puścił pary z ust i tamtego dnia nic mu nie zdradził, nawet po tym, jak Munra zgodził się pojechać z nim do Villi, by w tamtejszych barach poszukać Willy'ego i kupić od niego paczkę tych pieprzonych pastylek, których nie brał już od trzech tygodni. Kto go tam wie, tego pieprzonego Luismiego, ile ich łyknął, bo po godzinie leżał już na ziemi totalnie naćpany i trzeba było poprosić paru byczków, żeby go wsadzili do samochodu. Tam też ostatecznie przespał noc, bo gdy już dotarli do La Matosy, Munra nie mógł go ocucić ani tym bardziej samemu go wynieść. Stary obudził się

następnego dnia, ale nie wiedział, która godzina, bo bateria w jego telefonie się wyczerpała, a Chabela nadal nie wróciła z roboty, co nieco go zaniepokoiło, bo ostatnio coraz częściej znikwała na dwa, trzy dni, ponoć dlatego, że miała tylu klientów, ale ta suka nawet nie dawała mu wcześniej znać. Spróbował podłączyć telefon, żeby natychmiast do niej zadzwonić i jej wypomnieć, że go zaniedbuje, ale fala mdłości, która go naszała, gdy schylił się po ładowarkę, sprawiła, że prawie padł na pysk, zdecydował więc, że jeszcze trochę poleży, otoczony zapachem perfum żony, jakim przesycone były prześcieradła. Czy ta arcydziwka przyszła ukradkiem o świcie, żeby skropić go swoimi perfumami, zanim wyszła do klientów, a może wróciła, gdy on spał, i patrzyła na niego z progu sypialni? Widział cień pogrążony w gniewnym milczeniu, które Munrę przerażało bardziej niż wrzaski, dlatego zaczął jej wyjaśniać, co się wydarzyło poprzedniej nocy: skarbie, ten pieprzony chłopak musiał wynieść Normę, bo się wykrwawiała, ta suka wydawała się prawie martwa, a w szpitalu o mały włos nie zabrali nas na policję, pierdolone skurczybyki, nagle jednak zdał sobie sprawę, że mówi sam do siebie, że w pokoju nikogo nie ma, że cień, w którym zobaczył Chabelę, zniknął. Podłączył telefon, poczekał, aż się zaloguje do sieci, i wtedy odkrył, że Chabela nie wysłała mu ani jednej wiadomości, nic, żadnego wyjaśnienia, nawet kłamstwa, co za durna pinda. Wybrał jej numer; pięć razy z rzędu naciskał przycisk, żeby powtórzyć ten gest, i pięć razy odpowiadała mu poczta głosowa. Włożył koszulę i spodnie leżące na podłodze, poszukał swojej kuli, która nie wiadomo jak trafiła pod łóżko, i wyszedł sprawdzić, czy chłopak żyje czy może zmienił mu furgonetkę w grobowiec. Tak, był tam nadal, zwinięty w kłębek na siedzeniu pasażera, z rozdziawioną japą, przymkniętymi oczami i włosami przyklejonymi do szyby. Stary, powiedział Munra, stukając w boczną szybę, żeby zmusić chłopaka do jakiejś reakcji. W środku było jak w saunie. Jak ten skurczybyk wytrzymywał taki upał, jak znosił pot, którym ociekało jego ubranie i który spływał mu strużkami po czole? Stary, idziemy leczyć kaca, powiedział Munra, odpalając silnik. Chłopak przytaknął, nawet na niego nie patrząc. Munra nie zapytał, czy ma jakieś pieniądze, wiedział, że nie, ale rzeczywiście musiał wypić rosółek i piwko, żeby się pozbyć tego dojmującego kaca wciskającego mu się

w mózg. Poza tym chciał, żeby chłopak wyjaśnił, co z Normą; mimo to szybko pożałował tego zaproszenia, bo pieprzony chłopak wypił tyle piwa, jakby byli u Sarajuany, gdzie duża flaszka kosztowała trzydzieści pesos, podczas gdy w barze tacos Drogiej Lupe małe było po dwadzieścia pięć, choć to się opłacało, bo wszyscy wiedzieli, że Droga Lupe przygotowywała najlepszy jagnięcy rosół z psiego mięsa – Munra uważał, że to wszystko jedno, czy te włókna soczystego mięsa, które cierpliwie przeżuwał resztkami zębów, były z jagnięcia, z psa czy z człowieka, bo sekret dania leżał w wywarze, który Droga Lupe przygotowywała swoimi świętymi dłońmi, a był on tak smaczny i pożywny, że Munra szybko na nowo poczuł się człowiekiem i nawet odzyskał nadzieję na powrót Chabeli do domu. Może po prostu zwyczajnie się zabawiała z paroma klientami i nie ma o co robić awantury ani rozważać, czy aby przypadkiem ta kurwa nie zdecydowała się go zostawić, co nie? Nabrał nawet ochoty na małą wycieczkę do Villi i wizytę w Złotej Muszli, żeby pogadać z kumplami i miło spędzić dzień. Pieprzony chłopak natomiast wyglądał na kurewsko załamane, siedział ze spuszczoną głową i opadającymi ramionami, nawet nie tknął rosołku, jego łyżka spoczywała nieruszona na drewnianym stole upstrzonym kawałeczkami cebuli i kolendry. Stary, zwrócił się do niego Munra, czując, jak wzbiera w nim gniew, który czasami wzbudzał w nim chłopak, gdy był taki bierny, totalnie ogłupiały, i nawet nie z tego powodu, że lubił się naćpać do nieprzytomności z koleżkami w parku albo w barach, lecz dlatego, że nie chciał z nikim gadać, nie zwracał na nikogo uwagi, wolał zamknąć się w sobie i odciąć od świata – Munra czasami miał ochotę go spoliczkować, żeby wywołać w nim jakąś reakcję, ale to na nic; pieprzony chłopak był już na tyle duży, że wiedział, co robi, w jakie świństwa się pakuje, jak choćby ta sprawa z Normą. Stary, powiedział, co się stało twojej babce? Pieprzony Luis mi jeszcze niżej zwiesił głowę, oparł ramiona o stół i zaczął wyrywać sobie włosy, a Munra naciskał: no dobrze, kurwa, co się stało, do chuja? I chłopak odstawił teatr zupełnie jak jego kurewska matka – są identyczni – westchnął głęboko, potrząsnął głową i wypił za jednym zamachem całe piwo, a potem skinął na Drogą Lupe, żeby postawiła mu trzecie – skurwysyn jak się patrzy, małe kosztowało tu dwadzieścia pięć – poczekał, aż mu otworzą butelkę,

i zaczął opowiadać Munrze, co zaszło, gdy wszedł na izbę przyjęć i spytał o Normę. Pielęgniarki rznąły głupa i w końcu zaprowadziły go do zawalonego papierami biura, w którym jakaś pańcia o pomalowanych na blond włosach przedstawiła mu się jako pracownica społeczna szpitala i spytała o papiery Normy, akt urodzenia i akt zawarcia małżeństwa, w którym stwierdza się, że on jest jej legalnym małżonkiem, ale chłopak oczywiście nie miał ani jednego, ani drugiego. Wówczas tamta babka powiedziała, że zaraz przyjedzie po niego policja, bo gwałcił nieletnią. Nie wiadomo, jak zwąchali, że Norma była nieletnia, że miała tylko trzynaście lat i... W tym momencie Munra prawie się zachłysnął piwem i zaczął kaszleć, tak na niego wpłynęła ta wiadomość, w gruncie rzeczy nie był świadomy, że Norma jest taka młoda, prawie dziecko, do kurwy nędzy, nie dało się tego stwierdzić, mówię wam, bo jest taka gruba i rozłożysta w biodrach, być może dlatego. Ja pierdołę, stary, wyjęczał Munra, gdy wreszcie przeszedł mu kaszel: ty pierdolony durny kutasie, skąd pomysł, żeby przelecieć trzynastoletnią dziewczynę, to cud, że cię nie wsadzili od razu do paki, przecież dobrze wiesz, że nie możesz się ożenić z taką młódką, skurwielu, a tamten kretyń na to, że owszem, może, bo Norma nie jest już dzieckiem, tylko kobietą wystarczająco dojrzałą, żeby decydować, z kim się spiknąć, bo przecież jego własna babka w wieku trzynastu lat mogła być już żoną tego, który został ojcem ciotki Czarnulki. Na to Munra, skubiąc wąsy: stary, to gównno znaczy, to było dawno, teraz prawo jest inne, ty idioto, teraz tak nie można, nawet za zgodą rodziców nie możesz się ożenić z tak młodą dziewczyną, ogarnij się, to już koniec, zapomnij o tej babce, z tego będą same problemy; na pewno ona sama wystawiła cię tej pracownicy społecznej, żeby ci narobić koło pióra, takie już są te kurwy. Ale pieprzony chłopak w ogóle go nie słuchał, tylko kręcił łbem i nie chciał niczego przyjąć do wiadomości: nie, mówił, nie mogę jej zostawić, muszę ją jakoś stamtąd wyciągnąć, uratować, bo ta biedaczka niby nie miała nikogo innego, więc nie mógł jej zawieść, zwłaszcza teraz, gdy oczekiwali dziecka. Jeszcze nie wiedział jak, ale znajdzie sposób, żeby wyciągnąć ją ze szpitala i żeby znowu byli razem. Gdy wypowiadał wszystkie te durnoty, Munra przyglądał mu się w milczeniu i myślał o zakrwawionych udach Normy i o wielkiej plamie, którą zostawiła na siedzeniu,



poważnie wątpiąc, czy smarkuła nadal jest w ciąży, jeśli rzeczywiście w ogóle spodziewała się dziecka, spała się, bo nie jadła przecież samych robaków. Pierdolone baby, każda z nich lubi odstawiać tego rodzaju teatr, żeby przyciągnąć facetów i napytać im biedy. Ugryzł się jednak w język i nie wypowiedział tych podejrzeń na głos, bo ostatecznie co go, do kurwy nędzy, obchodzi cała ta sprawa: ani Norma, ani Luisi, ani ich rzekome dziecko to nie jego problem. Pieprzony Luisi jest już dorosły, Munra nie musi go niańczyć, zajmować się nim czy mówić mu, co ma robić albo czego ma nie robić, poza tym ostatnio pieprzony chłopak wyśmiewał wszelkie rady Munry, których ten udzielał mu w dobrej wierze, żeby gówniarz wreszcie przestał się kierować zachciankami i chociaż raz wysłuchał zdania mądrzejszego ojczyma. Tak samo Chabela. Dwójka idiotów. Uparci jak osły, do kurwy nędzy, poza tym dumni. Nic nie można im było powiedzieć, wszystko wywoływało kłótnię i Munra zawsze się wycofywał, robił przeproszącą minę i nawet prosił o wybaczenie za to, że ich obraził. Jak wtedy, przed rokiem, gdy zdobył robotę promotora w wyborach na burmistrza Villagarbosa – Partia, a więc sam rząd, płaciła Munrze w gotówce za każdą osobę, która dołączy do kampanii. Poza tym zaskarbił sobie sympatię polityków, ważnych ludzi, którzy widząc go na ulicy, podawali mu rękę i zwracali się do niego per don Isaías, a nie Munra jak jego sąsiedzi. Z czasem zyskał nawet pewną sławę, gdyż pewnego dnia sam adwokat Adolfo Pérez Prieto kandydujący na burmistrza Villagarbosa poprosił o wspólne zdjęcie z Munrą, który miał na sobie koszulkę z logo Partii i czapkę z nazwiskiem Péreza Prieta, a jeszcze ktoś wyciągnął wtedy skądś wózek inwalidzki, posadzili na nim Munrę i Pérez Prieto na zdjęciu go popychał – obaj uśmiechnięci – Munra do tamtej pory nie widział tak dużego zdjęcia, na którym widniałaby jego twarz. Zamieścili je na olbrzymim billboardzie przy wjeździe do Villi od strony Maticocuite. Pod spodem widniał napis: „Pérez Prieto spełnia obietnice”, i rzeczywiście tak było, bo po tym zdjęciu sprezentowali Munrze wózek, chociaż on nie lubił go używać, uważał, że wygląda na nim jak pieprzony inwalida, jakiś pokurcz, który nie jest w stanie się poruszać, podczas gdy tak naprawdę Munra całkiem dobrze chodził, nawet bez kul, do diabła, niczego mu nie brakowało, w końcu miał obie nogi, prawie

normalne, no, jedna była trochę przekrzywiona i tyle, prawda? Trochę krótsza od drugiej i nieco skrzywiona do środka, ale żywa, wy pierdolone durnie, dobrze uczepiona ciała, co nie? Tak naprawdę nie potrzebował żadnego wózka, słyszysz? Dlatego go sprzedał, wystarczały mu kule i furgonetka, którą jeździł wszędzie. Wielka szkoda, że tamta robota trwała tylko sześć miesięcy, bo zarobił sporo kasy za samo łożenie po wiecach i oklaskiwanie wszystkiego, co powiedział Pérez Prieto, walenie grzechotkami, kijami i bębniami: Pérez Prieto, Pérez Prieto, h'ra, h'ra, h'ra, tyle wystarczyło, mówię ci, żeby Partia dawała mu dwieście pesos dziennie i dodatkowo dwieście za każdą osobę, którą przyprowadził, plus co tydzień dostawał jedzenie i jeszcze narzędzia do pracy w polu i nawet materiały budowlane, mimo że Munra w całym swoim życiu nigdy na nikogo nie zagłosował, i może dlatego od razu zaczął przekonywać Chabelę, żeby też się zajęła promocją wyborczą, że w Excaliburze, wśród swoich babek i klientów, mogłaby zdobyć sporo głosów i zarobić dodatkową kasę, a każdemu by się przydało, co nie? Ale Chabela źle to przyjęła, tak jakby zamiast jej dobrze radzić, Munra powiedział: Chabela, ogarnij się. Tak się na niego oburzyła, na środku ulicy zaczęła się wydzierać, że Munra ma chyba poprzeważane klepki, pieprzony idiota, chyba mu siadło na mózg, jeśli myśli, że ona, ONA, będzie chodzić po prośbie razem z tymi psami Partii, takimi jak ty, pieprzony Munra, nie masz wstydu ani godności, pierdolony psie, umiesz tylko skamleć, ogarnij się sam, ty myślisz, że ja mam czas, żeby chodzić za tym psem Pérezem Prieto i tak dalej, wszystko to na ulicy, zaraz przy Złotej Muszli, gdzie przechodnie zaśmiewali się do rozpuku z tego, jak Chabela go wyzywała i sztorcowwała, a Munra musiał przełknąć gniew, bo wiedział, że próba dyskusowania z nią w miejscu publicznym nie ma sensu, a nawet jest samobójstwem – to jak połączyć odbezpieczony granat. Tak więc nic na to nie odpowiedział, ale obiecał sobie, że już nigdy, przenigdy w życiu jej na nic nie zaprosi, że nic jej nie kupi za te pieniądze, które z honorem zarobił na kampanii, niech spierdala, pieprzona Chabela, co to jest taka pewna swego i paskudnie się zachowuje, jak suka. Mimo wszystko nie spodziewał się, że pieprzony Luisi także strzeli focha i zarzuci go tym samym bełkotem co jego matka, bo ten sukinsyn dla odmiany nie miał ani roboty, ani

pieniędzy i nawet nie wiedział, co chce robić w życiu, a Chabela nieustannie go obsobaczała, że nie ma kasy, że się nie dokłada do wydatków domowych ani nie płaci jej czynszu i jak długo ten skurwiel zamierza żyć na jej koszt, w końcu ma już osiemnaście lat i powinien zacząć zarabiać, żeby jej pomagać, matce, która w bólach i z takim poświęceniem go urodziła, powinien pomóc jej porzucić pracę, zamiast przesiadywać całymi dniami u Wiedźmy, w barach na poboczu albo w parku w Villi z tymi nygusami, wydając drobne, które gdzieś tam zarabia, na swoje pieprzone nałogi. Dlatego właśnie Munra odważył się zaproponować chłopakowi udział w kampanii: popatrz no tylko, powiedział, to nic trudnego, robota jedynie do wyborów, sam nawet nie musisz głosować na tego skurwiela Péreza Prieto, jeśli nie chcesz, chodzi tylko o to, żeby chodzić na spotkania i żeby cię tam widzieli, idziesz i wypatrujesz, co też dziś dają. Ale głupi chłopak powiedział, że nie, że nie chce, że pierdolona polityka to jakieś gówno i że nie będzie się sprzedawał za parę żalonych groszy, woli poczekać, aż wreszcie dostanie tę robotę w Kompanii, którą mu obiecali. Ta słynna robota w Kompanii, pieprzony sen wieśniaka, który nie wiadomo kto wsadził chłopakowi do łba. Był przekonany, że dostanie robotę na polach naftowych w Palogacho, ponoć jako technik, ze wszystkimi benefitami syndykatu nafciarzy i tym podobnymi rzeczami, chociaż Munra chciał przemówić mu do rozsądku, żeby chłopak zrozumiał, że nigdy do tego nie dojdzie, bo Kompania Naftowa już od lat nie zatrudnia nikogo, kto nie należy do wąskiego kręgu krewnych i zaufanych liderów związkowych, a poza tym pieprzony chłopak nie zna się zupełnie na nafcie i petrochemii, nawet nie skończył szkoły, a w dodatku jest chudy jak szczapa, nie waży nawet połowy tego co jedna baryłka, którą niby miałby prznosić; ale to na nic, nie był w stanie przekonać chłopaka, że ta perspektywa była czystym złudzeniem i nie należało go podsycać – a wszystko to za sprawą pewnego zaprzyjaźnionego inżyniera, który ponoć miał wsadzić go do Kompanii. Niezły cukierczek, który chłopak od razu łyknął, ja pierdolę, to było tylko jebane złudzenie, zwykły onanizm mentalny, co to na koniec drogo go będzie kosztować, bo nic nie robi, czekając, aż inżynier spełni swoją obietnicę. Pieprzony chłopak przepuścił już wiele świetnych okazji w ostatnim czasie, na przykład to, co

zapropował mu jeden z klientów Chabeli, podobno właściciel całej floty ciężarówek, który pewnego dnia usłyszał, jak Chabela skarży się na syna darmożada i obiboka, że nie może znaleźć roboty, więc powiedział jej, że właśnie potrzebuje pomocnika na podróż na granicę, niech powie chłopakowi, żeby pojechał z nim następnego dnia z samego rana, przekona się, czy mu odpowiada ta robota, a jeśli jest pojętny, to nawet może mu pomóc załatwić prawko i wtedy zacząłby pracować dla niego jako kierowca. Chabela rano wróciła podjarana, szczęśliwa, bo myślała biedaczka, że wreszcie uda jej się pozbyć tego trutnia synalka, ale ten pierdolony skurczybyk powiedział, że nie, że nie chce być pomocnikiem, że nie chce być kierowcą, woli poczekać, aż jego przyjaciel inżynier załatwi mu dojście do Kompanii, i gównno, jak się na niego rzuciła – rozdarła mu koszulę, tak go zaczęła szarpać i walić pięściami, krzycząc, że jest takim samym pasożytem jak jego ojciec, takim samym wałkoniem, nie mężczyzną, pierdolony darmożad, lepszy martwy niż żywy. Zrobiło się nieprzyjemnie, aż Munra przez chwilę myślał, że chłopak jej odda, bo popatrzył na nią groźnie i podniósł pięści w obronie, ale na szczęście nic nie zrobił, i dobrze, bo Munra nie chciałby się wcinać w ich kłótnie. Lata temu się nauczył, że lepiej niech sobie wykrzyczą, co tam im leży na duszy, jak dwa wściekłe psy, które choć nie potrafią myśleć, nie wypuszczą ofiary z pyska, dopóki jej nie rozszarpiają. Dlaczego był tak głupi, żeby się wtrącać i ryzykować, że zostanie przez nie pogryziony, nie, do cholery jasnej, niech spadają, w końcu i tak zawsze robią to, na co przyjdzie im ochota, po co tracić czas na tłumaczenie chłopakowi, że kierowcy ciężarówek dobrze zarabiają i mogą poznać mnóstwo miejsc i mnóstwo babek, nigdy nie spędzają dużo czasu w jednym miejscu, ciągle są w ruchu, jeżdżą po całym kraju, a nie siedzą na dupie w durnym miasteczku, gdzie panuje nieznośny upał. Po co się wysilać i malować mu to w pięknych kolorach, jeśli ostatecznie ten skurwieli zachowuje się jak idiota, kiedy tłumaczy, że nie może pojechać, bo czeka, aż z nieba spadnie mu ta robota w Kompanii. Ten chłopak jest tak durny, że w to wierzy, tak ślepo ufa w obietnicę obcego człowieka, bo w końcu kim jest ten inżynier, ponoć jego przyjaciel? Dlaczego tak bystry i wpływowy koleś miałby bezinteresownie pomóc pieprzonemu chłopakowi, który nie jest nawet jego krewnym? Munra wiele

razy chciał już zapytać tego mądralę, co inżynier chce od niego w zamian za taką przysługę, jak też chłopak mu się odwdzięczy, ale ponieważ przeczuwał, jaka może być odpowiedź, wolał zgrywać głupiego. Co go to, do kurwy nędzy, obchodziło? Miał już tej sprawy powyżej dupy. Jeśli chłopak chce się wdawać w takie rzeczy, jeśli nie chce uznać, że ten tak zwany przyjaciel inżynier sobie z nim pogrywa, bo w dodatku przestał odbierać jego telefony już wiele miesięcy temu, niech idzie do diabła. Jeśli chce nadal wierzyć w Świętego Mikołaja i w trzech króli niosących dary, niech idzie do diabła! Bo ostatecznie wszyscy robią ze swoim życiem, co chcą i jak najlepiej mogą, co nie? A on, Munra, jakie ma prawo się wtrącać w życie chłopaka? Żadnego, co nie? Niech robi, co mu się żywnie podoba, do cholery, jest już wystarczająco dorosły, żeby ogarnąć, że życie nie wygląda jak w telenoweli, jak w bajkach, prędzej czy później sam się zorientuje, że ta robota w Kompanii Naftowej to tylko onanizm mentalny, tak jak będzie musiał przyznać, że ta sprawa z Normą nie jest warta tyle zachodu – pieprzona dziewczucha stanowi teraz problem szpitala i rządu, a Luisi powinien znaleźć sobie prawdziwą babkę, nie dmuchaną lalę, kobietę, a nie srającą ze strachu dziewczynkę jak ta cała pieprzona Norma – tchórzliwa dziwka, która robi dobrą minę do złej gry, ale gdy tylko woda podchodzi jej do gardła, rzuca faceta lwom na pożarcie. To tylko wygłupy, stary, bajeczki gówniary, która chce się po prostu bawić z tobą w dom. Słuchaj, lepiej znajdź sobie prawdziwą babkę, taką, co będzie umiała się tobą zająć, co będzie umiała pracować, jak Chabela. Na to Luisi z załzawionymi oczami zaczął się wydzierać na samym środku lokalu, że nie zostawi Normy, nigdy w życiu, że woli umrzeć, niż bez niej żyć; nawet Droga Lupe podniosła wzrok znad grilla i przez chwilę przypatrywała się chłopakowi z miną: co, do cholery. Chłopie, chłopie, wymamrotał zbity z tropu Munra. Odkąd go zna, ten pieprzony chłopak wszystko olewa – nic go nie obchodzi, tylko te pastylki i włóczenie się. Chłopie, chłopie, powtórzył i nagle wpadł na pomysł, ostrzegawczo wyciągnął w jego stronę palec: wydaje mi się, powiedział, a Luisi od razu go przyatakował. Co?, wrzasnął, co ci się wydaje, kretynie? Wydaje mi się, że pieprzona Norma cię wrobiła. Twoja stara, odparł Luisi. Nie bądź głupi, roześmiał się Munra, dobrze wiesz, o czym mówię. Sam wiesz, co robią

babki, gdy chcą cię przy sobie zatrzymać: kiedy nie patrzysz, wrzucają ci do wody albo zupy kilka kropli swojej krwi albo kładą ci kroplę na pięcie, kiedy śpisz, to wystarczy, żebyś zrobił dla nich każdą głupotę tak jak ty dla Normy, nie widzisz tego? Niektóre są jeszcze bardziej cwane i zbierają w górach bieluń, ten, co ma kwiaty w kształcie trąbki, które wyrastają w porze deszczowej, i robią z niego napar sprawiający, że głupiejesz i dajesz się zdominować, padasz do ich stóp jak niewolnik, nawet się nie zorientujesz kiedy. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię, w końcu twoja matka ciągle opowiada o czarach, jakie babki z Excalibura robią facetom, żeby ich ogłupić i okraść albo żeby wpadli w obsesję na ich punkcie, postawili im dom i zrobili z nich uczciwe kobiety. Chłopak w końcu zaczął go słuchać z niedbałą uwagą, ale na słowa Munry tylko kręcił głową i powtarzał, że nie, że Norma nie jest taka, że Norma nigdy nie mogłaby mu tego zrobić, a Munra zaśmiewał się z powodu niewinności chłopaka: wszystkie są takie same, ty skurczybyku, wszystkie kręcą i są zdolne do największych świństw, żeby tylko cię przy sobie utrzymać. Więc chłopak się wkurzył i zatopił w sobie, pogrzyżył się w ponurym obrażonym milczeniu, z którego Munrze nie udało się go wyciągnąć, nawet gdy zabrał go do Sarajuany i postawił kolejne pieprzone ciepłe piwo, które należało już do tradycji tego baru, a raczej było efektem przedpotopowej lodówki, która pamiętała jeszcze czasy, gdy Sarajuana zadebiutowała jako królowa karnawału w Villi; słuchaj, to było w czasach, gdy źmije chodziły prosto. Dziecino, po raz enty zwrócił się Munra do wnuczki Sary, dlaczego z samego rana nie zabierzesz się za kruszenie lodu, żeby włożyć w niego butelki, tak żeby gdy przyjdę, były dobrze schłodzone? Dziewczyna знаła Munrę i jak zawsze tylko na niego prychnęła i wywinęła biodrem, zanim mu odpowiedziała: niby dlaczego mam się dla ciebie starać, skurczybyku, jak ci się nie podoba, to fora ze dwora. Na te słowa Munra posłał ją w diabły obscenicznym gestem, ale żadne z nich tak naprawdę się nie obrażało, bo dobrze wiedzieli, że Munra zawsze wróci do baru, i to nie dlatego, że dziewczyna rzuciła na niego urok, po prostu był to bar położony najbliżej jego domu: ledwie pięćset metrów nieutwardzoną drogą, nie trzeba było zawracać, wystarczyło, że wsiadł do furgonetki, ruszył przed siebie i już był w domu, nie musiał wjeżdżać

na drogę i narażać się na kolejny wypadek, taki jak tamten, w którym prawie stracił nogę w dwa tysiące czwartym roku, szesnastego lutego dwa tysiące czwartego roku, jak o tym zapomnieć? Na wysokości San Pedro kierowca ciężarówki chciał zawrócić bez świateł, jebany skurwysyn. Munra był nieźle napruty i nie zauważył samochodu, poślizgnął się w błocie i kości w nodze rozpadły mu się w drobny mak. Lekarze powiedzieli, że mu ją obetną, ale on się nie zgodził, za chuja, nie przeszkadza mu, że ma jedną nogę krzywą albo że brakuje mu kawałków kości, w końcu to jego noga i nikt nie ma prawa mu jej zabierać, na co doktorzy, że nie, że tak nie można, ta noga i tak mu już do niczego nie posłuży, a poza tym stanowi podwyższone ryzyko infekcji, ale Munra się uparł i przy pomocy Chabeli uciekł ze szpitala dzień przed operacją, i na koniec się okazało, że wszyscy ci lekarze wyszli na durniów, co za skurwiele, bo nie było infekcji i nie umarł, jedynie została mu taka skręcona do środka noga, co nie? Ale i tak mógł chodzić, nawet bez kul mógł się kawałek przejść, prawda? Po chuja miałby siedzieć na wózku, co nie? Poza tym miał furgonetkę, kupił ją od kolesia z Matacocuite, który sprowadził ją z Teksasu, tanio wyszło, trzydzieści tysięcy, połowę tego, co wypłaciła mu w ramach rekompensaty firma, do której należała tamta ciężarówka. Furgonetka była świetna i gdy Munra jechał sto na godzinę z otwartymi szybami, patrząc na wszystko z góry, pan i władca świata, czuł się trochę tak, jakby nigdy nie było żadnego wypadku, jakby ciągle był tym samym kolesiem, co to jeździł motorem po całym wybrzeżu, przewożąc dokumenty różnych instytucji, jakby nadal mógł tańczyć salsę do białego rana i chwytać Chabelę, zarzucać ją sobie na plecy i uciszać pocałunkami, a potem przyspilać do ściany, aż dochodziła w spazmach, kurewska dziwka, gdzie ona jest, do chuja? Dlaczego, do kurwy nędzy, się do niego nie odzywa? Żaden klient nie przesiadywał trzy dni w Excaliburze, niech nie ściemnia – ani nie było tam tyle babek, ani nie były aż tak godne zainteresowania. Czyżby związała z jakimś skurwysynem do Puerto, nic mu nie mówiąc? Nie byłby to pierwszy raz, co za suka, w zeszłoroczne Boże Narodzenie dotarła aż do Guadalajary, pierdolona dziwka, ponoć pracowała, robota to robota, powtarzała, i Munra, ogólnie rzecz biorąc, się z nią zgadzał, ale teraz już przesadziła, pewnie ta krowa zamknęła się w pokoju

w Paradiso z pieprzonym sukinsynem Barrabasem i paroma flaszkami whisky. I teraz wciąga kreski jak odkurzacz i obciąga tamtemu z czystej przyjemności i dlatego za każdym razem, gdy Munra wybiera jej numer, odpowiada mu automatyczna sekretarka, powtarzając, że abonent jest niedostępny albo poza zasięgiem. Zapadła noc i Munra był już na tyle nabzdryngolony, że przyszło mu na myśl, aby podjechać pod Paradiso i sprawdzić, czy stoi tam pick-up pierdolonego Barrabasa, nawet jakby miały go poturbować te cwaniaczki, które nieustannie towarzyszyły tamtemu, pół tuzina jebanych drani w kapeluszach, o krzywych mordach i spojrzeniu zabójcy, tyle że zanim się zorientował, był już w furgonetce i pędził w stronę domu. Niech się pierdoli ta cała Chabela, pomyślał i prawie się przewrócił przy wysiadaniu, nawet nie zdjął ubrania, tylko rzucił się na łóżko, na wymięte prześcieradła, na biustonosze i szczotki Chabeli, i przyśniło mu się coś, co wybudziło go tuż przed świtem – w tym śnie był duchem włączającym się po ulicach miasteczka; chciał rozmawiać z ludźmi, ale nie zwracali na niego uwagi, bo go nie widzieli – nikt go nie widział, był duchem i tylko małe dzieci mogły go zobaczyć, i gdy do nich mówił, przerażone płakały, na co Munra wpadał w przygnębienie. Nagle ulice zniknęły i szedł teraz pod górę, mijał szczyty, lasy i łąki, pola i opuszczone gospodarstwa, aż dotarł do innego miasteczka i chodząc po jego ulicach, natknął się na znany sobie dom, dom jego babci Mircei. Wszedł przez kuchnię, która zawsze była otwarta, i zajrzał do dużego pokoju, gdzie jego babcia siedziała na fotelu bujanym, tak jak ją zapamiętał, jakby nie była martwa od dwudziestu lat, bo we śnie to on był martwy, a babcia żywa, i chociaż też nie mogła go zobaczyć ani poczuć, ani nawet usłyszeć, może tylko trochę, jakby z bardzo daleka, Munra się wysilał, bo miał jej do powiedzenia coś ważnego, coś, czego nie mógł sobie przypomnieć, gdy się obudził, ale co we śnie było naprawdę pilne – musiał ją za wszelką cenę przed czymś ostrzec, ale nie udawało mu się z nią porozumieć, bo umiał rozmawiać już tylko w języku martwych, którego ona nie rozumiała; chociaż mocno się wysilał, żeby go usłyszała, a jego babcia, która naprawdę była świętą osobą, zawsze tak wrażliwa, jasna, niech spoczywa w pokoju, doña Mircea Bautista, uśmiechała się do niego i powtarzała, żeby się uspokoił, że nie ma się czym martwić, że musi być dobry i bardzo spokojny, żeby szybko trafić do



nieba. Mówiła to spokojnym i łagodnym głosem, który po przebudzeniu sprawił Munrę w przygnębienie; czuł zapach balsamu, jakim doña Mircea zwykła smarować sobie dłonie, czuł ten zapach w nosie, choć był świadomy, że znajduje się w swoim łóżku, w sypialni, którą dzieli z żoną, i że mimo duchoty panującej w pomieszczeniu plecy ma zalane zimnym potem. Chciał ponownie zasnąć, ale upał i ból głowy narastający z minuty na minutę sprawiły, że wkrótce podniósł się z łóżka, rozebrał do samych majtek i opierając się na kuli, wyszedł z pokoju do łazienki, a potem prosto na podwórze, żeby się polać wodą przy korycie. Namydlał się właśnie, gdy nagle zobaczył chłopaka, który bosy i bez koszuli – brudny, jakby się tarzał w błocie – potykając się, szedł w głąb podwórza, za swój dom, gdzie Munra nie mógł go już dostrzec. Pozostał tam przez jakiś czas i Munra zdążył nawet się splukać i pójść do domu, gdzie się wysuszył i włożył świeże slipki, a następnie wrócić na podwórze. Poszedł w stronę pokoju chłopaka, żeby sprawdzić, czemu tamten sterczy za domkiem. Przyłapał go na tym, jak wpatruje się w wykopany dół o głębokości pół metra, był jak sparalizowany i nawet nie zdał sobie sprawy z tego, że Munra stoi obok, bo gdy ten w końcu zapytał: co to?, chłopak podskoczył i spojrzał na niego ze strachem, jakby przyłapano go na czymś zakazanym; ale po dwóch sekundach się opanował i odparł: nic. Munra spojrzał w dziurę i potem na ręce chłopaka, które były uwalane ziemią aż po łokcie, paznokcie całe czarne – z całą pewnością wykopał dół gołymi rękami. Co też wygrzebał ten pieprzony dzieciak?, zastanawiał się Munra i być może dlatego, że ciągle pamiętał swój sen, przypomniał sobie, że gdy był malutki i jego mama mieszkała jeszcze w domu babci Mircei w Gutiérrez de la Torre, pewna sąsiadka, starsza pani, która mieszkała obok, wymieniała rury w swoim domu i robotnicy wykopali przed wejściem jakąś rzecz, którą jego babcia nazwała „robótką”, robótką czarownicy. Był to słoik po majonezie, jeden z tych ogromnych, w którym w mętym płynie pływała wielka martwa żaba, częściowo już rozłożona, razem z kilkoma główkami czosnku, gałązkami ziół i jeszcze innymi świństwami, których Munra już nie zobaczył, bo jego matka zasłoniła mu oczy i go stamtąd zabrała. Mimo to zapadł na okropny ból głowy, tak że babka musiała oczyścić go gałązkami bazylii i jajkiem, które przeciągnęła mu po czole i potem

rozbiła. Było zepsute w środku. I wtedy wyjaśniła Munrze, że tamta brzydka rzecz, którą wykopali robotnicy, to robótka, że zła osoba podłożyła to, by rzucić urok na sąsiadów; dzięki silnemu zaklęciu żaba wchodziła w ciało człowieka, który na swoje nieszczęście postawił stopę w miejscu, gdzie zakopano robótkę, a gdy już się tam ulokowała, zaczynała pożerać organy wewnętrzne i wypełniać człowieka nieczystościami, aż w końcu umierał. Munra, który miał wtedy jakieś pięć, sześć lat, nie pamiętał już dobrze, jak się później dowiedział, że tamtej kobiecie kilka miesięcy wcześniej zmarł mąż – na chorobę, której przyczyn nikt nie znał, mówili, że to coś z wątrobą. A sam Munra przez jakiś czas cierpiał na bóle głowy, które babcia łagodziła, przesuważąc garście bazylii po jego ciele i nacierając mu skronie alkoholem. Czasami z trudem zasypiał, bo nie mógł się pozbyć myśli, że być może bawiąc się albo biegnąc z jakimś poleceniem, nadepnął na miejsce, w którym pogrzebana była robótka, i że być może w tym samym momencie ohydne zwierzę pożera mu mózg od środka i wkrótce go zabije. Jednak z czasem ten niepokój zelżał na tyle, że Munra zapomniał o tym wszystkim, do czasu gdy zobaczył dziurę, którą chłopak z pewnością wykopał własnymi rękami, i mając wrażenie, że może nadal śni, że tamten dziwny sen, w którym umarł i zmienił się w potępieńczą duszę, jeszcze się nie skończył, ponownie zapytał chłopaka, co to jest, ale nie chodziło mu o uzyskanie odpowiedzi – Munra był przekonany, że to była robótka czarownicy, nie można było tego inaczej wyjaśnić – tylko o to, żeby sprawdzić, czy chłopak go słyszy, a więc czy Munra się wybudził z tamtego okropnego snu. Jako że Luisimi tylko patrzył na niego otępiąłym wzrokiem, jakby go nie poznawał, Munra musiał się uszczypnąć w ucho i w ten sposób stwierdził, że już się obudził, nie był więc martwy i poczuł się nieco lepiej. Spal to, nakazał chłopakowi. Cokolwiek tam było, spal to. Tamten pokazał mu wtedy puszkę leżącą pod palmą i powiedział świszczącym głosem, niewyraźnym od tych wszystkich pastylek, że już to zrobił, w tamtej puszcze, i właśnie szedł wyrzucić prochy do rzeki. Że nocą usłyszał hałas za swoim domkiem i gdy wyszedł zobaczyć, co się dzieje, natknął się na psa, na wielkiego niczym wilk białego psa, który drapał w miejscu, gdzie teraz ziała dziura, i w ten sposób znalazł tamto. Munra cofnął się o krok, bo chociaż był nieco

spokojniejszy, wiedząc, że wybudził się z tamtego snu i że w dziurze nie było już żadnej zaczarowanej żaby, wydawało mu się, że jakaś część zła zawartego w uroku nadal wisiała w powietrzu – czuł jego ciężar na skroni, a zawsze był wrażliwy na takie rzeczy. Nie powinieneś był dotykać tego rękami, powiedział chłopakowi, musisz się teraz umyć. Lepiej chodźmy stąd, niech miazmaty się rozwieją, zaproponował, niech tego nie wdycha. Munra spieszył się również, bo chciał sprawdzić, czy jego podejrzenia co do tego, że Chabela znajdowała się teraz w motelu Paradiso z tym sukinsynem Barrabasem, się potwierdzą, dlatego nakazał chłopakowi, żeby się szykował, a on tymczasem wróci do domu, by się ubrać i wziąć kluczyki do samochodu, komórkę i resztę pieniędzy. Ale gdy wyszedł na podwórko, zdał sobie sprawę, że chłopak go nie posłuchał – stał przy samochodzie, twierdząc, że jest gotowy, ale nadal był brudny, śmierdział kozłem, bosy, z twarzą uwalaną pyłem. Munra musiał mu powiedzieć: stary, takiego nigdzie cię nie zabiorę, śmierdzisz jak cap, ogarnij się, umyj się chociaż pod pachami. Chłopak poszedł więc do koryta i wsadził łeb do czystej wody jak koń, przez jakiś czas prychał, aż wierzchnia warstwa brudu zeszała. Potem Munra musiał mu pożyczyć koszulkę, bo ten skurwysyn już nie miał czystego ubrania, wszystko, żeby tylko na trochę się wyrwać z tego domu, poruszać się, pomyślał Munra, żeby poszukać Chabeli, ale najpierw trzeba łyknąć piwka z wkładką u Sarajuany – tyle że było zamknięte, bo jak wyjaśniła wnuczka Sary, gdy otworzyła drzwi w koszuli nocnej, dopiero minęła dziewiąta rano i niech się ogarną, pierdolone pijusy. Nie zostało im nic innego, jak przejechać na drugą stronę drogi, do Zasysacza, gdzie krabowe empanady, które podano im jako zagryzkę, były twarde i tłuste, ale piwo dobrze schłodzone, a głośna muzyka uspokoiła Munrę, bo nie pozwalała mu o niczym myśleć, choć kto wie, co się działo z chłopakiem, który po pierwszej kolejce nabrał wigoru i nawet przysunął się do Munry, żeby mu się wyżalić, przekrzykując głośniki, żeby opowiedzieć, jak to ostatnio źle się czuł, że przydarzały mu się same pierdolone nieszczęścia; naprawdę coś dziwnego, bo ogólnie rzecz biorąc, chłopak nigdy mu nie opowiadał o swoich zmartwieniach, a teraz jęczał mu do ucha z tym swoim octowym smrodem z ust, jak to cierpi, jak to się czuje przeklęty, bo nic mu nie wychodzi i w dodatku ta sprawa

z Normą, zabrali mu ją ot tak, nie powiedzieli, gdzie teraz ta biedaczka się znajduje ani co z nią i z dzieckiem, gdzie ich zabiorą, czy kiedyś będzie mógł ich zobaczyć. No i jeszcze ta robota w Kompanii i jego przyjaciel inżynier, który zniknął wiele miesięcy temu i nie odpowiada na jego telefony – a to wszystko zaczęło się po tym, jak się pokłócił z Wiedźmą na początku roku o pieniądze, o których kradzież oskarżyła go ta pierdolona wariatka, ale to nie było tak, ktoś go okradł albo zgubił tę kasę w amoku, lecz Wiedźma nie chciała mu wierzyć i posłała go do diabła, i teraz na pewno rzuciła na niego urok, na niego i na Normę, żeby ich zniszczyć. Munra zerkał tylko nerwowo na swój telefon i odwracał się w stronę parkietu, nie ze względu na laski, które tam tańczyły, lecz dlatego, że samo wspomnienie imienia Wiedźmy sprawiało, że się denerwował, i pieprzony chłopak o tym wiedział, wiedział, że Munra nie chce znać szczegółów pierdolonych konszachtów, jakie chłopaki z miasteczka miały z tym pedałem. Po co mu takie informacje, po co ma sobie tym zawracać głowę, co nie? Zawsze powtarzał Chabeli, córuniu, jak to dobrze, że twoi klienci są tacy grzeczni, wszyscy są pieprzonymi dżentelmenami, ale nie opowiadaj mi o nich, nie opowiadaj mi wszystkich szczegółów, nie chcę wiedzieć, jak się nazywają, skąd są ani czy mają długiego czy krótkiego, krzywego czy dwukolorowego – bo ta pieprzona Chabela ciągle opowiadała o swojej pracy i o skurwysynach, z którymi się zadawała, o kłótniach z innymi babkami z Excalibura, ale Munrze się to nie podobało, on tylko pragnął spokoju. Niech ona robi, co ma robić, niech Bóg ją błogosławi, ale niczego mi nie opowiadaj, Chabelo, musiał jej nieustannie powtarzać; za to chłopaka nigdy nie musiał o to prosić, bo tak w ogóle to jego pasierb był zamknięty w sobie, lecz tamtego dnia, w tym nagłym dziwnym przyspieszeniu, którego dostał, gęba mu się nie zamykała i Munra, żeby zmienić temat, żeby uniknąć obrazów, które już zaczęły mu się formować w głowie, wstał nagle z miejsca i przyłożył telefon do ucha, jakby ktoś do niego zadzwonił, i powiedział do Luisiego: poczekaj tu momencik. Złapał za kulę i wyszedł z Zasysacza, niby po to, żeby porozmawiać, ale na zewnątrz oparł się o furgonetkę i skorzystał z okazji, żeby zadzwonić do żony, tyle że jej telefon ciągle był wyłączony albo poza zasięgiem. Pieprzona Chabela z całą pewnością włączyła się

z tym sukinsynem Barrabasem, właśnie tak, i w tej chwili spółkowali sobie w motelu Paradiso lub innym gnieździe żmij na poboczu, a może nawet w pick-upie Barrabasa, tego skurwiela. Co sobie ta dziwka wyobraża? Że Munra jest jakimś durnym capem? Że nic nie obczaja? Ona myśli sobie, że może wrócić do domu po trzech dniach i tłumaczyć się pracą i ni chuja? Nie myśląc dwa razy, wsiadł do furgonetki i wcisnąwszy gaz do dechy, przejechał dziesięć kilometrów dzielących Zasysacza od motelu Paradiso – który okazał się pusty, zupełnie pusty, co było dziwne, w końcu to były dni po wypłacie. Munra nawet się tam nie zatrzymał i pojechał parę kilometrów dalej, aż do zjazdu na Maticocuite, gdzie wyrastała betonowa ściana pomalowana na różowo – Excalibur Gentleman's Club – ale i tam nie widać było słynnego pick-upa tego skurwysyna z północy, ani śladu zbirów w kapeluszach, którzy nie odstępowali Barrabasa, nic, spuszczone nawet żaluzję, choć nie była zamknięta na kłódkę i Munra odetchnął z ulgą, bo tak naprawdę nie wiedział, czy miałby jaja, by wyciągnąć Chabelę za włosy z tej orgietki, w której na pewno się pograżała, bo ta kurwa gotowa była mu wydrapać oczy albo skopać tyłek, ja pierdołę, nie mówiąc już o tym, że musiałyby stawić czoło uzbrojonym rębaczom Barrabasa. Nie zatrzymując się, przejechał obok budynku, potem zawrócił i wjechał na stację benzynową. Wyjął komórkę i zaczął pisać oschłą wiadomość, pełną bólu, nienawiści i złości – nigdy wcześniej żaden facet nie napisał czegoś takiego do swojej żony – była to ohydna wiadomość, która sprawi, że tamta zsiąka się i zesra, i rozplacze z żalu, że tak go potraktowała. Zanim jednak ją wysłał, jego telefon zabręczał, Munra prawie wypuścił go z rąk, tak był tym zaskoczony; przez ułamek sekundy myślał, że to Chabela, ale to tylko pieprzony chłopak: c'tam, tankojemy dale. Munra odpowiedział: gdzie jesteś, na co chłopak: w parku w Villi. Munra spojrział na wskaźnik baku i pomyślał, że najmądrzej byłoby wrócić do La Matosy, poprosić doñę Conchę o litr gorzały na krechę i czekając na powrót Chabeli, pić w łóżku aż do utraty przytomności lub do śmierci, co tam nastąpi pierwsze. Wtedy znowu zabręczał telefon i pieprzony chłopak powiedział, że ma kasę, że zapłaci za benzynę, jeśli Munra zrobi mu łaskę i zawiezie go na występy, z czego aresztowany wywnioskował, że jego pasierb chce, by świadek wyświadczył mu przysługę

i zawiózł go w miejsce, gdzie zdobędzie pieniądze, żeby móc dalej pić, i zaakceptował tę propozycję, dlatego w swoim samochodzie typu zamknięta furgonetka marki Lumina koloru szarobłękitnego, model z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego, z tablicami ze stanu Teksas er gie iks pięćset osiem, pojechał we wskazane miejsce, a dokładnie do parku położonego naprzeciwko ratusza, gdzie spotkał swojego pasierba w towarzystwie dwóch innych osób, z których jedną znał pod pseudonimem Willy, z zawodu sprzedawca filmów na targu; mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni, włosy długie, czarne, ze śladami siwizny, owego dnia ubrany w swój zwyczajny strój – koszulkę w stylu rockowym i czarne buty wojskowe, o których mówi się „trepki”. Trzecią osobą był młody chłopak, o którym wie tylko, że wołają na niego Brando, ale nie ma wiedzy, czy to jego przydomek czy prawdziwe imię, około osiemnastoletni, szczupły, o czarnych oczach i czarnych krótko ściętych włosach postawionych na sztorc, mlecznej karnacji, ubrany w spodenki w kolorze kawowym i koszulkę Manchesteru z numerem Chicharito na plecach. Poza tym znajdował się tam pasierb aresztowanego, którego już opisał; w towarzystwie tych trzech osób aresztowany przebywał przez mniej więcej dwie godziny i w tym czasie w miejscu publicznym przyjęli kilka litrów napoju o smaku pomarańczowym z wódką, który młodzieniec Brando przyniósł już gotowy w plastikowym pojemniku wraz z papierosem z marihuaną, a oni – to znaczy Luismi, Brando i Willy – przyjęli dodatkowo pastylki psychotropowe, co do których rodzaju i nazwy aresztowany nie ma informacji. O godzinie drugiej po południu pasierb aresztowanego spytał go, czy zrobi mu łaskę, o której wspomniał, odpowiedziałem mu, że nie mam benzyny i musi mi najpierw dać pieniądze, i wtedy zdałem sobie sprawę, że to Brando ma kasę, bo dał mi pięćdziesiąt w jednym banknocie i powiedział: zabierz nas do La Matosy, a ja na to: ale potrzebna jest stówka, na co Brando: pięćdziesiąt teraz, pięćdziesiąt w drodze powrotnej. Zgodziłem się i pojechaliśmy, wszyscy poza Willym, który leżał nieprzytomny na ławce i nie widział, jak wsiedliśmy do furgonetki i ruszyliśmy w stronę stacji, gdzie zatankowałem za pięćdziesiąt, a potem pojechałem w stronę La Matosy główną ulicą miasteczka. Brando mnie pokierował, skręciliśmy

w nieutwardzoną drogę po prawej, która prowadzi do Syndykatu. W tamtej chwili właśnie sobie uświadomiłem, że chłopaki chciały, żebym pojechał do domu osoby, na którą mówią Wiedźma, i to mi się nie spodobało, bo nie lubię się kręcić w tamtych okolicach, głównie z powodu rzeczy, o których ludzie gadają, że się dzieją w owym domu, ale nic nie powiedziałem, bo wiedziałem, że chłopaki tylko poproszą tę osobę o pieniądze, że nie zabawią tam długo, bo chodziło jedynie o to, żeby wejść i wyjść, a ja miałem poczekać w samochodzie, a potem mieliśmy pojechać dalej pić, a przynajmniej tak to wyjaśnił Brando, gdy nakazał mu się zatrzymać przy słupie jakieś dwadzieścia metrów od domu Wiedźmy. Powiedział, żeby się stamtąd nie ruszał, że zajmie im to moment, żeby pod żadnym pozorem nie wysiadał ani nie zamykał drzwi samochodu, a Luis mi się nie odzywał, ale zauważyłem, że był bardzo zdenerwowany, obaj byli bardzo zdenerwowani i prawie już nie sprawiali wrażenia pijanych, i pomyślałem, że to dziwne, ale się nie odezwałem. Wreszcie sobie poszli i Munra się nie zorientował, że jeden z nich zabrał mu kulę, i gdy spojrział we wsteczne lusterko, już minęli dom, żeby wejść przez drzwi od kuchni, przez które aresztowany pewnego razu wszedł do tego domu, jedyny raz w życiu, jakieś osiem lat temu. W tamtym czasie Munra miał jeszcze motor i było to przed wypadkiem; Chabela zabrała go tam, żeby go oczyścić, ale gdy drzwi się otworzyły i Munra zobaczył syf panujący w środku – wszystko brudne, kuchnia śmierdząca zepsutym jedzeniem, ściana oblepiona pornograficznymi obrazkami, pomazana farbą olejną, z wypisanymi na niej znakami kabalistycznymi, które kto wie co znaczyły – poczuł się niepewnie, bo tak w ogóle on nie jest stąd, pochodzi z Gutiérrez de la Torre i do tamtego dnia nikt mu nie powiedział, że ta cała Wiedźma to tak naprawdę facet, mężczyzna wtedy czterdziesto- lub czterdziestopięcioletni, który nosił kobiece ciuchy i długie pomalowane na czarno paznokcie, co było przerażające. I chociaż ta osoba miała na sobie coś w rodzaju woalki zakrywającej twarz, wystarczyło usłyszeć jej głos i popatrzeć na jej dłonie, żeby się zorientować, że to homoseksualista, i Munra powiedział Chabeli, że nie chce być oczyszczony, że zmienił zdanie, bo odczuwał zgrozę na myśl, że ten pedzio będzie go dotykał. Chabela się obraziła i potem gadała, że ten wypadek to skutek

tego, że nie poddał się wtedy oczyszczeniu, że Bóg ukarał go za dumę, choć Munra podejrzewał raczej, że to sprawka tej całej Wiedźmy, o której brzydko się wtedy wyraził; no więc tylko dlatego znał wejście od kuchni do tamtego domu, a nie dlatego, że miał jakieś osobiste kontakty z tą osobą, ze względów, o których wspomniałem, z powodu jej zwyczajów i wyglądu, które uważam za ohydne, jednak nigdy nie wyraziłem chęci wyrządzenia tej osobie krzywdy, niczego nie widziałem, już mówiłem, niczego nie widziałem i nie wiedziałem wtedy, co tam się stało, co jej zrobili, nie widziałem, gdy ją mordowali, bo niech pan posłucha, komendancie, ja nawet nie mogę chodzić, od lutego dwa tysiące czwartego roku jestem inwalidą; nie wiem, o jakich pieniądzach pan mówi, przysięgam, że te skurczybyki nic mi nie powiedziały o swoich zamiarach, dali mi tylko pięćdziesiątkę na benzynę i obiecali drugą, ale nigdy jej nie dostałem. Myślałem, że tylko chcą się zabawić z Wiedźmą, przez głowę mi nie przeszło, że chcą ją zabić, nie wysiadłem z samochodu, cały czas siedziałem za kierownicą, czekając na nich, a długo nie było tych sukinsynów i Munra zaczął się denerwować, i już miał stamtąd spieprzyć, ale w końcu usłyszał krzyki Luisiego i odwrócił się; zobaczył, jak biegną do tylnych drzwi samochodu, dźwigają albo ciągną kogoś nieprzytomnego, wsadzają tę osobę do samochodu i przyciskają ją do podłogi, i wtedy jego pasierb i ten drugi krzyknęli: gazu, gazu, i Munra wcisnął gaz do dechy, a samochód poleciał po nieutwardzonej drodze w stronę Syndykatu, ale zamiast się skierować na prawo, w stronę rzeki, chłopaki kazali mu jechać inną drogą, aż do pól uprawnych znajdujących się na tyłach całego kompleksu. Munra znał to miejsce, czasami wieczorami chodził tam z Luisim i innymi, żeby się ochłodzić pod drzewami nad kanałem, zapalić maryskę i popodziwiać niekończące się pola trzciny w świetle zachodzącego słońca, a jako że radio w furgonetce nie działało, ktoś zawsze puszczał muzykę z telefonu na cały głos i dobrze im tam było; mniej więcej na wysokości pierwszego wirażu Wiedźma zaczęła jęczeć, jakby z bólu, i krztusić się, a pieprzone chłopaki wrzasnęły na nią, żeby się zamknęła, skopały ją i gdy tylko dotarli nad kanał, zawołały: zatrzymaj się, stop, i Munra ich posłuchał, a oni wynieśli Wiedźmę, a raczej ją wyciągnęli za włosy i ubranie, rzucili na ziemię i Munra dostrzegł, że włosy tej osoby były całe



skołnionone i mokre, zupełnie mokrutkie, ale dopiero potem zdał sobie sprawę, że to od krwi, bo cała podłoga w furgonetce była uwalana, choć on w tamtym momencie tego nie wiedział i nawet nie próbował sprawdzić. Po prostu siedział za kierownicą, z rękami opartymi o uda i ze wzrokiem utkwionym w karłowatą, nisko płożącą się trzcinę, która wytrzymywała porę deszczową, całe pola pełne trzciny ciągnące się aż do brzegu rzeki, a nawet dalej, do niebieskich wzgórz, a tak naprawdę, taka była prawda, cała prawda, chciał popatrzeć, bo był prawie pewny, że chłopcy mieli zamiar rozebrać Wiedźmę i wrzucić ją do kanału, bo się wygłupiali; robili tak czasami z kimś dla żartu, no żeż, z nudów, ale coś nie pozwalało mu się odwrócić, coś go sparaliżowało, tak że nie odważył się nawet zerknąć w lusterko i miał wrażenie, że nie jest sam, że ktoś siedzi z nim w samochodzie, ktoś, kto teraz przenosił się z tylnego siedzenia do Munry – nawet słyszał hałas sprężyn uginających się pod ciężarem tej osoby lub rzeczy, cokolwiek to było. Munra przypomniał sobie wtedy swój sen i pomyślał o babci Mircei i o tym, co powtarzała zawsze, gdy ktoś wspominał o diable: zachowaj mnie, Boże, tobie się powierzam, wyszeptał, o duszo ma, powiedziałaś Jehowie, ty jesteś moim panem; i wówczas nagle pojawił się wiatr, prawie mokry, wcisnął się przez boczne okno – głupi wiatr – jakby zaraz miało zacząć padać, nagle przycisnął trzcinę do ziemi i z daleka na środku nieba można było dostrzec chmurę przykrywającą słońce, a bezgłówny piorun uderzył w odległe góry, nie wydając żadnego hałasu, żadnego trzasku, nawet gdy rozerwał tamto uschnięte drzewo i je w jednej chwili spalił, i Munra pomyślał, że ogłuchł, bo tamte sukinsyny musiały krzyczeć mu do ucha i nim potrzęsnać, żeby zareagował, żeby przekręcił kluczyk w stacyjce; nie pamiętał, że silnik pracował; żeby zwolnił hamulec ręczny i żeby natychmiast się stamtąd zmyli, a on nie rozumiał nawet, co do niego mówią, podczas gdy prowadził z oczami utkwionymi w polnej drodze, a oni krzyczeli i śmiali się, i czasami mu się wydawało, że się biją, a gdy odzyskał świadomość, była już noc i minęli Krowią Plażę, i jechali po Villi przez główną ulicę do parku przy ratuszu, który o tej porze był pełen ludzi spacerujących i pijących na ławkach, a jacyś chłopcy z grupy wojskowej z liceum ćwiczyli przed pierwszomajowym marszem; i wydawało się, że wszystko jest normalne i spokojne,

bo chłopcy ostatecznie też ochłonęli i kilka przecznic dalej Brando poprosił, żeby go wyrzucili na rogu, więc Munra się zatrzymał i tamten wysiadł. I dopiero gdy szybko stamtąd odjechał, zdał sobie sprawę, że chłopak nie ma już na sobie koszulki Manchesteru, tylko jakąś czarną; i wtedy Luismi przesiadł się do przodu i zaczął coś nucić, jak to czasami robił, gdy siedział sam w swoim domku i myślał, że nikt nie słyszy. W drodze do La Matosy Munra pomyślał, że to tylko żart, wygłup tych pieprzonych chłopaków, tych skurwysynów, którzy mieli porachunki z Wiedźmą i chcieli się po prostu trochę zabawić jej kosztem, co nie? Trochę ją przestraszyć. Skąd miał wiedzieć, że w tamtej chwili była już martwa albo właśnie umierała, skoro ostatecznie nie widział, co jej zrobili? Te pierdolone chłopaki, psie syny, po prostu go wykorzystały, zaproponowały mu kasę, żeby ich zawiózł, i zrobił to, ale nie wiedział, o co im chodziło, to ich musicie zapytać o pieniądze, to oni weszli do domu, a poza tym to oni ciągle tam przesiadywali, w końcu całe miasteczko od lat wiedziało, że Wiedźma i Luismi są kochankami i że pokłócili się o pieniądze, zapytajcie Luismiego, zapytajcie Branda – ten skurwiel mieszka trzy przecznice od parku, prawie naprzeciwko maszyn don Roquego, w żółtym domu z białym wejściem, zapytajcie tego skurwysyna, co zrobili z pieniędzmi i gdzie jest ta pięćdziesiątka, którą mu obiecali, pięćdziesiąt pesos, Munra ma wrażenie, że zapomnieli mu je dać, a on przypomniał sobie o tym dopiero w łóżku, przewracając się w przepoconych prześcieradłach; chciał zasnąć, ale za każdym razem, gdy zamykał oczy, czuł, że wpada w przepaść bez dna; chciał zasnąć, ale zarazem nie mógł przestać myśleć o Chabeli i jakiś czas spędził, wydzwanając pod jej numer, ale ciągle miała wyłączony telefon, w końcu w pewnym momencie, już o świcie, pomyślał nawet, żeby poprosić chłopaka o te pieprzone pastylki, ale nie miał odwagi przejść przez podwórze po ciemku, a poza tym o tej porze ten skurwysyn pewnie łyknął już wszystkie, taki był zachłanny – pewnego dnia połknie ich tyle, że już się więcej nie obudzi, pomyślał Munra, nim zapadł w niespokojną drzemkę.

## V

**T**o cud, mój synek to cud, powtarzała kobieta w różowym szlafroku. To dowód na to, że Bóg istnieje i święty Tadeusz Juda może zrobić wszystko, nawet w sprawach beznadziejnych, popatrz tylko. Spuściła wzrok i uśmiechnęła się promiennie do dziecka, które ssało jej lewą pierś – opłacił się ten rok modlitw, całutki rok, każdego dnia, nawet gdy nie mogłam wstać z łóżka i czułam, że zaraz umrę ze smutku, nawet wtedy modliłam się do świętego Tadeuszka i błagałam go, by moje dziecko przeżyło, by moja macica go nie wyrzuciła, żeby nie było jak z tamtymi, kiedy choć tak bardzo o siebie dbałam i zażywałam tyle witamin, ostatecznie je wyrzucała, ta krew na ubraniu w łazience, mogłam tylko płakać. Nawet śniłam o krwi, śniłam, że się nią dławię, po latach biegania do łazienki, żeby dowiedzieć się tylko, że znowu je straciłam – osiem razy, siostrzyczko, osiem razy w ostatnich trzech latach, przysięgam na świętego Boga, że nie kłamię. Nawet moja doktorka mnie ochrzaniała i mówiła: twoja macica je wyrzuca, brakuje ci tego, brakuje ci tamtego, trzeba operować i kto wie, jak to się skończy, już lepiej więcej nie zachodź w ciążę, daj sobie spokój, mówiła ta stara suka. Ale ona nie ma faceta ani dzieci, najpewniej sama jest jałowa, bo ciągle mówiła, że mój organizm się broni, może lepiej zaadoptować chłopaka, uparciuchu, tak właśnie mi powiedziała. To przez nią mój mąż już nie chciał robić sobie złudzeń, a ja byłam pewna, że niedługo zażąda rozwodu, kiedy pewni znajomi, przyjaciele kumy mojej siostry, powiedzieli mi, że powinnam się modlić do świętego Tadeuszka, ale tak porządnie, a niech mnie, że powinnam mieć zdjęcie brzucha i zanieść do niego, żeby je pobłogosławił, że mam przynosić mu bukiety, sandałowe świece i modlić się codziennie, żarliwie i w pokorze, a ja sobie pomyślałam: w końcu nic nie stracę, jeśli spróbuję, no i popatrz, święty Tadeuszek uczynił cud, siostrzyczko, wreszcie

dał mi mojego aniołka – nazwę go Ángel de Jesús Tadeo, w podziękę Bogu i świętemu za ten cud, bo przecież to cud, prawda? Prawdziwy cud. Na te słowa urodzony przed sześcioma godzinami Ángel de Jesús Tadeo potrząsnął piąstkami i jęknął wyczerpany panującym w pomieszczeniu upałem. Coś w płaczu tego dziecka sprawiło, że leżąca w łóżku obok Norma dostała gęsiej skórki i gdyby nie była przywiązana do poręczy szorstkim bandażem, który już otarł jej nadgarstki do mięsa, zasłoniłaby sobie rękami uszy, żeby nie musieć słuchać beczenia dziecka ani przesłodzonego gruchania kobiet. I nie tylko: gdyby nie była przywiązana do łóżka, już by stąd uciekła, jak najdalej od tego szpitala, od tego okropnego miasteczka, nawet bosa i w fartuchu, który nie zasłaniał jej pleców ani pośladków, bez niczego tam na dole poza własnym napuchniętym ciałem. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko uciec od tych kobiet, od ich podkrążonych oczu, ich rozstępów i jęków, od ich wychudzonych dzieci o żabich ustach przyssanych do czarnych sutków, a przede wszystkim od tego zapachu panującego w dusznej sali – smrodu mleka zmieszanego z potem, słodkawego i jednocześnie kwaśnego. Norma czuła, jak ten smród oblepia jej skórę, i przypominała sobie tamte popołudnia, kiedy w pokoiku w Ciudad del Valle nosiła Patricia i kołysała go w ramionach, chodząc od ściany do ściany, żeby tylko się nie udusił. Masowała małą pierś dłonią, żeby ogrzać powietrze w jego płucach, które uciekało przez usteczka brata z głuchym hałasem, jakby astmatyczne dyszenie – Norma była przekonana, że płuca biednego Patriciagniły. Biedaczek, kto kazał mu się rodzić w styczniu, kiedy w Ciudad del Valle jest tak zimno, a jeszcze zimniej w tamtym pokoiku, gdzie wtedy mieszkali, rzut beretem od dworca autobusowego – jedno pomieszczenie, dostawka z betonu i czystego cementu za pięciopiętrowym budynkiem, który zabierał całe ciepło, jakie dawało słońce. Czasami się budzili, wypuszczając parę z ust – pięć osób w jednym łóżku, pod okryciami i wszystkimi ubraniami, jakie posiadali. Kołyska Patricia wisiała nad nimi, blisko żarówki, którą na cały dzień zostawiali zapaloną, żeby przynajmniej ona choć trochę go grzała, żeby nie było mu za zimno tam wysoko, gdzie żadne z nich nie mogło go przydusić, czego bała się matka. Ona dobrze wiedziała, że Patricio oddycha z trudem, Norma już opowiedziała jej o świście, który nieustannie

wydobywał się z jego gardła, jakby połknął gwizdek, i teraz, wymachując szaleńczo piąstkami w zmrożonym powietrzu pokoiku, starał się wyrzucić go z siebie za pomocą kaszlu i sapania, bez skutku. Więc Norma kołysała go i czasami w desperacji, żeby mu pomóc, wkładała palec do malutkiej buzi, licząc, że uda jej się wyczuć to, co go dusi – wyobrażała to sobie jako coś w rodzaju stwardniałej kuli zielonej flegmy, ale nigdy jej nie dotknęła. Matka wiedziała, bo Norma opowiedziała jej wszystko, być może dlatego nie krzyczała ani nie biła, ani nie powiedziała jej, że jest głupią dziewczuchą, która niczego nie umie porządnie zrobić, tamtego ranka, kiedy Patricio o świcie okazał się cały niebieski i sztywny w kołysce nad łóżkiem, w którym wszyscy spali na kupie – matka po jednej stronie i Norma po drugiej, a trójka maluchów pomiędzy nimi, żeby żadne z nich nie spadło i nie skręciło sobie karku na cementowej podłodze, mawiała matka, i Norma z rezygnacją jej przytakiwała, i całą noc leżała na swoim brzeżku, nawet kiedy miała tak silną potrzebę się wysikać, że nie mogła zasnąć; leżała nieruchomo pod kocami, zaciskała mięśnie, zatrzymywała powietrze w płucach, próbując rozpoznać oddech matki wśród chrapania i westchnień rodzeństwa. Miała nawet chęć wyciągnąć nad nimi rękę i dotknąć matczynej piersi, żeby sprawdzić, czy nadal oddycha, czy jej serce bije, czy nie jest sztywna i zimna jak biedny Patricio, a jednocześnie powstrzymywała potrzebę wysikania się tak samo jak teraz w szpitalnym łóżku, otoczona rozczochranymi kobietami i tymi wszystkimi beczącymi bachorami oraz paplającymi nieznośnie krewnymi. Zaciskała uda i zęby, napinała obolałe mięśnie brzucha, żeby powstrzymać ciepły wąski strumień moczu, który mimo wszystko jakoś wyciekał, sprawiając ból. Norma zamykała wtedy oczy, z czystego wstydu, nie chciała widzieć ciemnej plamy, która nagle wykwitowała na jej fartuchu i wsiąkała w prześcieradło. Nie chciała widzieć zmarszczonych z odrazy twarzy kobiet w sąsiednich łóżkach ani oskarżycielskich spojrzeń pielęgniarek, gdy w końcu łaskawie postanowiły ją przebrać, nie rozwiązując jej jednak ani na chwilę, bo takie wytyczne otrzymały od pracownicy społecznej: trzymać ją związaną, aż przyjedzie policja albo aż wyzna, co zrobiła, bo nawet w znieczuleniu, które jej podali, zanim lekarz wsadził jej żelastwo, nie udało się z niej wycisnąć żadnej informacji, jej

imienia, prawdziwego wieku ani tego, co zażyła, kto jej to dał, gdzie je wyrzuciła, a tym bardziej wyznania, dlaczego to zrobiła. Pracownica społeczna nie była w stanie niczego z Normy wydusić, nawet gdy nawrzeszczała na nią, żeby nie była głupia, żeby powiedziała, jak się nazywa jej chłopak, ten sukinsyn, który jej to zrobił, gdzie mieszka, bo policja musi go aresztować, jako że ten arcydrań spieprzył ze szpitala i ją tu zostawił. Nie wkurza jej to? Nie chce, żeby i on za to zapłacił? Norma, która właśnie zaczęła zdawać sobie sprawę, że to wszystko dzieje się naprawdę, że to nie jest tylko okropny sen, zacisnęła usta, potrząsnęła głową i nie powiedziała ani słowa, nawet gdy pielęgniarki rozebrały ją na oczach wszystkich czekających na swoją kolej na izbie przyjęć, nawet gdy łysy lekarz wsadził głowę między jej uda i zaczął grzebać w cipce, której Norma już nie uznawała za własną, nie tylko dlatego, że nie czuła teraz nic poniżej żeber, lecz również dlatego, że gdy wreszcie udało jej się podnieść głowę i skupić wzrok, zobaczyła zaczerwienioną i ostrzyżoną cipkę, która w niczym nie przypominała jej własnej. Nie dowierzała, że ten kawałek ciała należy do niej, że cała ta pozółkła fałda, pokryta gęsią skórą jak martwe kurczaki na targu, to również ona. W tamtej chwili postanowili ją związać, ponoć po to, żeby leżała spokojnie, gdy będą wkładać jej do środka żelastwo, żeby nie zrobiła sobie krzywdy, ale Norma wiedziała, że chodzi raczej o to, żeby nie uciekła, a miała wielką ochotę zwać z tej sali, nawet zupełnie goła i mimo wciskającego się przez otwarte drzwi na końcu korytarza przeciągu, który wprawiał ją w drżenie i wywoływał szczękanie zębami. Przeciąg był nawet ciepły, być może trochę duszny, ale dla dziewczyny z czterdziestostopniową gorączką był mroźny, zupełnie jak wiatr, który nocami zstępował z gór otaczających Ciudad del Valle, z tych wielkich błękitnawych skał pokrytych sosnami i kasztanami, które czternastego lutego przed paroma latami poszli poznać z Pepem, bo jak to możliwe, że Norma, jej rodzeństwo i ich matka tyle czasu mieszkali w Ciudad del Valle i nie poznali tych lasów – tracili piękny widok, prawdziwy spektakl Matki Natury w pełnym rozkwicie, powiedział ten pajac Pepe. Śnieg, zobaczymy śnieg!, podśpiewywało jej rodzeństwo, gdy wspinali się po ścieżce wijącej się między wielkimi drzewami. Początkowo Norma biegła razem z nimi, zachwycona spacerem i widokiem miasta u

swoich stóp, bliskością chmur oraz szronem pokrywającym porosty i ściółkę, ale co ona sobie myślała, gdy się ubierała tamtego ranka – nie włożyła skarpet i gdy wilgoć ściółki szybko przesiąkła przez dziurawe podeszwy butów, stopy jej odmarzły, były tak zimne i sztywne jak biedny Patricio, a gdy ból okazał się już nie do zniesienia, Pepe musiał przerwać wycieczkę i znieść ją w dół, aż do przystanku autobusowego, z którego mieli wrócić do miasta, nie dotarłszy na szczyt, nie dotknąwszy śniegu. Nie zebrali go i nie ulepili bałwana, jak to widzieli w telewizji; jej rodzeństwo wyło z powodu rozczarowania, a wszystko przez jej głupotę, przez jej kretynstwo, bo jest taką idiotką, powiedziała matka, bo ma zwyczaj wszystko niszczyć w najgorszym momencie. Norma przez całą drogę powrotną płakała bezgłośnie, podczas gdy Pepe starał się żartować sobie z tego, co zaszło, jak robił zawsze, żeby ugłaskać matkę, gdy była obrażona. Lecz matka przez całą drogę patrzyła na Normę groźnie, takim samym oskarżycielskim wzrokiem i z zaciśniętymi ustami jak pielęgniarki, gdy się dowiedziały, dlaczego przywiązano Normę do łóżka. Takie spojrzenie kierowała na nią pracownica społeczna, gdy ją przyjęli do szpitala: te kurwy nie umieją się nawet podetrzeć, a już chcą się pieprzyć, powiem doktorowi, żeby cię skrobał bez znieczulenia, może się czegoś nauczysz. Z czego zapłacisz za szpital i wszystko, co? Kto się tobą zajmie? Podrzućli cię tu i zaraz spierdzielili, bo nic ich nie obchodzisz, a ty jesteś taką kretynką, że ich bronisz. Jak się nazywa ten, co ci to zrobił? Podaj jego nazwisko albo to ty wylądujesz w więzieniu za to, że go ukrywasz, nie bądź głupia, dziewucho. Norma prawie mdlała z powodu zimnego wiatru, który ciągnął od otwartych w korytarzu drzwi, zamknęła oczy i zacisnęła usta, wyobrażając sobie uśmiechniętą twarz Luismiego, jego zmierzwione włosy, kasztanowe, prawie czerwone w słońcu, włosy, które zwróciły jej uwagę, gdy podszedł do niej w parku. Biedny Luismi nie miał pojęcia, co ona zrobiła, co Wiedźma jej zrobiła, do czego namówiła ją Chabela, bo najpierw Wiedźma powiedziała, że nie i nie, w końcu Chabela musiała ją błagać: dajże spokój, siostrzyczko, trzeba pomóc tej biedaczce, nie bądź durna, pieprzona Wiedźmo, nie odstawiaj mi tu teraz scen, ile razy oddałaś tę przysługę mnie albo moim dziewczynom, co ci szkodzi, ile mam ci zapłacić? Ale Wiedźma tylko kręciła głową i nie zwracała uwagi na słowa Chabeli, zajęta stertą

śmieciami, które przenosiła w tę i we w tę po zasyfionej kuchni, tym niskim pomieszczeniu o przekrzywionych i zawalonych półkami ścianach, pełnym zakurzonych naczyń, obrazków magicznych oraz innych, na których widnieli święci z wydrapanymi oczami, a także zdjęć cycaty bab rozkładających szeroko nogi. No weź, pieprzona Wiedźmo, nawet chłopak się zgadza, prawda, ślicznotko?, spytała Normę, a ta nic nie powiedziała, ale gdy poczuła, jak Chabela pod stołem kopie ją w łydkę, natychmiast energicznie przytaknęła. Wtedy Wiedźma wbiła w nią wzrok i Norma poczuła, że przechodzi ją dreszcz, ale udało się jej go opanować – kto wie, co tamta wyczytała w jej oczach, bo po chwili mieszania jakiejś brei w garnku powiedziała, że dobrze, że to robi, że przygotowuje Normie swój słynny wywar, gęsty i słony, okropnie palący z powodu alkoholu, który Wiedźma do niego dodała razem z garściami ziół i jakimś proszkiem z brudnego flakonu. Na koniec wszystko to przelała do szklanej buteleczki i postawiła przed Normą na stole, obok resztek zgniłego jabłka, które leżało na pokrytym grubą solą talerzu, przecięte długim nożem i otoczone martwymi płatkami. Wiedźma nie chciała przyjąć od nich pieniędzy, Chabela jednak położyła na stole banknot o nominale dwustu pesos, lecz tamta spojrziała na niego z odrazą, aż Norma pomyślała sobie, że na pewno spali go, gdy one wyjdą, co zrobiły, jak tylko Wiedźma podała im wywar – ku wielkiej uldze Normy. Ale gdy już znalazły się na zewnątrz, gdy weszły na ścieżkę prowadzącą do domu Chabeli, usłyszały, że Wiedźma krzyczy za nimi przez uchylone drzwi do kuchni, woła je tym swoim dziwnym głosem, zarazem wysokim i chropowatym. Norma się odwróciła i stwierdziła, że Wiedźma zwraca się do niej, chociaż znowu miała na twarzy woalkę: Musisz wypić wszystko!, krzyczała. Wypić do dna i powstrzymać wymioty! Będzie cię rozrywało od środka, ale wytrzymaj...! Nie bój się! Przyj i przyj, aż... I pochowaj je! Chabela gwałtownie pociągnęła ją za rękę, wbijając jej paznokcie w skórę. Ta pierdolona wariatka myśli, że jestem w tych sprawach nowicjuską, zrzędziła i udawała, że niczego nie słyszy, przyspieszając kroku. Lepiej zostań!, poprosiła na koniec Wiedźma, ale jej głos z trudem już do nich docierał. Normie nie udało się dosłyszeć, co jeszcze chciała im powiedzieć czarownica, ziała z powodu wysiłku, żeby nadążyć za Chabelą, i jednocześnie



w drugiej ręce ścisnęła buteleczkę, żeby tylko jej się nie wyślizgnęła i nie rozbiła. Pieprzona Wiedźma, narzekła Chabela, coś mi się zdaje, że skapcianiła, przesadza, kurwa, tak jakbym nie wiedziała, co mam, do chuja, robić, no proszę cię, przecież pierwsza się zorientowałam, że masz brzuchol, co nie? Zdradziła cię ta kreska, kiedy się rozebrałaś, żeby przymierzyć moją sukienkę, bo tamta twoja to był łachman, ślicznotko, pamiętasz? Norma dobrze pamiętała; minęły ledwie trzy tygodnie od dnia, w którym Luismi zabrał ją do swojego domu; trzy tygodnie od tamtej pierwszej wspólnej nocy, podczas której prawie nie zmrużyli oka, opowiadając sobie historie i wszelkie kłamstwa, bo się jeszcze dobrze nie znali, nie wiedzieli nic o sobie. Szeptali na gołym materacu, leżąc w kompletnych ciemnościach, bo żarówka w domku Luisiego się spaliła i mogli dostrzec tylko błysk swoich zębów za każdym razem, gdy się śmiali. Tamtej nocy ostatecznie się pieprzyli czy coś w tym rodzaju, częściowo dlatego, że Norma całą noc czekała, aż on położy się na niej, żeby w ten sposób odebrać zapłatę za swoją gościnność, i bała się, że chłopak wówczas się zorientuje, że pozna po jej krągłym brzuchu albo smaku w ustach, ale miała szczęście, bo Luismi nawet jej nie pocałował tamtej nocy i jeśli w ogóle jej dotknął, to tylko czubkami palców – nieśmiało pieszczoty, czasami można było je pomylić z natrętnym dotykiem owadów, które wciskały się do pokoiku przez półotwarte drzwi, być może zwabione wonią ich potu. Rozbierali się stopniowo, żeby lepiej znieść upał, duchotę, którą Norma odczuwała jako coś wyrastającego z jej wnętrza, ze środka tego przekłętego wypiętego brzucha, który w końcu ją zdradzi, gdy tylko Luismi wyciągnie rękę, żeby ją popieścić; ale on nawet nie spróbował. Niczego w zasadzie nie spróbował tamtej nocy, po prostu leżał obok Normy i westchnął, gdy jej niecierpliwe z powodu niepewności i wyczekiwania ręce zdecydowały się przejąć inicjatywę i zaczęły się bawić jego penisem, ciągnąc go w taki sam sposób, w jaki przed laty pociągały za ptaszka Gustava albo Manola, kiedy Norma kąpała braci; bawiło ją, że ich paróweczki rosły i twardniały, gdy ich dotykała. Luismi, tak samo jak wtedy tamci, leżał spokojnie i zamruczał tylko, gdy postanowiła go dosiąść, gdy usiadła na jego kościstych biodrach i ocierała się o niego w tym żwawym rytmie, który Pepe tak lubił; Luisiego raczej to nie

poruszyło, bo Norma nie słyszała jego jęków ani nie poczuła jego dłoni na swoich piersiach lub pośladkach, nic. Zachowywał się cicho i nie poruszał się, aż Norma, nie mogąc dojrzeć jego twarzy, pomyślała, że usnął pod nią, i poczuła upokorzenie, a w kącikach oczu pojawiły się jej nawet łzy. Odsunęła się od niego i położyła na materacu plecami do chłopaka – była cała spocona z powodu tego daremnego wysiłku, wzrok wbiła w aksamitny skrawek nocy, który widać było za zamontowaną w wejściu deską służącą za drzwi. Już miała zasnąć, ale poczuła ruch za plecami; ręka Luismiego spoczęła nieśmiało na jej nagim biodrze, a jego suche usta pocałowały ją między łopatkami i Norma poczuła dreszcz, sięgnęła do niego dłonią, ale tym razem to on przejął inicjatywę i nie odrywając ust od jej pleców, wszedł w nią nagle, z zaskakującą łatwością, biorąc pod uwagę, że chodziło o inną dziurę, jedyną w ciele Normy, której Pepe nie mógł uznać za swoją, bo takie praktyki budziły w niej wstręt i obawiała się, że będzie bardzo ją boleć, chociaż z Luismim okazało się to nawet przyjemne, być może dlatego, że chłopak nie próbował rozgnieść jej swoim ciałem, a może dlatego, że poruszał się inaczej niż Pepe, wchodził i wychodził z niej w swoistym rytmie, który nagle w nieunikniony sposób sprawił, że wydała z siebie jęk rozkoszy, stłumiony odgłos, na co Luismi zastygł, jakby nagle zmroził go strach, i to Norma musiała wrócić do poprzedniego ruchu, niecierpliwiąc się, kiedy wreszcie dojdzie, kiedy poczuje, jak dochodzi w niej, jakby zdesperowana, żeby zakończyć tę sprawę raz na zawsze, lecz po paru chwilach frenetycznych ruchów, wciągania go w głąb swojego ciała, Luismi bez słowa ponownie położył dłoń na jej biodrze i niezwykle delikatnie, prawie przepaszając ją w milczeniu, odsunął się od niej, zupełnie sflaczały. Nie wiadomo, ile czasu minęło, nim Norma wreszcie zasnęła, ale gdy się obudziła z powodu klucia w boleśnie pełnym pęcherzu, zdała sobie sprawę, że nastał dzień. Próbowała obudzić Luismiego, żeby jej powiedział, gdzie znajdzie łazienkę, ale w ogóle nie reagował, nawet gdy potrząsnęła go za ramię – nadal spał zwinięty w kłębek, a czubki kręgow żałośnie wystawały mu spod ciemnej skóry. Był tak chudy, Norma pomyślała nagle, że może jest od niej młodszy – ta jego sflaczała skóra pod żebrami i wychudły penis przypominający przestraszonego ślimaka ukryty w gąszczu włosów

między nogami, chude ramiona i pełne usta zaciśnięte wokół kciuka, który ssał przez sen. Norma usiadła na materacu i włożyła tę samą sukienkę, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Myślała, że Luismi się obudzi, gdy usłyszy jej ruchy, ale on nadal spał z palcem w ustach, nawet gdy wstała i przesunęła deskę służącą za drzwi – zaraz wyszła na dwór i kucnęła w głębi podwórka, żeby się wysikać. Gdy sobie ulżyła, potrząsnęła pupą, by strząsnąć ostatnią kroplę moczu, która mogłaby spłynąć jej po nodze, wstała i opuściła sukienkę, następnie spojrzała na murowany dom po drugiej stronie działki i ku swojemu zaskoczeniu w jednym z otwartych okien dostrzegła kobietę o długich kręconych włosach, która dawała jej ręką znaki. Norma się rozejrzała, by sprawdzić, czy nie chodzi o kogoś innego, ale na podwórzu była sama. Nie bądź jak świnia, ślicznotko, brzmiało pierwsze zdanie, jakie wypowiedziała do niej kobieta, gdy Norma podeszła do okna. Uśmiechała się do niej grubymi ustami pomalowanymi szminką w kolorze czerwieni granatu. Miała odsłonięte ramiona i rozpuszczone włosy, które z powodu porannej wilgoci spuszyły się i wyglądały jak rudawa aureola wokół przypudrowanej twarzy upstrzonej ciemnymi liniami w miejscu, gdzie spłynął makijaż. To na pewno matka Luisiego, pomyślała Norma, dostrzegłszy podobieństwo między włosami ich obojga; poczuła, jak policzki płoną jej ze wstydu. Kobieta zapaliła papierosa. Mamy tu łazienkę, powiedziała, wypuszczając pierwszy kłęb dymu nad głową Normy. Wskazała wewnątrz domu papierosem. Jeśli potrzebujesz skorzystać, po prostu wejdź, nie bój się, ja nie gryzę. Norma skinęła głową i jak otepiała wpatrywała się w dwa rzędy idealnych, choć trochę pożółkłych zębów, które pojawiły się za pomalowanymi ustami, nadając kobiecie nieco pajacowaty wygląd. Nazywam się Chabela, powiedziała kobieta. A ty? Norma, odpowiedziała dziewczyna po chwili namysłu. Norma, powtórzyła Chabela, Norma... Wiesz co? Wyglądasz jak Clarita, moja najmłodsza siostra. Kupę lat jej nie widziałam, ale jesteś strasznie do niej podobna. I pewnie też jesteś taką małą kurewką, c'nie? Bo właśnie się pieprzyłaś z tym skurczybykiem, c'nie?, powiedziała i uniosła pomalowane czarną kredką cienkie brwi, pokazując papierosem w stronę skleconego z byle czego budynku, w którym ciągle spał Luismi. Norma przygryzła wargi i zarumieniła się po raz kolejny,

a Chabela zrozumiała jej milczenie na swój sposób, wybuchła szczerym śmiechem, a potem krzyknęła tak głośno, że pewnie słyhać ją było w tej mgle poranka aż na poboczu: Przesadziłeś, skurwielu! Jest całkiem młodziutka! Potem zwróciła się ponownie do Normy, już z innym uśmiechem, raczej napiętym niż dobrodusznym: naprawdę okropnie jesteś podobna do pieprzonej Clarity, ślicznotko, tyle że przydałaby ci się kąpiel, nieco jedzie od ciebie zepsutą rybą, a ta pieprzona sukienka jest cała brudna. Innej nie mam, przyznała Norma cienkim głosem, a Chabela wywróciła oczami, by okazać swoje oburzenie. Pospiesznie zaciągnęła się papierosem ostatni raz i rzuciła niedopałek bez gaszenia. Pełnym gracji machnięciem ręki nakazała Normie wejść do środka, ale dziewczyna się zawahała. No już, nie bądź durna, krzyknęła Chabela i zniknęła za oknem. Norma obeszła dom i weszła przez otwarte drzwi prowadzące do pokoju, który chyba służył jednocześnie za salon, jadalnię i kuchnię. Jego ściany pomalowano na różne odcienie zieleni, a w środku pachniało popiołem z papierosów, syfem z pieca i przetrawionym alkoholem. Na samym środku stał fotel, w którym rozwalił się jakiś mężczyzna, nogi rozstawił szeroko, a ręce złożył na brzuchu. Nosił przyciemniane okulary, a jego rzadkie wąsy poprzetykane były siwizną; oglądał telewizyjny konkurs przy prawie wyciszonej fonii. Norma zawahała się w progu, wymamrotała dzień dobry i gdy przechodziła przed ekranem, pochyliła głowę, żeby nie przeszkadzać mężczyźnie, choć kilka sekund później, gdy facet otworzył usta i wydał z siebie długie dźwięczne chrapanie, zdała sobie sprawę, że twardo śpi. Idąc za zapachem papierosa i zachrypniętym głosem Chabeli, która ani na chwilę nie przestawała mówić, Norma przeszła przez krótki korytarz i stanęła w jedynych otwartych drzwiach. To moja sypialnia, przywitała ją Chabela. Podoba ci się? Zanim Norma zdążyła odpowiedzieć, kobieta kontynuowała: To ja wybrałam kolory, chciałam, żeby przypominała pokój gejszy, c'nie? Mam tu trochę sukienek, których prawie nie noszę, myślałam, żeby zanieść je dziewczynom z Excalibura, ale te dziwki nie umieją okazywać wdzięczności, pieprzone gruboskórne kurwy, niech je szlag. Norma przyjrzała się czerwonym i czarnym ścianom, zasłonkom z białej gazy, nieco już pożółkłym z powodu wilgoci i dymu papierosów, wielkiemu łóżku, które zajmowało prawie cały pokój – leżała na

nim sterta ubrań, butów, słoiczków z kremem i akcesoriami do makijażu, do tego wieszaki i staniki. Przymierz to, nakazała jej Chabela. W rękę trzymała sukienkę z lycry w niebieskie kropki na czerwonym tle. No, wskakuj, już ustaliśmy, że nie gryzę. Nie stój tak, ślicznotko. Przypomnij mi: jak masz na imię? Norma otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Chabela nie dała jej szansy: Ten świat należy do ludzi zwawych, stwierdziła władczo, jeśli się wahasz, zgniotą cię. Musisz więc wymóc na tym durniu, żeby kupił ci ubranie. Nie bój się, mężczyźni tacy już są: pierdolone łajzy i darmozjady, których trzeba zdrowo obsobaczyć, żeby był z nich jakiś pożytek. To samo z tym pieprzonym chłopakiem, albo będziesz twarda jak kutas, albo on wyda kasę na ćpańsko i niedługo to ty będziesz stratna, bo będziesz musiała go utrzymywać, Clarito. Mówię ci to, bo go znam, bardzo dobrze znam tego nieszczęsnego kutasa i wszystkie jego manie, w końcu sama go urodziłam. Więc nie czaj się, tylko wymagaj – niech ci kupi ubranie, niech ci da na wydatki, niech cię zabierze na spacer po Villi, bo tacy faceci muszą być stale czymś zajęci, ciągle gdzieś się spieszyć, inaczej będą oddawać się świństwu. Norma przytaknęła, ale musiała zasłonić sobie usta, na których mimowolnie pojawił się uśmiech, gdy Chabela na moment zamilkła i obie kobiety usłyszały potężne chrapanie mężczyzny leżącego w salonie. Pieprzona Clarito, widzę, że srasz ze śmiechu, ty suko, fuknęła na nią Chabela, choć również się uśmiechnęła, pokazując swoje ogromne zęby. Sama widzisz, ten pierdolony zawalidroga kiedyś był mężczyzną z prawdziwego zdarzenia, przystojnym skurczybykiem, zanim przytrafił mu się tamten wypadek. Nieźle mi go pokiereszowali, Clarito, zmienili w jebanego darmozjada, gównianego pijaczykę, który nie potrafi nawet zrobić kawy, gdy wracam wykończona z roboty. Powinnam go posłać do diabła, prawda? Zamienić go na nowszy model, na prawdziwego faceta, wiesz co, nie brakuje mi zainteresowanych. Tak wykończoną po nocce, jak mnie teraz widzisz, obskakują, gdy tylko pojawię się w Villi; na moje pstryknięcie szereg byczków rzuciłby się do walki o to, kto jest bardziej godny, by ze mną być, zdobyć moje łaski... Ale wejdź, Clarito, nie bój się, ślicznotko. Norma weszła do pokoju z sukienką w rękę, oszołomiona paplaniną Chabeli i dymem papierosów, których tamta nie przestawała palić, nawet nie kaszłała i nie chwyciła

powietrza, chociaż trzymała papierosa między zębami, gdy się pochyliła, żeby zebrać rzeczy z podłogi i rzucić je na łóżko albo wziąć kupkę ciuchów z kołdry i zepchnąć ją na podłogę. Jak myślisz, Clarito? Posłać go do diabła czy dalej utrzymywać tego pierdolonego łachudrę? Ostatecznie to mój dom, kurwa, zbudowany z ciężkiej pracy mojej dupy, nie myśl sobie, że ten leń ruszył tu choćby palcem. Chabela uniosła ręce spodem dłoni do góry i obróciła się, pokazując meble i inne sprzęty w pokoju, ściany i zasłony, pewnie chciała zaprezentować w ten sposób dom i działkę, jeśli nie całe miasteczko. Norma zagryzła wargi, czując odpowiedzialność za to, co zaraz powie, ale na szczęście Chabela nie czekała na jej zdanie i kontynuowała swoją przemowę. Musisz być sprytna, Clarito, jesteś przecież taka młoda, ślicznotko, mogłabyś poszukać sobie kogoś lepszego niż ten pieprzony wałkoń. Wybacz, że walę tak prosto z mostu, ale mówię to od serca: nie mam pojęcia, co ty w nim, do cholery, widzisz, ale na pewno możesz trafić na coś lepszego, obie dobrze wiemy, że ten skurwiel w życiu nie robi niczego porządnego. Jak chcesz, to ci pożyczę na drogę, ślicznotko, żebyś wróciła do swoich, skąd tam jesteś, bo dałabym sobie uciąć jaja, których nie mam, że nie jesteś z La Matosy... C'nie? Ani nawet z Villi? Oj, Boże drogi! Co tak sterczysz, Clarito? Zdejmuj ten pieprzony łach, dziewczyno. Nie mów tylko, że się wstydzisz, w końcu u mnie jest to samo co u ciebie. No już! Norma nie miała wyjścia, musiała zdjąć bawełnianą sukienkę, która opadła na podłogę, podczas gdy dziewczyna szybko wsadziła głowę i ramiona w sukienkę matki Luisiego. Materiał był mięciutki i dopasowywał się do ciała. Przyjrzała się sobie w lustrze wiszącym na jedynej pomalowanej na czarno ścianie i przeraziła się tym, że jej brzuch stał się widoczny jak nigdy. Pieprzona Clarito, powiedziała Chabela za jej plecami, dlaczego nie powiedziałaś, że zaciążyłaś? Twarz matki Luisiego pojawiła się w lustrze nad ramieniem Normy. Jej usta w kolorze czerwieni granatu uśmiechały się złośliwie. Pokaż się, nakazała, a przerażona bliskością tej kobiety o pełnym determinacji głosie Norma lekko się pochyliła, żeby złapać za skraj sukienki i ją unieść. Chabela nie patrzyła na jej owłosione nogi i odsłoniętą cipkę, skupiła swoje wilcze spojrzenie na krągłym brzuchu dziewczyny. Paznokciem pomalowanym na fluorescencyjną zieleń

przesunęła po purpurowej linii biegnącej na brzuchu Normy od włosów łonowych po pępek. Dziewczyna poczuła coś w rodzaju zawrotu głowy, wzdrygnęła się, jakby ktoś przejechał właśnie kredą po tablicy, to nie były łaskotki. Zdradza cię ta kreska, powiedziała Chabela. Norma opuściła sukienkę i odwróciła się w stronę okna, popatrzyła na odległy rząd palm poruszających się na wietrze – częściowo dlatego, że wstydziła się spojrzeć na Chabelę, a częściowo, by uniknąć dymu z kolejnego papierosa. To dziecko Luisiego?, spytała kobieta. Nie, odparła Norma. On wie? Dziewczyna wzruszyła ramionami, ale zaraz pokręciła głową. Nie, powtórzyła. Spojrzała na Chabelę w lustrze. Kobieta wpatrywała się w jej bebeczki przymkniętymi oczami, zamyślona. Założyła ręce na piersi i zaczęła nerwowo strzepywać popiół z papierosa. No dobrze, powiedziała w końcu, wypuszczając ogromny kłąb dymu kątem ust, nic mu na razie nie powiemy, c’nie? Norma nadal patrzyła na jej odbicie w lustrze. Bo ty nie chcesz urodzić, prawda? Norma poczuła, że palą ją uszy, znowu zapłonęły jej policzki. Bo jeśli nie chcesz, znam kogoś, kto nam może pomóc, kogoś, kto zna się na tych sprawach. Trochę jej padło na mózg, biedaczce, i można się jej przestraszyć, ale w gruncie rzeczy to dobra osoba, zobaczysz, że nawet nie weźmie od nas pieniędzy. Nie masz pojęcia, od ilu kłopotów nas uwolniła – mnie i dziewczyny z Excalibura. Możemy ją poprosić, żeby ci wyświadczyła tę przysługę, jeśli nie chcesz urodzić, a może jednak chcesz? Musisz się zdecydować, ślicznotko, i to szybko, bo ten brzuchol nie będzie już malał. Norma nie mogła spojrzeć Chabeli w oczy, nawet w lustrze, więc wbiła wzrok we własne ciało. Nie tylko miała brzuch wielki jak jeszcze nigdy, jej piersi również nabrzmiały – urosły może nawet o dwa numery, trudno stwierdzić. Tydzień wcześniej przestała wkładać swój jedyny biustonosz i oczywiście nie miała go na sobie tego dnia, kiedy zdecydowała się na ucieczkę z domu. Tylko ta sukienka jeszcze na nią pasowała, bawełniana sukienka, którą Chabela z odrazą podniosła dwoma palcami z podłogi. To było ubranie, które Norma miała na sobie, gdy zdecydowała się uciec z Ciudad del Valle, do tego włożyła sandały i sweter, jak się szybko okazało, bezużyteczny w upale, który się zaczął, gdy autobus zjechał w stronę wybrzeża. Norma nie wiedziała nawet, gdzie go zostawiła. Pewnie na siedzeniu, gdy kierowca obudził ją

i kazał wysiadać. A może na tamtym trzcinowisku, gdzie musiała się schronić, kiedy zaczęli ją napastować faceci z pick-upa. Przez ułamek sekundy, zachęcona milczeniem Chabeli, chciała opowiedzieć jej wszystko: zupełnie wszystko, nie ukrywając niczego, ale nagle ktoś na podwórzu zawołał ją po imieniu. Po drugiej stronie okna stał Luismi w samych gaciach, ze skołtunionymi włosami i z półprzymkniętymi oczami z powodu południowego słońca (a może gniewu?). Co ty tu robisz?, spytał Normę, gdy w końcu dostrzegł ją w mroku pomieszczenia. Co cię to, do cholery, obchodzi, ty durniu, co się wtrącasz?, wrzasnęła na niego Chabela, która już zdążyła włożyć kolejnego papierosa do ust. Luismi spojrział na matkę, jakby chciał ją zabić wzrokiem, w obrzydliwy sposób wykrzywił usta, odwrócił się i odszedł w stronę gotowej w każdej chwili się zawalić chaty, którą nazywał swoim domkiem. Norma postanowiła pójść za nim. Podziękowała Chabeli za sukienkę i szybko przeszła przez salon, gdzie przed telewizorem nadal drzemał tamten facet. Nie chcę, żebyś z nią gadała, to były pierwsze słowa Luisiego, które usłyszała, gdy weszła do jego pokoju. Nie chcę, żebyś się z nią zadawała i chodziła do tamtego domu, słyszysz? Nie podniósł głosu, ale ścisnął jej ramię tak mocno, że zostawił na nim ślad swoich palców. Jeśli chcesz siku, idź za dom, ciągnął, ale nie chcę, żebyś tam łąziła, nie chcę, żeby zrobiła z ciebie jedną ze swoich dziwek, rozumiesz? Norma odparła, że tak, że rozumie, nawet go przeprosiła, chociaż nie wiedziała dobrze za co, ale w kolejnych dniach, gdy Luismi chrapał na materacu, czasami do godzin popołudniowych, Norma, nie mogąc znieść piekielnego upału panującego pod blachą pokrywającą chatę, wstawała po cichu i wymykała się do murowanego domu po drugiej stronie podwórka, do kuchni Chabeli. Wchodziła przez zawsze otwarte drzwi i robiła kawę oraz smażyła jajka i fasolę albo ryż z dojrzałymi bananami, albo placki kukurydziane czy co tam jej się udawało zrobić z tego, co znalazła. Kończyła gotowanie, zanim budził się Munra, mąż Chabeli. Wtedy Chabela wracała już z pracy i wchodziła do domu, stukając obcasami. Włosy miała rozczochrane, a oczy czerwone od krwi, braku snu i od dymu papierosów. Wchodziła i widząc jedzenie na stole, uśmiechała się błogo: Clarito, mój skarbie, lepsza z ciebie kobieta niż ze mnie. Jak smacznie wyglądają te jajka, szkoda, że to nie ty jesteś moją córką zamiast tego



pieprzonego drańskiego chłopaka. A po jedzeniu, po tym, jak Chabela wypaliła ostatniego papierosa przed położeniem się z wentylatorem włączonym na całą moc, Norma brała talerz, przechodziła przez podwórze i budziła Luisiego, nakłaniając go, by coś zjadł. Biedak był tak szczupły, że Norma prawie mogła zamknąć palce na jego bicepsie, tak wychudzony, że można było policzyć mu żebra – wcale nie musiałyby nawet wstrzymywać oddechu. Tak suchy i tak brzydki, trzeba to powiedzieć, z policzkami pokrytymi pryszczami, z krzywymi zębami, ciemnym nosem i kręconymi twardymi włosami, jakie najwyraźniej mieli wszyscy mieszkańcy La Matosy. Być może dlatego Normę wzruszało, gdy okazywał jej zadowolenie, gdy się uśmiechał z powodu jakiejś głupotki, którą powiedziała, a jego oczy na sekundę rozjaśniały się radością, znikał cały ten smutek, który nieustannie w sobie nosił, i przez chwilę znowu był tym samym chłopakiem, który podszedł do niej w parku w Villi, gdy płakała na ławce, bo była głodna i spragniona, a nie miała już ani grosza, do tego kierowca autobusu, którym przyjechała z Ciudad del Valle, obudził ją nagle i powiedział, że ma tu wysiadać, na stacji benzynowej pośrodku niczego, gdzie dookoła kilometrami rozciągały się pola trzciny cukrowej. Poza tym słońce spaliło jej ramiona i twarz, stopy spuchły i parzyły, bo szła ze stacji benzynowej do centrum miasteczka bocznymi drogami, a kiedy Luisi podszedł do niej i spytał, dlaczego płacze, Norma już prawie postanowiła przejść na drugą stronę ulicy i wejść do małego hotelu położonego naprzeciwko parku – Hotel Marbella, widniało na powieszonym na jednej ze ścian budynku czerwonym, prawie krwawym szyldzie – gdzie chciała poprosić recepcjonistę, by łaskawie pozwolił jej wykonać jeden telefon; zadzwoniłaby wtedy do matki w Ciudad del Valle, powiedziałaaby jej, gdzie się znajduje i dlaczego uciekła. Opowiedziałyby matce o wszystkim i wtedy ona z całą pewnością by się na nią wydarła i rzuciła słuchawką, więc Norma musiałaby wrócić na piechotę na drogę i złapać stopa do Puerto, żeby wdrożyć w życie swój pierwotny plan. Oczywiście z odrobiną szczęścia nie musiałaby wcale dojechać do samego Puerto. Być może wybrzeże nie leżało już tak daleko i gdzieś w pobliżu znalazłaby jakąś nadmorską skałę, z której mogłaby się rzucić w fale. Na dodatek ci faceci z pick-upa, którzy ją napastowali w drodze do miasteczka, pojawili się po

drugiej stronie parku i Norma już miała się podnieść z ławki i pobiec w stronę hotelu, ale chłopak z lwią grzywą, ten chudzielec, który przez całe popołudnie rzucał w jej stronę spojrzenia, podczas gdy jego koledzy śmiali się i palili marihuanę na ławkach w najdalszym kącie parku, przeszedł przez plac i z uśmiechem podszedł do Normy, a następnie usiadł obok i spytał, co się stało, dlaczego płacze. Norma spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że są czarne, smoliste, ale słodkie, obwiedzione niesłychanie długimi rzęsami, które nadawały mu wygląd marzyciela mimo brzydoty jego twarzy, rozoranych policzków, spiczastego nosa i grubych warg. Nie miała serca skłamać, ale też nie odważyła się wyjawiać całej prawdy, więc opowiedziała coś do niej zbliżonego: płacze, bo bardzo chce jej się pić i jest przeraźliwie głodna, bo się zgubiła i nie ma ani grosza, a nie może wrócić do domu, bo zrobiła coś bardzo złego. Nie powiedziała co, tylko tyle, że kierowca autobusu wyrzucił ją na poboczu, gdy zabrakło jej pieniędzy na dalszą podróż. Opowiedziała mu swój plan, żeby dojechać do Puerto, bo pamiętała to miejsce z dawnej podróży, którą odbyła z matką w dzieciństwie, kiedy jeszcze nie urodziło się żadne z jej rodzeństwa, a więc musiała mieć jakieś trzy albo cztery lata, a jeśli dobrze policzyć, podczas tamtej podróży jej matka musiała już być w ciąży z Manolem, ale Norma nie miała pojęcia, co ją czekało. Podczas tamtej wizyty w Puerto Norma po raz ostatni była sam na sam z matką, tylko one dwie, razem wpatrywały się w wody Zatoki z namiotu, codziennie kąpały się w letnim morzu, Norma po raz pierwszy spróbowała smażonej mojarry i krabowych empanad, które wydały jej się niezwykle smaczne. Nie powiedziała chłopakowi, co zamierza zrobić, gdy dotrze do Puerto: przejść po tych samych plażach, które odwiedziła z matką, aż do wielkiej skały, która wyrastała na południe od miasta, a potem wspiąć się na jej szczyt, skoczyć na główkę w ciemne wzburzone morze u jej stóp i raz na zawsze skończyć ze wszystkim, ze swoim życiem i tym czymś, co w niej rośnie. Nie powiedziała mu tego, zdradziła tylko, że jest bardzo głodna i spragniona, że prawie umiera ze zmęczenia i ze strachu, bo nie znała nikogo w tym miasteczku i w dodatku jakieś typy jechały za nią pick-upem, gdy szła do centrum Villi, i musiała zejść z drogi i ukryć się w trzciniowisku, bo faceci na pace wołali za nią i cmokali, jakby była psem, a ten za

kierownicą, blondas w okularach przeciwsłonecznych i kowbojskim kapeluszu, ściszył muzykę, która wcześniej dudniła, *będę udawać normalnego faceta*, i kazał Normie wsiadać, *który może żyć bez ciebie, i to dobrze żyć*, ale ona bardzo się przestraszyła i wbiegła na jakieś pole, i tam się ukryła między trzcinami, aż koleśom znudziło się szukanie jej i się zmyli. Te same typy właśnie teraz, jęknęła Norma, znajdowały się po drugiej stronie parku, przed barem obok kościoła – pokazała samochód palcem i Luisimi uśmiechnął się nerwowo, odsłaniając przy tym swoje krzywe zęby, po czym złapał jej rękę i ukrył ją w swojej dłoni, szepcząc, żeby nigdy nie pokazywała palcem tych facetów; bardzo mądrze zrobiła, uciekając przed nimi, bo wszyscy wiedzą, że ten koleś w kapeluszu jest jednym z *narcos*, nazywa się Cuco Barrabás i nieustannie zwabia do siebie dziewczyny tylko po to, żeby je krzywdzić. Potem utkwiał wzrok w ziemi i nieco drżącym głosem, jakby się wstydził, Luisimi powiedział Normie, że nie ma pieniędzy, żeby jej pomóc, ale jeśli chwilę poczeka, być może uda mu się coś zdobyć – wtedy mogliby zjeść placki tutaj, naprzeciwko parku, i jeśli zechce, mogłaby spędzić z nim noc w jego domu, tyle że on nie mieszka w Villi, lecz w miasteczku, które nazywa się La Matosa, trzynaście i pół kilometra stąd. Jeśli ona zechce, oczywiście, bo tylko tak może jej pomóc, żeby nie musiała niszczyć swoich pięknych oczek tymi łzami, ale jeśli nie chce, to nie ma sprawy... Musiała mu tylko obiecać, że za nic w świecie nie wsiądzie do pick-upa, którym jeździ ten cały Cuco, bo wszyscy wiedzą, że ten blondas to jebany skurwysyn, który robi młodym dziewczynom złe rzeczy, rzeczy okrutne, o których nie chciałby teraz opowiadać, ale to ważne, żeby Norma zrozumiała, że nigdy, przenigdy nie może wsiąść do tego samochodu ani iść po pomoc na policję, bo tamte sukinsyny podlegają tym samym ludziom na górze, ostatecznie nie ma między nimi wielkiej różnicy. Norma miała wilgotne z wdzięczności oczy i suche z pragnienia gardło – obiecała mu, że tak zrobi, że poczeka tu na niego, a wtedy Luisimi poszedł zdobyć pieniądze i ona siedziała na miejscu z rękami splecionymi i złożonymi na podołku, przymknęła oczy i zacisnęła wargi; wyglądała, jakby się modliła, choć tak naprawdę starała się zignorować cienki głosik głęboko w niej samej zarzucający jej, że jest idiotką, bo zaufała chłopakowi, którego nawet nie zna, który zapewne tylko chce ją

wykorzystać, nabrać ją na swoje fałszywe obietnice i piękne słówka, bo w końcu wszyscy tacy są, prawda? Pierdolone dranie, co to tylko gadają i nigdy nie spełniają obietnic. Ale Luisimi spełnił swoją, Luisimi udowodnił, że głosik się mylił – zajęło mu to parę godzin, ale wrócił, kiedy w parku panowała już ciemność i zostali w nim tylko palący marihuanę kolesie. Pokazał jej pieniądze i zabrał ją do jadłodajni naprzeciwko parku, a potem poprowadził za rękę przez nierówne ulice tego miasteczka – ciche i zakurzone, przez które przebiegały watahy kundli patrzących na nich nieufnie. Potem przeszli przez ogromny sad mangowców pokrytych jeszcze zielonymi owocami, a dalej przez ciemny most nad rzeką, której w panującej już o tamtej porze absolutnej ciemności nie można było dostrzec, wreszcie dotarli na ścieżkę prowadzącą w głąb szumiących pastwisk. W tamtym momencie noc stała się już tak gęsta, że Norma nie widziała nawet, gdzie stawia stopy – ścieżka wznosiła się i opadała, zwężała i rozszerzała, a dziewczyna nie mogła pojąć, jak Luisimi może cokolwiek dostrzec w tej ciemnicy. Wydawało się jej, że ścieżka w każdej chwili się skończy i oboje spadną w przepaść, dlatego ścisnęła dłoń Luisimiego i co kilka metrów prosiła go, by nie szedł tak szybko, a kiedy musieli przejść przez wąwóz pełen brzęczących groźnie owadów, Luisimi objął ją i zaczął cichutko śpiewać. Miał piękny głos, bardziej męski niż jego ciało, które nadal było tak chłopięce, a w totalnej ciemności, która ich pochłaniała, jego śpiew koił nerwy Normy, koił jej obolałe stopy pokryte pęcherzami i jej rozstrojone myśli, w których głosik nie przestawał naciskać, by zostawiła tego chłopaka, wróciła na drogę i pojechała do Puerto, weszła na klif i skoczyła do morza, żeby się rozbić na skałach i skończyć z tym wszystkim. Po niezwykle długim odcinku otoczona bujnymi chaszczami ścieżka wreszcie przeszła w coś jakby osiedle bez ulic, parków, kościołów – ledwie garstka domów oświetlonych smętnymi żarówkami. Zeszli do kotlinki, która poprowadziła ich w stronę niedużego ceglanego domu, również oświetlonego jedną gołą żarówką nad drzwiami. Lecz zamiast wejść do domu albo zapukać do drzwi, chłopak poprowadził ją na tyły, gdzie wznosiła się drewniana szopa, którą pochwalił się jako skonstruowaną własnymi rękami – schronienie to Normie wydało się wręcz idealne, tak była zmęczona; bez zachęty ze strony Luisimiego natychmiast położyła się

na materacu i szeptem zaczęła opowiadać swoją historię, a raczej część swojej historii, tę, której się tak bardzo nie wstydziła. On położył się obok, słuchał jej i w żadnym razie nie próbował jej dotknąć w innym miejscu niż twarz albo ręce; nie kazał też położyć się na plecach i rozchylić nóg ani nie żądał, żeby uklękała i mu obciągnęła, jak to robił Pepe, gdy szli do łóżka. Obciągnij mi, mówił, possij mi penisa, wyliż mi jaja, ssij mocno, maleńka, ochoczo, o tak, aż do środka, nie udawaj, że cię to brzydzi, bo przecież ci się to podoba; chociaż wcale tak nie było – Normie w ogóle się to nie podobało, ale on i tak to mówił, a ona nie wyprowadzała go z błędu. Bo tak naprawdę początkowo jej się podobało, na początku właściwie to myślała, że Pepe jest przystojny, i nawet się ucieszyła, gdy matka go przyprowadziła, żeby z nimi zamieszkał, żeby został ojczymem Normy i jej rodzeństwa, bo z nim rzeczy szły lepiej, a rodzeństwo było mniej uciążliwe i matka już nie zamykała się w łazience, żeby krzyczeć, że chciałyby umrzeć, bo nie ma nikogo, ani nie zostawiała ich samych nocą, żeby iść się upić. Ale Norma nie była gotowa, żeby opowiedzieć Luismiemu o Pepem, nie chciała nawet o nim myśleć ani tym bardziej o rzeczach, które robili razem, ponieważ gdyby opowiedziała chłopakowi o tym, co naprawdę się wydarzyło, odkryłby, że jest okropną osobą, i pożałowałby, że jej pomógł, kazałby jej się wynieść z domu, wyrzuciłby ją w ciemną noc, tak więc po prostu wspomniała jedynie o Ciudad del Valle – że to brzydkie, zimne i smutne miasto, tak samo okolica, w której mieszkała z matką, jej mężem i całą bandą dokuczliwych braci i sióstr, którzy zatruli jej życie. Opowiedziała o tym, jak jej matka nieustannie ochrzaniała ją za ich przewiny. Wymyśliła nawet narzeczonego – który niby uczył się w tej samej szkole, ale dwa lata wyżej, przystojny zbuntowany chłopak, trochę z marginesu, nosił długie włosy i podarte dzinsy, a jej rodzina chciała ją odseparować od niego za wszelką cenę. Wszystko to zmyśliła, żeby nie wyznać Luismiemu, że tak naprawdę jedynym mężczyzną, który ją do tej pory pocałował, był Pepe, jej ojczym, mąż jej matki; zaczęło się, gdy ona miała dwanaście, a on dwadzieścia dziewięć lat. Oglądali razem film w telewizji, skuleni pod kocem na kanapie, i on śmiał się z niej, że nigdy nikogo nie pocałowała, a wtedy Norma, tak dla żartu, totalne szaleństwo, wzięła jego głowę w swoje dłonie

i zamasyście go pocałowała, z wilgotnym mlaśnięciem przejechała po jego ustach i wąsach, które Pepe próbował wyhodować ze słabym skutkiem. Zareagował na to wybuchem śmiechu i łaskotkami, na co przybiegło jej rodzeństwo. Pepe lubił rzucać jej wyzwania, droczyć się z nią – na przykład kładł otwartą dłoń w miejscu, gdzie ona zamierzała usiąść, i szczypał ją w pupę, a potem udawał, że to nie on. To wszystko było zabawne, przynajmniej na początku, bo cała ta uwaga skupiona na jej osobie sprawiała, że Norma czuła się ważna – Pepe zawsze siadał obok niej, gdy oglądali kreskówki, obejmował ją ramieniem i głaskał po plecach, ramionach i włosach, ale tylko wtedy, gdy matka Normy była w fabryce, a jej rodzeństwo bawiło się z innymi dziećmi na podwórku. Zawsze robił to pod kocem, żeby nikt nie mógł zobaczyć, co ręce Pepego wyprawiają podczas oglądania telewizji, w jaki sposób jego palce przesuwają się po skórze Normy i rysują kontur jej ciała – pieszczoty, których nigdy nie doświadczyła, nawet od matki, nawet w dobrych czasach, gdy były tylko we dwie i Norma nie musiała walczyć o nią, o jej uwagę i troskliwość. Łaskotki nieprovokujące wcale łaskotek, pieszczoty wywołujące dreszcze i sprawiające, że miękła w środku, wstydząc się westchnień, które nagle jej się wymykały, jęków, które musiała za wszelką cenę tłumić, bo się bała, że usłyszy je rodzeństwo, że matka się dowie, że Pepe – który w takich chwilach sprawiał wrażenie wściekłego, bo jego oddech stawał się ciężki i chrapliwy, a oczy mu się przymykały – sobie pójdzie i przestanie robić to, co robi, jeśli tylko się zorientuje, jak bardzo jej się to podoba. Dlatego wbijała wzrok w ekran telewizora, śmiała się w zabawnych momentach kreskówek i udawała, że tak naprawdę niczego nie czuje, jakby pieszczoty Pepego w ogóle jej nie poruszały; aż on się znudził albo zmęczył i wstawał z kanapy, żeby zamknąć się w łazience, a kiedy wracał, przykładął jej swoją dłoń do nosa i zmuszał do wachania odoru, który zostawał mu na palcach po sikaniu, wówczas Norma wybuchała śmiechem, bo wszystko znowu było dobrze i wracała wesołość, Pepe tylko sobie żartował, chciał jej w końcu okazać uczucia, jakie do niej żywił, ciepło, którego miał dla niej więcej niż dla jej rodzeństwa, nawet dla Pepita, niemowlęcia, które przed paroma miesiącami urodziła mu matka. A nocami, gdy wszyscy już niby spali, Norma nadstawiała uszu, żeby się

dowiedzieć, o czym on i matka rozmawiają, przede wszystkim gdy dotyczyło to jej, niepokoju matki związanego z tym, że Norma tak szybko się rozwija, że ostatnio tak dziwnie się zachowuje i że Pepe poświęca tyle uwagi tej dziewczynie; a on jej mówił, żeby się nie wygłupiała, że on tylko próbuje okazać tej biedaczce, która nigdy nie miała ojca, trochę uczucia; to normalne, że przez odrobinę szczerego i zupełnie niewinnego afektu ze strony ojczyzna Norma zachowuje się dziwnie, a nawet jest w nim trochę zabujana, daj spokój, to taki wiek, hormony buzuja, biedna dziewczynka, być może wyobraża sobie, że ją kocham w inny sposób, bo jest jeszcze za młoda, żeby wiedzieć, jak wyrazić ten niepokój, który pojawia się w jej serduszku – Pepe potrafił gadać, czasami się zapominało, że nie skończył szkoły, sprawiał wrażenie, jakby studiował prawo albo dziennikarstwo, jakby był adwokatem albo nauczycielem, gdyż zawsze miał odpowiedź na wszystko i używał słów, których nikt inny nie znał, a matka Normy słuchała go z otwartymi ustami i dawała się przekonać. A następnego dnia zaczynała swoją litanię przed pójściem do pracy, zanim zostawiła Normę samą w domu, żeby zaprowadziła rodzeństwo do szkoły i przygotowała obiad: Już nie jesteś dziewczynką, niedługo będziesz panienką i musisz zachowywać się odpowiednio, przejąć obowiązki w tym domu i stać się przykładem dla braci i sióstr. Niech no tylko się dowiem, że nadal spotykasz się z Tere i resztą tych kokietek, niech no tylko ktoś mi powie, że widzieli cię w barze z bilardem, gdzie chadzają chłopaki ze szkoły. Tylko na to czekam, nie myśl sobie, że nie wiem, co tam się wyprawia, już słyszałam, że to miejsce jest pełne łobuzów tylko czekających, żeby wsadzić łapy pod sukienkę głupim dziewczuchom, które na to pozwalają, wykorzystać je i zostawić z niedzielą siódmego. Norma na to kręciła głową i powtarzała: nie, mamó, ja nie chodzę w takie miejsca, idź do pracy i niczym się nie przejmuj, ja zawsze wracam prosto do domu; choć potem, gdy zostawała sama, zastanawiała się nad słowami matki i nie rozumiała, o co chodziło z tą niedzielą siódmego ani jak to się miało do sąsiadek albo baru z bilardem na rogu czy rękami, które chłopaki wsadzały pod sukienkę dziewczynom, i martwiła się tym, ponieważ w tamtym czasie Pepe obsesyjnie wsadzał jej palce do środka, zanurzał je całutkie, chociaż ją piekło i czuła ukłucia w podbrzuszu. A jeszcze bardziej się

martwiła, prawie nie mogła przez to spać, odkąd pewnego dnia w szkolnej łazience odkryła, że ma zakrwawione majtki, pokryte ciemną zepsutą krwią wydobywającą się właśnie z tej dziury, w której w ostatnim czasie grzebał Pepe. No i się doigrałam, pomyślała przerażona, nastąpiło to, o czym tyle mówiła matka: ta fatalna niedziela siódmego, która zniszczy życie jej i całej rodziny, to kara za to, że pozwoliła, by Pepe wsadzał jej palce między nogi, i z całą pewnością również za to, że ona sama się tam potem dotykała, nocami, gdy nikt nie mógł jej zobaczyć ani usłyszeć, gdy rodzeństwo spało spokojnie przy niej w łóżku, a Pepe i matka byli zbyt zajęci ugniataniem sprężyn w swoim, żeby nagle wyskoczyć i zobaczyć, co robi Norma; że dotykała tamtej dziury, myśląc o Pepem, o jego palcach i języku. Dlatego postanowiła nie mówić nikomu o tej krwi, bała się, że matka się zorientuje, co się dzieje, co Norma zrobiła i co robił Pepe, gdy ona wychodziła do pracy. Bała się, że wyrzucą ją z domu, bo matka ciągle opowiadała, że to się robi z durnymi dziewczuchami, którym przytrafiła się niedziela siódmego – wystawiano je za drzwi i musiały same o siebie zadbać, zostawały bez niczego, a to dlatego, że pozwoliły, by faceci je wykorzystali, że się nie szanowały, bo wszyscy wiedzą, że facet robi to, na co dziewczyna mu pozwoli. A Norma w tamtym momencie pozwoliła już na wiele swojemu ojczymowi, na zbyt wiele, a najgorsze ze wszystkiego było to, że miała ochotę pozwolić mu na więcej, żeby zrobił jej to, o czym marzył, o czym ciągle szeptał jej do ucha, te rzeczy, które chłopcy w szkole wypisywali i rysowali na ścianach toalet, a starzy faceci wykrzykiwali za nią na ulicy; chciała, żeby jej to zrobili – Pepe, chłopcy czy starcy, ktokolwiek, taka była prawda: nie chciała już o tym myśleć ani czuć tej bolesnej pustki, przez którą od miesięcy płakała w poduszkę o świcie, zanim zadzwonił budzik matki, zanim nawet pierwsze ciężarówki napęłniły mroźne powietrze Ciudad del Valle ołowianymi wyziewami. Był to wychodzący z samych trzewi cichutki płacz, którego ona nie rozumiała, ale z którym ukrywała się przed innymi, bo czuła wstyd, że w jej wieku płacze bez powodu, jakby nadal była dzieckiem. Matka ciągle to powtarzała: już nie jesteś dzieckiem, niedługo będziesz panienką, musisz się szanować i być przykładem dla rodzeństwa, niech już Norma przestanie udawać, że się uczy, po co płacić tyle kasy



doñi Lucicie spod siódemki, żeby zajmowała się Pepitem po południu, niech doceni wielki wysiłek, jaki ona i Pepe podejmują, żeby umożliwić Normicie skończenie nauki i zostanie kimś, a przede wszystkim niech ma na uwadze jej przykład, co oznaczało, że Norma powinna zawsze pamiętać o błędach swojej matki i starać się ich nie powtórzyć, choć minęło trochę czasu, nim dziewczyna w końcu pojęła, o jakie błędy chodzi – o nią i jej rodzeństwo oczywiście, ale przede wszystkim o nią, o tę pierwszą z piątki, z szóstki właściwie, jeśli wliczyć biednego Patricia, niech spoczywa w pokoju, sześć błędów matki, jeden za drugim, popełnionych w kolejnych desperackich próbach zatrzymania przy sobie mężczyzn, którzy w prawie wszystkich przypadkach nawet nie zniżyli się do tego, żeby uznać ojcostwo. Ci mężczyźni byli dla Normy cieniami, w które zanurzała się matka, gdy wychodziła nocami się upić – w przezroczystych rajstopach i w butach na obcasie, których nigdy nie pozwalała Normie przymierzyć. Nie bądź durna, powiedziała, gdy przyłapała ją stukającą obcasami i bawiącą się z Natalią w nakładanie makijażu przed kawałkiem lustra na ścianie. Dlaczego chcesz, żeby faceci słyszeli, że nadchodzisz? Żeby ci wsadzili rękę pod sukienkę? Jednym uchem weszło, drugim wyszło, co? Nie uczysz się na moich błędach. Umyj twarz i zdejmij to, niech tylko zobaczą cię taką na ulicy, niech tylko sąsiadki mi powiedzą, że widziały cię w moim ubraniu. Norma skinęła głową i przeprosiła matkę. W tajemnicy prała swoje zakrwawione majtki, żeby tamta nie wyrzuciła jej z domu, żeby się nie zorientowała, że jej najgorsze koszmary się urzeczywistniły. Wreszcie pewnego dnia Norma zdała sobie sprawę, że do tej pory się myliła – niedziela siódmego nie odnosiła się do krwi, która plamiła jej ubranie, tylko do tego, co się dzieje, gdy ta krew przestaje płynąć. Wracała pewnego dnia ze szkoły i znalazła książeczkę na szorstkim papierze z czerwoną kartonową okładką: *Opowieści o magii dla dzieci w każdym wieku*. Otworzyła ją na chybił trafił i od razu rzuciła jej się w oczy czarno-biała ilustracja, na której przerażony garbaty człowieczek płakał, podczas gdy grupa czarownic ze skrzydłami nietoperza wbijała noże w jego garb. Ta ilustracja była tak dziwna, że Norma, nie zwracając uwagi na godzinę, nadchodzącą ulewę ani na to, że miała wrócić do domu, pozmywać i zająć się rodzeństwem, zanim matka wróci z fabryki,

usiadła na przystanku i zaczęła czytać, bo w domu nigdy nie miała na to czasu, a poza tym nie dało się tam czytać z powodu hałasu, jaki wydawało jej rodzeństwo i telewizor, wrzasków matki i sprośnych żartów Pepegó, a także z powodu tych wszystkich rzeczy, które musiała zrobić po tym, jak już pozmywa po obiedzie przygotowywanym przez nią samą przed południem, zanim poszła do szkoły. Tak więc nałożyła kaptur, schowała stopy pod spódnicą i zaczęła czytać opowiadanie o dwóch garbatych sąsiadach, bo tak się nazywała ta historia. Dotyczyła garbusa, który pewnego wieczoru zgubił się w lesie niedaleko swojego domu – ciemnym i przerażającym, gdzie ponoć spotykały się wiedźmy, by rzucać swoje zaklęcia. Człowieczek był przerażony tym, gdzie się zapędził, nie mógł znaleźć drogi powrotnej i plątał się po mrocznym lesie, aż zapadła noc. Wtedy z daleka zobaczył ognisko i sądząc, że to jakiś obóz, pobiegł w tamtą stronę, pewien, że jest ocalony. Był bardzo zaskoczony, gdy dotarł do polany, na której płonęło ogromne ognisko – okazało się, że trafił na sabat czarownic, okropnych bab ze szponami zamiast rąk i skrzydłami nietoperza na plecach, które pląsały w makabrycznym tańcu wokół ognia i śpiewały: *poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego, poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego, poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego*, i śmiały się donośnie, prawdziwe harpie wybuchające przerażającymi salwami śmiechu i wyjące do księżyca, a garbus, który ukrył się za wielkim głazem, tak że nie mogły go zobaczyć, słuchał tego powtarzającego się wersu i sam nie wiedział jak, nie mógł sobie wytłumaczyć tego impulsu, który nagle go opanował, kiedy wiedźmy znowu zaśpiewały: *poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego*, zaczerpnął powietrza, wskoczył na głaz i z całej siły zakrzyknął: *czwartek, piątek, sobota, szóstego*. Jego okrzyk odbił się echem na polanie z niezwykłą siłą i wiedźmy, gdy go usłyszały, stanęły jak wryte wokół ognia, który rzucał na ich monstrualne oblicza okropne cienie. Kilka sekund później się rozbiegły, skacząc po drzewach i wrzeszcząc, że trzeba znaleźć człowieka, który to powiedział, i biedny garbus skulił się za głazem, zaczął drzeć, myśląc o tym, co go czeka. Ale gdy w końcu wiedźmy go stamtąd wydobyły, nie zrobiły mu krzywdy, jak się spodziewał, nie zmieniły go w żabę ani w robaka, ani tym bardziej go nie pożarły, lecz wspólnie chwyciły go i zaklęciami przywołały

wielkie magiczne noże, którymi odcięły mu garb, nie rozlewając przy tym ani kropli krwi, nie sprawiając mu ani odrobiny bólu, bo tak naprawdę się cieszyły, że ten człowieczek ulepszył ich piosenkę, która zaczęła je już nudzić. A gdy garbus zobaczył, że jego plecy są idealnie gładkie i już nie musi chodzić pochylony, wielce się uradował, był niezwykle szczęśliwy, a ponadto wiedźmy sprezentowały mu garnek złota i podziękowały za wkład w ich piosenkę i zanim wróciły do swoich tańców, pokazały mu, jak wyjść z zaczarowanego lasu. Człowieczek pobiegł prosto do domu i opowiedział wszystko sąsiadowi, który również miał garb, a kiedy pokazał mu swoje zdrowe plecy i bogactwa, jakimi obdarowały go wiedźmy, sąsiad, który był zazdrośnikiem i człowiekiem nikczemnym, pomyślał, że to on bardziej zasługuje na te nagrody, bo jest inteligentniejszy i ważniejszy, a te wiedźmy to muszą być jakieś kompletne idiotki, skoro dają złoto za nic. W kolejny piątek zazdrośnik już wiedział, że powinien spróbować szczęścia, i po zapadnięciu zmroku ruszył do lasu w poszukiwaniu miejsca, gdzie odbywał się sabat tych kretynek. Przez wiele godzin plątał się po lesie, aż w końcu się zgubił i gdy miał już usiąść pod drzewem i zapłakać ze strachu i rozpacz, w najgęstszej i najbardziej mrocznej części kniei zobaczył ognisko, wokół którego tańcowały wiedźmy, śpiewając: *poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego, czwartek, piątek, sobota, szóstego, poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego, czwartek, piątek, sobota, szóstego, poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego, czwartek, piątek, sobota, szóstego*. Od razu pobiegł w tamtą stronę i ukrył się za głazem, a w chwili gdy czarownice zaśpiewały: *poniedziałek, wtorek, środa, trzeciego, czwartek, piątek, sobota, szóstego*, ten nieszczęśnik, który chociaż uważał się za mądrzejszego od swojego sąsiada, tak naprawdę był mało bystry, otworzył szeroko usta, wciągnął jak najwięcej powietrza, a w dodatku przyłożył dłonie do twarzy, żeby jego głos mocniej wybrzmiał, i z całej siły zakrzyknął: **NIEDZIELA, SIÓDMEGO!** Gdy wiedźmy to usłyszały, zastygły w tańcu, zmrożone niespodzianką, na to garbaty cwaniaczek wyszedł ze swojej kryjówki i otworzył ramiona, żeby zaprezentować się im w całej swej okazałości, myśląc, że zaraz rzucą się w jego stronę, by usunąć mu garb i wręczyć jeszcze większy garnek złota, niż dały jego sąsiadowi. Ale nagle zdał sobie sprawę, że wiedźmy są wściekłe –

paznokciami drapały swoje piersi i wydzierały z nich płaty mięsa, rozorywały sobie policzki i wyrywały kołtuny z głowy, jednocześnie rycząc jak oszalałe bestie, wołając, co to za nieszczęśnik powiedział: niedziela, co to za żalosny typ zniszczył naszą piosenkę, i wtedy dostrzegły nikczemnego człowieczka – skoczyły do niego, by czarami i zaklęciami przywołać garb, który odjęły pierwszemu garbusowi, i jako karę za głupotę i zawiść przyczepić go zazdrośnikowi do brzucha, a zamiast garnka złota wyciągnęły garnek pełen brodawek i natychmiast nakleiły je na ciało nieszczęsnego człowieczka, tak że musiał wrócić do domu w tym stanie, z dwoma garbami i brodawkami na twarzy i całym ciele – a to wszystko dlatego, że wyszedł ze swoim niedziela siódmego, wyjaśniała książka. Ostatnia ilustracja przedstawiała zazdrośnika z dwoma garbami, jednym na plecach i drugim na brzuchu, tak jakby był w ciąży, i wówczas Norma wreszcie zrozumiała, jak była głupia, sądząc, że to całe niedziela siódmego odnosi się do krwi, która co miesiąc płami jej majtki, podczas gdy oczywiście chodzi raczej o to, co się dzieje, gdy krew się nie pojawia – o to, co się przydarzało jej matce po tym, jak przez jakiś czas wychodziła nocami w swoich cielistych rajstopach i butach na obcasach, a potem jej brzuch z każdym dniem stawał się coraz większy, aż przybierał groteskowe rozmiary, a na koniec wyrzucał z siebie nowe dziecko, nowego braciszka albo siostrzyczkę, nowy błąd, który wywoływał serię nowych problemów dla matki, ale przede wszystkim dla Normy: niedospanie, wyczerpanie, śmierdzące pieluchy, stopy zarzyganych ubranek, płacz, który nigdy nie cichł, kolejna gęba do wykarmienia i do produkowania wrzasków, kolejne ciało, na które trzeba było uważać, które wymagało pilnowania i dyscyplinowania, dopóki matka nie wróci z pracy, wykończona, tak głodna, zła i brudna jak najmniejsze z rodzeństwa, kolejne dziecko, które Norma powinna nakarmić i utulić, pocieszyć, podczas gdy tarła i masowała dziecięcą oliwką twarde pięty i napięte mięśnie matki, efekt tych wszystkich godzin, które tamta spędzała na nogach, wykonując nieustannie te same ruchy przed maszyną do szycia. Przede wszystkim trzeba było jej wysłuchać, to było najważniejsze: wysłuchać zmartwień matki, jej skarg, narzekań, ciągle tych samych przestroóg, i przytakiwać, przyznawać rację, patrzeć jej w oczy z uśmiechem na ustach i całować ją w czoło, i poklepywać

po plecach, gdy płakała, bo jeśli matka wyrzuciła z siebie wszystko dzięki Normie, pozbyła się zmartwień, które ją dławily, potem nie zamykała się w łazience i nie krzyczała, że chce umrzeć, ani nie wychodziła, by się upić i szukać uczuć oraz pieśczoć mężczyzn, pozwalając się krzywdzić tym sukinsynom – wszyscy oni są tacy sami, najpierw uchylają ci nieba, ale zaraz porzucają cię jak starą zużytą strzykawkę, ty nie bądź głupia, Normo, nie można im wierzyć, nie oczekuj od nich troskliwości, niczego nie oczekuj, to dupki. Musisz być bardziej przebiegła niż oni, musisz sprawić, że będą cię szanować, bo posuną się do tego miejsca, do którego ich dopuścisz, i właśnie dlatego musisz być od nich mądrzejsza, zachować się dla odpowiedniego uczciwego i pracowitego mężczyzny, na którym można polegać, dobrego faceta, takiego jak Pepe, który nigdy cię nie zostawi z twoją niedzielą siódmego. Norma przytakiwała i mówiła, że oczywiście, że tak właśnie robi, że nigdy nie uwierzy w nic, co mówią jej faceci, że nigdy nie ulegnie ich nikczemnym zamiarom, nie pozwoli im na te ohydne rzeczy, które robią kobietom, by je zgubić. A o świcie, gdy w ciszy popłakiwała w łóżku, myślała, że naprawdę musi być w niej coś złego, coś zepsutego i nieczystego, co sprawia, że czerpie taką przyjemność z rzeczy, które robi z Pepem w te dni, kiedy on pracuje na trzecią zmianę i przychodzi do domu rano, zaraz po tym, jak matka idzie do fabryki. Wkrada się do kuchni, odciąga Normę od garnków i zabiera ją do dużego łóżka, które dzieli teraz z matką, rozbiera ją, mimo że Norma jeszcze się nie umyła, i kładzie drżącą z oczekiwania i zimną dziewczynę na chłodnej pościeli, pokrywa ją swoim nagim ciałem i przyciska mocno do muskularnej piersi, całuje ją w usta z dzikim pożądaniem, które Normie wydaje się jednocześnie cudowne i odpychające, ale sekret polega na tym, żeby nie myśleć – nie myśleć o niczym, podczas gdy on ściska i ssie jej piersi, nie myśleć o niczym, gdy Pepe wchodzi na nią i swoim obślinionym penisem pogłębia i poszerza tę dziurę, którą sam w niej otworzył palcami, gdy oglądali telewizję pod narzutą. Bo przed Pepem niczego tam nie było, tylko fałdy skóry, między którymi wychodzi siku, i ta druga dziura, którą wychodzi kupa, oczywiście, ale kto wie, w jaki sposób Pepe zrobił jej jeszcze jedną dziurę, taką, którą z czasem swoimi sztywnymi palcami i czubkiem języka powiększył, aż była

w stanie przyjąć całego penisa ojczyma, do samego dna, jak mówił, idźmy na całość, jak należy, jak Norma na to zasługuje, jak sama go o to niemo prosiła przez te wszystkie lata, prawda? Przecież to ona go pocałowała, to dowód na to, że sama wszystko zaczęła. To ona go uwiodła, błagała go oczami, to ona ruszała się tak słodko w łóżku i sama wchodziła na jego twarde członek jakby zdesperowana pożądaniem, jakby opętana, niecierpliwie wyczekująca na mleczko. Dlatego on prawie nigdy długo w niej nie wytrzymał, była taka cudowna, nadal tak ciałniutka, taka delikatna w jego ramionach. Już jako dziewczynka zdradzała oznaki tego ognia, o tak, od dziecka widać było, że będzie świetna w łóżku, po tym, jak poruszała pośladkami, po tym, jak na niego patrzyła, po tym, jak zawsze chciała być blisko niego, zawsze czujna, podglądała go podczas ćwiczeń lub gdy się rozbierał, by wziąć prysznic – z tym uśmiechem nie dziecka, lecz podnieconej kobiety, kobiety, która wcześniej czy później miała należeć do niego, choć najpierw musiał ją przygotować, prawda? Nauczyć ją, pokazać jej, powoli ją przyzwyczaić, żeby nie zrobić jej krzywdy. W końcu on nie był potworem, wręcz przeciwnie, dawał jej tylko to, o co ona sama go prosiła: pieszczotę, klapsa, masaż piersi, które nabrzmiewały od codziennego kontaktu z jego palcami, po paru niezłych ssańskich były już krągłymi cycami, a trójkącik między nogami wilgotniał od pocierania, cipeczka, którą on tak bardzo lubi smoktać ustami, tak że we właściwym momencie jego penis wchodzi sam i nie robi jej krzywdy, wręcz przeciwnie, to Norma go o to prosi, jej ciało tego żąda. Bo gdybyś mnie o to nie prosiła, dziewczyno, mój penis nie mógłby wejść tam cały, wiesz? Gdyby ci się nie podobało to, co ci robię, nie byłabyś taka mokrutka. Podczas gdy ojczym szeptał jej to wszystko do ucha, Norma zagryzała wargi i wszystkie swoje siły koncentrowała na wściekłym rytmie, w którym poruszała biodrami, bo im bardziej się ruszała, tym szybciej Pepe dochodził, a wówczas ona mogła się skulić pod jego ramieniem, a wtedy on ją obejmował, głaskał i całował we włosy, co powodowało, że jego penis ponownie się unosił. Na tę chwilę wyczekiwała Norma – żeby zamknąć oczy, przylec swoim nagim ciałem do Pepego i na moment zapomnieć, że nigdy nie trwa to odpowiednio długo, że jest w niej coś złego i okropnego, skoro szuka tego kontaktu, tego zwykłego

przytulania i chce, by trwało ono wiecznie, choć oznacza to, że zdradza matkę, która przecież tyle zrobiła dla Normy i jej rodzeństwa. Ostatecznie dziewczyna zawsze czuła do siebie odrazę, nienawidziła się za to, że niszczy ostatnią szansę matki na szczęście z mężczyzną u boku, z ojcem dla swoich dzieci, kimś, z kim może maltretować sprężyny w łóżku w sobotnie noce. I wśród tej odrazy i całej tej przyjemności, tego wstydu i bólu Norma się nie zorientowała, jak to się stało, jak zaszła w ciążę, bo myślała, że Pepe się tym zajął, że on wiedział, jak tego uniknąć, skoro pilnował dat jej okresu, przez cały ten czas wiedział, kiedy Norma krwawi, a więc kiedy może jej wsadzić, a kiedy nie. Dawał jej nawet małe tabletki, dzięki którym mógł wchodzić w nią zawsze, kiedy go naszała ochota, ale potem się przestraszył, że matka Normy je znajdzie, więc przestał. Norma nie wie, kiedy to się stało, nagle jej życie zrobiło się jeszcze smutniejsze i chłodniejsze niż zwykle, coraz trudniej było jej wstawać o piątej rano, żeby matce przygotować kawę i zapakować obiad do pracy. W szkole cały czas ziewała, a zimno było niczym tortura – chodziła nieustannie głodna, choć jedzenie ją obrzydzało i miała ochotę tylko na chleb, słodki lub słony, świeży, prosto z pieca lub twardy i nawet spleśniały. Wciąż miała ochotę na chleb, a inne jedzenie, na przykład sam zapach gotowanych pomidorów, wywoływało u niej mdłości, podobnie jak smród wydzielany przez brudnych ludzi, z którymi podróżowała, kwaśne wyziewy jej rodzeństwa, przede wszystkim Gustava, który jeszcze nie nauczył się dobrze podcierać i nocą nalegał, że chce spać przy niej, a ten smród spoconego gówna włókł się za nim i prześladował Normę, tak że nie mogła spać i miała ochotę wykopać dzieciaka z łóżka, stłuc go i szarpać za włosy, aż się nauczy podcierać, pieprzony brudas; kiedyś zostawię cię na ulicy, żebyś się zgubił, żeby cię ukradli, wywlokę was wszystkich za kudły, żeby was sobie zabrali złodzieje dzieci, zobaczymy, czy pozwolą wam na te durnoty, zobaczymy, czy znowu będzie tak jak kiedyś, kiedy Norma była tylko z matką, zanim przyjechały do Ciudad del Valle i zamieszkały w tych mrocznych pokojach, które matka opłacała codziennie i w których nie można było przygotowywać sobie jedzenia, więc żyły tylko na chlebie, bananach i skondensowanym mleku, a mimo to matka ciągle tyła, tak że w końcu nie była w stanie się schylić i zawiązać sobie sznurówek, i któregoś ranka

Norma obudziła się z powodu zimna i zorientowała się, że jest sama, bo matka wyszła bez słowa, zamknęła ją na klucz, i chociaż Norma płakała godzinami, które wydawały jej się całymi dniami, matka nie wróciła – pojawiła się dopiero dwie noce później, blada, z podkrążonymi oczami; w rękę trzymała zawiniątko z jej braciszkiem Manolem, pomarszczonym i wrzeszczącym skrzatem, który czepiał się matczynej piersi i wył, ilekroć Norma zostawała z nim sama, gdy matka szła szukać pracy. A po Manolu pojawiła się Natalia, a po Natalii – Gustavo, a potem Patricio, biedny Patricio, i wynajmowane pokoje okazywały się coraz zimniejsze i wilgotniejsze, a Norma nigdy nie widywała matki, bo ta wreszcie znalazła pracę w fabryce kurtek i czasami zostawała na kolejne zmiany, żeby wystarczyło im pieniędzy. Normie brakowało matki, ale szybko zrozumiała, że jeśli będzie płakać, gdy ona wraca z pracy, jeśli będzie narzekać na rodzeństwo i jego psoty, matka pograży się w smutku, a potem włoży buty na obcasach i pójdzie szukać kogoś, kto zaprosi ją na piwo. Tak więc Norma milczała, nie mogła zawieść matki, musiała jej pomóc – sama, bez Normy, otoczona tymi małymi wrzaskliwcami, matka oszaleje, ciągle to powtarzała, że nie dałaby rady bez Normy, bez jej obecności i pomocy. Dlatego tak bardzo się gniewała, gdy jej córka okazywała się głupia, gdy słuchała brzuchem, a nie uchem, nie zwracała uwagi na jej przestrogi, gdy coraz później wracała ze szkoły; kurwa mać, masz siedzieć w domu, dziewczyno. Gdzie, u diabła, się włóczysz o tej porze? Dlaczego wracasz tak późno? Jak to: siedziałaś i czytałaś na ulicy? Myślisz, że jestem idiotką, totalną kretynką, i nie wiem, że pewnie szlajałaś się z jakimś chłopakiem? Nie wstyd ci zostawiać rodzeństwa samego? Nie masz wyrzutów sumienia, że ciągle zawałasz sprawdziany? Popatrz tylko na te sińce pod oczami, na ten brzuchol, wyglądasz jak wieloryb, pewnie masz pełno robaków, świntucho, zjadłaś chleb dzieciom, co im teraz damy, naprawdę nie masz hamulców. Pierdolona suka. Na to Pepe: daj se na wstrzymanie, kobieto, o co chodzi? O tę pierdoloną dziwkę! Co zrobimy, gdy z tego włóczenia się przyniesie nam niedzielę siódmego? A co mamy zrobić? Nic, kobieto, dlaczego zatruwasz sobie życie takimi rzeczami, w końcu po to ma się rodzinę, nie? Żeby się wspierać, pchać ten wózek razem, nie? I jeszcze miał czelność mrugnąć do Normy, gdy matka nie patrzyła. Jeśli



Norma będzie miała bebe, nadamy mu moje nazwisko i wychowamy razem, co nie? Na to matka: Niech no tylko się dowiem, że włóczysz się z tymi durnymi chłopakami ze szkoły, wypierdolę cię z domu, jasne? Pepe i ja nie będziemy harować, żebyś ty się tylko zabawiała. I Norma zaciskała usta, przygryzała język, żeby nie odpowiedzieć matce, bo wolałaby dać go sobie wyrwać, niż powiedzieć jej prawdę, wyznać, co ona i Pepe robią w jej własnym łóżku, ponieważ Norma była pewna, że to zabije jej matkę, chociaż być może tak naprawdę przerażała ją możliwość, że matka jej nie uwierzy. A jeśli Norma wszystko jej opowie i Pepe ją przekona, że to kłamstwo? A jeśli nawet jej uwierzy, ale będzie wolała zostać z nim i wyrzucić z domu córkę, bez pardonu wywalić ją na zbity pysk? Być może najlepiej od razu samej sobie pójść, odejść, zanim jej ciąża będzie widoczna, uciec z domu, z Ciudad del Valle, uciec od tego zimna, które nawet w maju przenikało ją do szpiku kości o świcie, wrócić do Puerto, do tamtych czasów, kiedy razem z matką pojechały na wakacje, wrócić na tamten klif i rzucić się do morza z całym tym inwentarzem, który rósł w jej wnętrznościach. Matka nigdy by jej nie znalazła, pomyślałaby sobie, że Norma uciekła z jakimś chłopakiem, i szalałaby z wściekłości, być może nawet by jej nie szukała ani nie płakała za nią nocami, za tą dobrą córką, która tyle jej pomagała, a bez której teraz dom jest taki pusty. Lepiej uciec, zanim matka przestanie jej potrzebować – lepiej umrzeć, niż ją stracić. Dlatego zgodziła się na propozycję Chabeli, gdy minęły już trzy tygodnie od dnia, w którym Norma pojawiła się w La Matosie, i gdy Luisimi zaczął rzucać czułe spojrzenia na jej brzuch, chociaż ona nadal nie zdobyła się na odwagę, by mu powiedzieć. Takie były jej relacje z Luisimim – prawie ze sobą nie rozmawiali. On wstawał po południu, gdy w ich pokoiku panował już piekielny upał, i szedł nad rzekę się wykąpać po obiedzie, który przygotowała mu Norma – nigdy nie narzekał, ale też nigdy jej nie chwalił, bo dobrze wiedział, że za te posiłki płaci Chabela. Luisimi nigdy nie dawał Normie pieniędzy, nie dawał jej na wydatki, jak jej matka zwykła robić codziennie przed pójściem do fabryki, niczego jej nie dawał poza dachem nad głową; tylko czasami, jeśli go o to prosiła, o poranku oferował jej swój przywiedły członek, a Norma – bardziej z poczucia wdzięczności za to, że ją przygarnął, niż z ochoty – dosiadała go

i pochylała się, żeby całować jego półotwarte usta, z których prawie zawsze wydobywał się smród przetrawionego piwa i obcej śliny. Nigdy nie odrzucał jej pocałunków, ale też ich nie szukał, najwyżej całował ją delikatnie w brzuch. Co też sobie myślał o tym, co w nim rosło, czy łudził się, że to jego dziecko, chociaż Norma powiedziała mu, że miała chłopaka, który ją uwiódł? Co też chodziło mu po głowie, gdy budził się w południe i dłuższą chwilę siedział na materacu z półotwartymi ustami, rozczochrany, ze wzrokiem utkwionym w ziemi poszatkwanej nieubłaganymi promieniami słońca, zasłuchany we wrzaski wilgowronów i srok, które miały gniazda na okolicznych drzewach? Norma patrzyła na niego i myślała, że jest brzydki, a jednocześnie taki słodki – tak łatwo go kochać, a tak trudno zrozumieć, dotrzeć do niego. Dlaczego ciągle powtarzał Normie i wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że pracuje jako stróż w markecie w Villi, skoro nigdy nie nosił munduru, nie wychodził i nie wracał o tej samej porze, i w dodatku nigdy o normalnej porze rozpoczęcia i końca pracy? Dlaczego nie miał pieniędzy, ale zawsze, kiedy wracał do domu, pachniał piwem, czasami miał na sobie jakiś nowy ciuch albo nawet przynosił jej nieprzydatny drobiazg – zwiędłą różę zawiniętą w celofan, wachlarz z kolorowego kartonu, fantazyjną tiarę, które rozdawano podczas świąt – podarki dla głupiej dziewczynki, nie dla żony? Dlaczego mówił, że Norma to najlepsze, co mu się przytrafiło w życiu, powtarzał, że darzy ją najczystszy, wyjątkowym i najuczciwszym uczuciem, a mimo to prawie jej nie dotykał, prawie z nią nie rozmawiał? Norma miała wrażenie, jakby uczucie, o którym mówił, było tak ulotne, że każdy podmuch wiatru mógłby wydrzeć im je z rąk. Jego ojciec też był takim durniem, opowiadała Chabela, wbijając widelec w już zimne jedzenie, ale ja byłam jeszcze głupsza, bo dałam się zaciążyć temu idiotcie. Z głupoty, naprawdę z tępoty. Bo Maurilio oszołomił mnie swoją gadką, swoimi pierdolonymi piosenkami, ale przede wszystkim swoim kutasem – miałam czternaście lat, gdy go poznałam, dopiero co przyjechałam do Villi, znudziło mi się zbieranie cytryn i to, że mój tatuś zabiera mi całą kasę, by wydawać ją na picie i walki kogutów. Któregoś dnia usłyszałam, że tutaj budują nową drogę, która ma połączyć pola naftowe z Puerto; to miała być kopalnia złota, mnóstwo pracy, a ja

niczego nie umiałam, tylko zbierać cytryny, ale i tak przyjechałam, sama. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że to miasteczko jest jeszcze bardziej zabite dechami niż Matadepita, cholera jasna, i mogłam najwyżej pracować w jadłodajni doñi Tiny, starej pierdolonej kurwy, niech ją szlag, skąpej jak mało kto. Prawie musiałam ją błagać, żeby mi płaciła, a ta murzyńska suka oskarżała mnie, że przywłaszczam sobie napiwki, tylko skąd te napiwki, kiedy w tej podłej budzie nie uświadczyłaś nawet much, co dopiero klientów. Ach, ale ona, ta pierdolona zołza, myślała, że jest taka bogata, taka burżujska i poważana, zupełnie jakby tę bandę dzieciaków zrobił jej sam Duch Święty, proszę cię, jakby nie kupiła tej swojej budy i działki za pieniądze zarobione na dosiadanu garkotłuków i majstrów, którzy zainstalowali się jako pierwsi po tej stronie drogi. Pierdolona Murzynka, teraz udaje świętą i porządną, ale obie córki wyszły jej jeszcze bardziej czarne i większe z nich kurwy, a o wnuczkach nie ma co mówić, a niech mnie. Zawsze były wobec mnie podejrzliwe wszystkie te baby i od momentu, kiedy weszłam do jadłodajni, traktowały mnie jak gówno, a jeszcze gorzej, gdy się dowiedziały, że chodzę z Mauriliem, a jeszcze później, później wymyśliły, że mam adidasa i zabiłam nie wiadomo ilu kierowców jednej firmy transportowej, pierdolone plotkary wymyśliły to z czystej zazdrości. Pieprzony Maurilio nigdy mnie przed nimi nie bronił, taki był z niego boidupa i wałkoń. Naprawdę nie wiem, jak mogłam być taka durna, że pozwoliłam mu zrobić sobie tego bachora. Przed ciążą byłam laska, pokażę ci kiedyś zdjęcia – wystawiałam nogę na poboczu i wstrzymywałam ruch, ślicznotko, gdybym pojechała do stolicy, jak mnie wszyscy namawiali, na pewno bym skończyła w telewizji albo na zdjęciach w gazetach, taka byłam ładna i atrakcyjna, ślicznotko. Moja droga, w tamtych czasach brałam, ile chciałam, zanim zaszłam w ciążę, nawet mogłam chełpić się tym, że nigdy nie minął mnie żaden klient, wystarczyło, że odsłoniłam ramię albo pokazałam tyłek, i już mu stawał. Mój błąd polegał na tym, że dałam się uwieść Mauriliowi. To mnie zgubiło. Nawet nie brałam od niego pieniędzy, wyobraź sobie, tak mnie omamił. Ludzie gadali potem, że zaczęłam pracę na ulicy, bo on mi kazał, ale to kłamstwa, nawet na to był zbyt głupi, nigdy nie okazał ducha przedsiębiorczości. Sama się na to zdecydowałam, no proszę cię, bo w te klocki

zawsze byłam dobra. Na pewno mnie rozumiesz, Clarito, taka niby jesteś głupiutka i skromnisia, ale gdybyś nie lubiła dosiadać, nie miałabyś teraz tego problemu, ty kurewko. Nie miałaś przypadkiem już od małego łaskotek tam na dole? Nie bawiłaś się z chłopcami w doktora? Ja byłam taką spryculką, uciekałam tatusiowi i chodziłam na łąki podglądać pieprzące się pary, a potem sama robiłam to z chłopakami, co to się kręcili wokół domu – zabierałam ich daleko i między trzcinami ściągałam majtki, rozkładałam nogi i ich pieprzyłam, wszystkich, cała drżałam z emocji, gdy mnie brali, wkładali mi swoje twarde kutasy. Kolejki się do mnie ustawiały, a jeszcze nie mieliśmy nawet włosów tam na dole. To z powodu tej gorączki zaszłam w ciążę, bo tak lubiłam się pieprzyć z Mauriliem – z innymi nie, nigdy nie miałam takiej przyjemności, tylko z nim – ale na niewiele się to zdało, Clarito, bo po sześciu miesiącach wspólnego mieszkania wsadzili tego idiotę do pudła za to, że zabił jakiegoś biednego skurczybyka z Matacocuite, i zostałam sama, i musiałam się sprzedawać, żeby nie umrzeć z głodu i móc zanieść parę groszy Mauriliowi do więzienia, i pieprzyć się z nim za kratami. To był czas, kiedy zarabiałam najwięcej, bo oczywiście niesamowicie tęskniłam za tym idiotą Mauriliem, ale też byłam wolna jak jeszcze nigdy, nikt mi nie przeszkadzał i nie zawracał głowy. Zajęłam się pracą i szłam z każdym, nawet z brzydkimi i grubymi skurwysynami – byle tylko dobrze płacili. Powtarzałam sobie, że wszyscy faceci są ulepieni z tej samej gliny, wszyscy chcą tego samego, marzą, żeby pokazać ci swojego ptaszka i żebyś im powiedziała: oj, co to za zwierzę, tatuśku, jakie apetyczne, wsadzaj mi powoli, żebyś nie zrobił mi krzywdy – choć tak naprawdę wiedzą, że to wszystko bajki, c’nie? No bo wszyscy oni, wszyscy są tacy sami. No różnią się troszkę, nie? Trzeba umieć odpowiednio ich traktować, bo to nie to samo, kiedy chłopaczek ociera się o ciebie swoją ptaszyną, a kiedy banda grubych śmierdzących kierowców wsadza ci raz za razem, a ty nawet nie wiesz, jak się nazywa ten, co cię międli, c’nie? I to wymaga najwięcej pracy na początku: nauczyć się okiełznywać tych durniów, nauczyć się, jak ich zaspokoić, jak znosić tych pijusów. Ale po jakimś czasie łapiesz, o co chodzi, i nawet twoje ciało zaczyna lubić te szaleństwa, a najlepsze jest to, że z wiekiem już nie jesteś taka głupia

i wiesz, że jeśli chcesz zarobić w tym biznesie, zarobić dobrą kasę, potrzebujesz tylko dobrych pośladków, najlepiej nie swoich, ślicznotko, najlepiej, jeśli są to pośladki bandy głupich dziewczyn z tymi samymi ciągotkami, z którymi ty zaczynałaś – i wtedy zaczyna się prawdziwy biznes. Dlatego ja już się nie zużywam z pierwszym lepszym. Niby dlaczego jestem cały czas w formie? Może stara i pomarszczona, ale popatrz tylko na ten tyłek, jest ciągle twardy, i popatrz, na brzuchu nie mam ani jednego rozstępu i nadal potrafię się pieprzyć jak młoda dziewczyna. Bo teraz robię to tylko z tymi, na których mam ochotę, i nawet mogę sobie pozwolić na kaprys i utrzymywać mojego męża – mówiąc między nami, wygląda na pokręconego i chorego, ale tak dobrze robi ustami, że nawet sobie nie wyobrażasz, Clarito, ja tylko mu siadam na twarzy i nie schodzę, dopóki nie dojdę przynajmniej pięć razy z rzędu, ten pieprzony Munra to bestia. Tylko z tego powodu nie wyrzuciłam go na zbity pysk, tylko dlatego wytrzymałam wszystkie te lata z tym jebanym kulawcem. A wiesz, jaki on był ładny za młodu, jaki męski na swoim motorze, zanim te pieprzone psy z ciężarówki mi go poharatały? A Norma spoglądała na Munrę siedzącego w fotelu przed telewizorem i rozdrapującego paznokciem wielki pryszcz, który wyskoczył mu na szyi, i nie mogła powstrzymać dreszczu na myśl o twarzy tego mężczyzny między jej udami. Pepe przynajmniej był przystojny, miał chociaż mięśnie, które napinał tak, że prawie odpadały mu guziki koszuli. Pepe robił każdego ranka sto pompek, sto przysiadów i sto brzuszaków zaraz po tym, jak wstał z łóżka, i był tak silny, że kiedyś przeniósł ją kilka kilometrów w dół, podczas tamtej wycieczki w góry nad Ciudad del Valle, gdy Norma odmroziła sobie stopy, bo nie włożyła skarpetek. Dziewczyno, mówiła dalej Chabela, już kiedy ten pieprzony Munra pojawił się w moim życiu, wiedziałam wszystko i dlatego powiedziałam mu, że jeśli chce ze mną być, musi sobie odciąć dopływ mleczka do jaj, bo ja nie chcę więcej dzieci, nie jestem gotowa na więcej głupich niespodzianek. Po tym pieprzonym chłopaku została mi trauma, żebyś wiedziała. Nie tyle z powodu bólu przy porodzie, ile dlatego, że tak źle mi było zaraz potem – przez cały czas czułam się podle, nie mogłam pracować i prawie umarłam z głodu, Maurilio w więzieniu, ja chora i bez grosza. Chociaż gdy teraz o tym myślę, to

właśnie wtedy się ogarnęłam i zrozumiałam, jaka byłam głupia. Powiedziałam sobie: do diabła z Mauriliem, nie odwiedzę go więcej i nie dam mu złamanego grosza, niech utrzymuje go ta kurwa, jego matka, i jego syna też. Nie było łatwo podjąć tę decyzję, bo prawdę mówiąc, w tamtym czasie ciągle byłam zabujana w Mauriliu. Tylko z nim było mi dobrze, z klientami nigdy, mówię ci, z nimi to była tylko robota, machanie tyłkiem, ale z Mauriliem było inaczej. Ten sukinsyn miał takiego chuja, ślicznotko, i chociaż był głupi, wystarczyło tylko pchnąć go na łóżku, wejść na niego i wsadzić sobie jego kutasa aż do końca, działał jak zabawka, ślicznotko, jak mechaniczny konik. Wtedy byłam bardzo głupia, mówię ci, nie wiedziałam, że gdy jakiś facet robi ci dobrze, twoja macica się rozgrzewa i wtedy jego smarki najłatwiej się przyklejają. Niczego nie wiedziałam, miałam dopiero piętnaście lat i nie połąpałam się, aż było już za późno, żeby się tego pozbyć. Nigdy nie chciałam mieć dzieci i twój mąż dobrze o tym wie, bo takie rzeczy trzeba sobie otwarcie mówić, po co robić z siebie męczennicę, lepiej jasno postawić sprawę, bez cackania się, niech wszyscy wiedzą, że posiadanie dzieci jest chujowe, nie ma co udawać, że nie, wszystkie bachory ostatecznie są dla nas ciężarem, jak kleszcze, jak pasożyty, które wysysają z ciebie życie i krew, w dodatku nawet nigdy nie są wdzięczne za całe to poświęcenie, na które choćbyś nie chciała, musisz się zdobyć. Dobrze to znasz, Clarito, widziałas w końcu, jak twojej matce przybywa dzieci, jedno po drugim, jakby ktoś rzucił na nią chujowy urok, a wszystko to z powodu pieprzonego głodu, nie mów mi, że nie, z powodu pieprzonej gorączki i z głupoty, z durnej wiary, że facet ci coś pomoże, tyle że gdy nadchodzi twoja godzina, to ty musisz z wielkim wysiłkiem wyrzucić je na zewnątrz, a potem z wielkim wysiłkiem o nie dbać, podczas gdy ten skurwysyn, twój mąż, łązi po knajpach i pojawia się, kiedy go najdzie ochota. Ty poważnie myślisz, że ten pieprzony Luis mi się zmieni, gdy urodzi się twoje dziecko? Dziewczyno, ja przecież go znam! Pewnie ci już powiedział, żebyś urodziła, że ci pomoże, że będzie ojcem i Bóg wie ile jeszcze bzdur, c'nie? Ale ty mnie posłuchaj, ślicznotko, i nie miej mi tego za złe, bo ja dobrze znam tego pieprzonego chłopaka, nie na darmo go urodziłam. Pozwól, że ci powiem: jest z niego taki sam darmozjad jak z jego ojca i on nigdy się nie zmieni,

nigdy nie spełni swoich obietnic, bo myśli tylko o narkotykach. O narkotykach i pieprzeniu się. Choćby ci mówił, że nie, że już to rzucił, choćby przysięgał i zaklinał się na wszystkie świętości, że chodzi tylko na piwo, wcześniej czy później znowu wróci do nałogu, do pastylek, do tych nor na poboczu. Do diabła, gdyby chociaż zażywał kokę, nie spałby tyle i byłby żwawszy, ale on lubi się zeszmacić, dobrze wiesz, że mówię prawdę, bo nie jesteś idiotką, Clarito, nie jesteś winna temu, że ten wałkoń i skurwiel śmieje ci się w oczy. Ale musisz pojąć jedno: ten pieprzony chłopak nigdy się nie zmieni, nieważne, co ci naopowiada i naobiecuje. Myślisz, że ja nie wiem, w jakie sprawy jest zamieszany? Myślisz, że któregoś dnia przestanie nadstawiać dupy i przerznie cię tak, jak na to zasługujesz? Najlepsza rada, jaką mogę ci dać, brzmi: pozwól mi zabrać cię do przyjaciółki, niech ci pomoże, dzięki temu będziesz mogła porządnie się zastanowić, czego chcesz, bez presji z powodu dziecka w brzuchu. Bo jesteś jeszcze za młodziutka, żeby wiedzieć, czego, do cholery, oczekiwać od tego życia. Kiedy na ciebie patrzę, jakbym widziała siebie w twoim wieku. Myślę sobie wtedy: żeby w tamtym czasie znalazł się ktoś, kto by mi pomógł się pozbyć pieprzonego chłopaka na czas, zaprowadził mnie do Wiedźmy. Zobacysz, że jak przyjdzie co do czego, nawet nie weźmie od nas pieniędzy, nie jest w końcu w potrzebie – ma miliony, śpi na forsie, chociaż jak sama się przekonasz, mieszka w ruinie i ubiera się w łachmany. Zobacysz, że od razu ci pomoże, wystarczy, że jej powiem: no, siostrzyczko, trzeba pomóc biednej dziewczynie, nie widzisz, że to jeszcze gówniara? Powiedz, ile masz lat, ślicznotko. Norma na to: trzynaście. Widzisz? Nie pierdol, pieprzona Wiedźmo, nie strzelaj mi teraz focha, nawet chłopak się zgadza. Nie widzisz, że ta dwójka biednych głuptasów nie ma nawet co jeść? Poza tym dziecko nie jest Luismiego, powiedz jej, Clarito, opowiedz, jak to z głupoty oddałaś się gówniarzowi z Ciudad del Valle, powiedz, że nie ma czym się martwić, że ty go nie chcesz. Wiedźma, która przez cały ten czas krzątała się po zasyfionej kuchni, odwróciła się i przyjrzała Normie błyszczącymi za woalką oczami i po dłuższej chwili ciszy powiedziała, że najpierw musi zbadać dziewczynę, obmacać, żeby sprawdzić, na ile zaawansowana jest sprawa. Położyły ją na kuchennym stole i podniosły jej sukienkę. Wiedźma bez ceregieli obmacała jej

brzuch, prawie w gniewie, a może nawet z zazdrości, i po chwili badania powiedziała, że nie będzie łatwo, bo jest już późno, na to Chabela: kurwa mać, zapłacę, ile zechcesz, tylko pozbądź się go, na to Wiedźma: nie chodzi o pieniądze, tylko o nią, i znowu Chabela: to Luismi cię o to prosi, tyle że sama wiesz, jaki jest dumny, i nie śmie pokazać ci się na oczy. Wstydzi się poprosić cię o przysługę po tym, jak się pokłóciliście. Tymczasem Norma ciągle leżała na plecach z sukienką podwiniętą do piersi, obok zgniłego jabłka przygwożdżonego cienkim nożem do talerza. Kiedy wreszcie podniosła głowę, zobaczyła, że Wiedźma krząta się po pomieszczeniu, szukając czegoś, przesuwając naczynia, odkręcając buteleczki i gąsiory oraz mamrocząc przy tym jakieś modlitwy albo diabelskie zaklęcia tym swoim ochrypłym, a jednocześnie wysokim głosem. Przez cały ten czas Chabela nie przestawała wypełniać zatechłego pomieszczenia dymem papierosów i opowiadać Wiedźmie o życiu i działaniach swojego nowego kochanka – był nim Cuco Barrabás, facet, przed którym ostrzegął Normę Luismi, facet z czarnego pick-upa, który kręcił się wokół Normy tamtego popołudnia, gdy przyjechała do Villi, gdy skończyły jej się pieniądze i kierowca autobusu wyrzucił ją na stacji benzynowej, gdzie przez kilka godzin siedziała, nie wiedząc, dokąd pójść ani nawet w którym kierunku leży Puerto, a także jak złapać stopa – ciężarówki mijały ją co kilka minut, a ich kierowcy rzucali jej dzikie spojrzenia, tak że pewna część niej się bała, że chcą jej coś zrobić, choć druga część przekonywała ją, że nic już nie ma znaczenia, w końcu i tak rzuci się z klifu i utopi to, co pływa w jej brzuchu, a czego nie wyobraża sobie jako malutkiego dziecka, lecz raczej jako kulę różowego mięsa pozbawioną kształtów, przypominającą przeżutą gumę. Dlatego nie obchodziło jej to, co się wydarzy po drodze. I tak, walcząc sama ze sobą, przesiadła kilka godzin na przystanku tuż przy drodze, aż zatrzymał się blondyn w czarnym pick-upie i zaczął się jej przyglądać z uśmiechem, podczas gdy z jego samochodu wydobywała się muzyka: *będę udawać normalnego faceta, i kazał Normie wsiadać, który może żyć bez ciebie, i to dobrze żyć, będę się uśmiechał* – nagle ta sama piosenka wydobywała się z telefonu Chabeli, gdy wracały do domu w gęstniejącej ciemności, pożerającej wszelkie kolory otoczenia, zamieniającej korony drzew, trzcinę i ciemne niebo



w jedną solidną skałę, w której daleko przed nimi błyszcząły, niczym drobniutkie kryształki, światła nad drzwiami poszczególnych domów. Chabela ciągnęła ją za rękę i Norma usilnie starała się za nią nadążyć, ściskając w drugiej ręce buteleczkę ze zbawczym wywarem, jej jedyną nadzieją. Coraz bardziej była przekonana, że droga w każdej chwili się skończy, a ona spadnie w przepaść, połamie sobie wszystkie kości, a co gorsza – buteleczka się stłucze i wywar rozleje się po wysuszonej ziemi, a może jeszcze gorzej: w ciemnościach pojawi się jeden z tych złych stworów, które zamieszkują lasy w bajkach, stworów takich, jak czaneki, azteckie skrzaty o pomarszczonych twarzach i rzadkich włosach, stworów, które z miejsca rzucą czary na obie kobiety, a one oszaleją albo zaczną chodzić w kółko po tej ciemnej ścieżce i nigdy już nie przestaną krążyć przy wkurzającym brzęczeniu cykad i krzykach lelków. Telefon Chabeli zaczął dzwonić: *będę udawać zwyczajnego faceta*, i Norma chciała krzyknąć, *który może żyć bez ciebie, i to dobrze żyć*, prawie zderzyła się z Chabelą, gdy ta puściła jej rękę, żeby poszukać telefonu w kieszeni, i przymilnym głosem powiedziała: kochanie moje, co tam? Skarbie, myślałam, żeby... Jasne, oczywiście, zaraz będę... Nie, nie, prawie jestem, byłam... Nie, nie martw się niczym, za kwadrans będę, tak. Zakończyła rozmowę z westchnieniem i krzyknęła do Normy: *pospiesz się, pospiesz się, ślicznotko, musimy dotrzeć przed tamtymi, muszę zostawić cię samą, ale niczym się nie martw, zażyj lekarstwo i gotowe, zobaczysz, że jutro rano będziesz jak nowa. Ja robiłam to setki, tysiące razy i nie ma się czym przejmować, tylko dodaj gazu, dodaj gazu, ślicznotko!*, bo już się robi późno! A nawet się nie wykąpałam. Boże drogi! Ruszaj się, ruszaj, pieprzona dziewczyno! Norma starała się nadążyć za Chabelą w ciemności, ale miała wrażenie, że głos tamtej się od niej oddala i jeśli nie przyspieszy, zostanie sama w tym mroku, ściskając mocno buteleczkę z obrzydliwym wywarem, który musiała wypić w całości, do ostatniej kropli. Wiedźma miała rację: z trudem powstrzymała mdłości, które to paskudztwo w niej wywołało, ale jeszcze trudniej było powstrzymać krzyk, gdy nadeszły bóle. Chwilami jej się wydawało, że ktoś wychodzi z jej wnętrza, że ją rozciąga, aż pękają tkanki. Nie wiadomo jakim cudem udało jej się wstać z materaca i wyjść na podwórko, gdzie za domkiem

palcami, paznokciami wykopała dołek w ziemi, poszerzyła go za pomocą wydobytych kamieni i weszła do niego mimo bólu, który sprawił, że jej łono utworzyło się jak przecięte nożem; parła, aż poczuła, że coś w niej pękło, jeszcze włożyła palce, żeby się upewnić, że nic nie zostało w środku, a potem zakopała dołek i wyrównała ziemię zakrwawionymi dłońmi. Następnie doczołgała się z powrotem na goły materac, zwinęła w kłębek i czekała, aż minie ból i Luismi wróci z pracy, i zupełnie pijany obejmie ją od tyłu, nieświadomy, że ona krwawi i że pali ją gorączka. A następnego dnia w południe chciała wstać z materaca i nie mogła, mimo że upał stał się już nie do wytrzymania, i udało jej się wydusić do Luisiego tylko: boli, boli, i: wody, wody. Zanurzyła usta w napoju, który Luisi przyniósł w butelce, wypiała wszystko i straciła przytomność. Śniła jej się dziura, którą wykopała za domkiem, śniła, że wyszła z niej żywa rybka, płynęła w powietrzu i ścigała ją po ścieżce, starając się wcisnąć jej pod sukienkę, znowu wejść do jej brzucha, i Norma krzyczała przerażona, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. A gdy się obudziła, już nie leżała na materacu w domku, lecz na łóżku szpitalnym, jej nogi były rozchylone, a między nimi tkwiła łysa głowa jakiegoś faceta. Krew nadal z niej wypływała i Norma nie wiedziała, ile jej jeszcze zostało w ciele, ile ma jeszcze przed sobą życia pod tym pełnym odrazy spojrzeniem pracownicy społecznej, wśród jej pytań: jak się nazywasz, co wzięłaś, gdzie je wyrzuciłaś, jak mogłaś to zrobić, a potem nic, czarna cisza upstrzona wrzaskami, płaczem noworodków, które ją wołały, wykrzykiwały chórem jej imię. Obudziła się naga pod fartuchem z prostego materiału, przywiązana do poręczy łóżka bandażami, które paliły jej skórę na nadgarstkach, a dookoła niej paplały kobiety. Ohydny smród mleka i potu charakterystyczny dla niemowląt, które zawodziły w nabrzmiałej upałem sali, sprawiał, że Norma chciała jak najszybciej uciec z tego miejsca, zerwać bandażę i uciec, jak z wariatkowa, uciec od swojego obolałego ciała, od opuchniętej mięsnej masy pokrytej krwią, uryną i strachem, który utrzymywał ją w tym przeklętym łóżku. Chciała dotknąć swoich piersi, żeby pozbyć się ukłuć, które przez nie przebiegały; chciała odgarnąć z twarzy przepocone włosy, podrapać się w swędzące niebosko miejsce na brzuchu, wyrwać plastikową rurkę

z przedramienia. Chciała szarpać i szarpać te bandażę, aż je porwie na kawałki, i uciec z tego miejsca, gdzie patrzono na nią z nienawiścią, gdzie wydawało się, że wszyscy wiedzą, co zrobiła. Chciała się udusić własnymi rękami, zadławić własnym krzykiem, którego nie była już w stanie powstrzymywać, tak samo jak moczu: mamó, mamusiu, wrzasnęła wraz z noworodkami. Chcę wrócić do domu, mamusiu, wybacz mi wszystko, co ci zrobiłam.

## VI

**M**amoooooooo, krzyczał, wybacz mi, mamoo, wybacz! Mamusiu! Wył jak potrącony przez ciężarówkę pies, który jeszcze żywy wlecze się w stronę rowu. Mamooooo, mamuuuusiuuuuuuu! Brando skulił się w swoim kącie – przestrzeni między ścianą a kibelem, jedynym miejscu w tej celi, które udało mu się zająć, gdy ludzie Rigorita wrzucili go do separatki. Pomyślał, nie bez cienia radości, że być może to Luisimi tak się wydziera, że może to Luisimi wyje z udręki, Luisimi kwili aż do wymiotów, podczas gdy tamci walą go po brzuchu deskami, żeby wydusić z niego wyznanie. Gdzie kasa, chcieli wiedzieć, gdzie są pieniądze, co zrobiliście z kasą, gdzie ją schowaliście – tylko to interesowało tego obrzydliwego wieprza Rigorita i pierdolonych policjantów, którzy sprali Branda tak, że zaczął pluć krwią, a potem rzucili go do tego dołka, w którym śmierdziało szczynami, gównem, kwaśnym potem durnych pijaczyn, siedzących w kucki pod ścianami, chrapiących na podłodze albo cicho się śmiejących czy też rzucających mu dzikie spojrzenia znad papierosów. Musiał odeprzeć atak trzech typów, którzy napadli go, gdy tylko minął kratę – trzech gości powitało go ciosami i nakazało zdjąć tenisówki, a co, będziesz się skarżył, pogromco ciot?, spytał ich przywódca, ten, który najgłośniej krzyczał i machał rękami tuż przed twarzą Branda – ciemny facet, sama skóra i kości, bezzębny i brodaty, miał na sobie coś, co przypominało bardziej poszarpany płaszcz niż koszulę. Jego głos był jednak dość tubalny jak na to mikre ciało: no już, pierdolony z boku, wypadasz z sandałów albo rozkwasimy cię o ścianę. I Brando, który ledwo mógł się utrzymać na nogach z powodu lania, jakie spuścili mu policjanci, nie miał innego wyjścia; zdjął adidasy i wręczył je tej zakazanej brodatej mordzie. Koleś natychmiast włożył buty i wykonał coś w rodzaju triumfalnego tańca z paroma kopniakami, którymi poczęstował pijaczków jęczących przez sen na

podłodze celi. Tamten wyjec, zaciukany jebany pies, ani na moment nie przestawał się drzeć. Jego wrzaski odbijały się od ścian separatki i czasami trudno było rozpoznać jego słowa, gdy pozostali więźniowie odpowiadali mu krzykiem: Zamknij się, parszywy psie! Zamknij się, jebany morderco! Koleś zabił matkę, co za wariat, i jeszcze mówi, że to diabeł! Święty gołabek! Przyda mu się parę ciosów, niech się wreszcie zamknie, cholerny pies. Brando skulił się w zaszczanym kącie celi, skrzyżował ręce na brzuchu i przycisnął pośladki do ściany; miał wrażenie, że tylko w tej pozycji jego wnętrzności trzymają się na miejscu, a nie pływają w brzuchu, w którym na pewno pełno jest krwi. Nawet gdy zamknął oczy, czuł obecność przywódcy, który krążył wokół Branda, nozdrza rejestrowały syfiasty smród, jaki wydzielala skóra tamtego wariata. Pogromca ciot, powtarzał facet, do chuja, pogromca ciot, a niech mnie... Ale Brando zasłonił rękoma uszy i pochylił głowę. Już oddał mu jedyną wartościową rzecz, jaką miał. Co jeszcze mógłby zabrać mu ten typ? Jego obesrane gacie? Upstrzone krwią i sikami spodniki? Już zapłacił butami za prawo do kawałka podłogi, czy nie zasługiwał choćby na kilka minut spokoju, żeby pojęczeć nad swoimi licznymi ranami? Wyjec nadal darł się na końcu korytarza, pewnie z tej małej celi, którą gliniarze czule nazywali dołączkiem. To nie ja, mammo, to nie ja, krzyczał, to był diabeł, mammo, cień, który wszedł przez okno, ja spałem, mamusiu, to był diabelski cień. Na to ci więźniowie, którzy nie byli napici ani naćpani, znowu odpowiedzieli śmiechem, obscenicznymi żartami i wygłupami. Chętnie by się nim zajęli, bez wątpienia, niektórzy ośmielili się nawet zaproponować strażnikom przy drzwiach separatki, żeby im go na chwilę pożyczili, chcieli dać mu wycisk, a nawet wyjechać, aby miał powody tak się drzeć, pierdolony morderca, wyrodny synalek, jak można zabić mamusię, czyżby te pieprzone gliny nie dały ci tego, co ci się należy, wyrodny psi synu? Gdzie jest Rigorito? Gdzie jego przydupasy? Gdzie miska ze szczynami, żeby sobie ten jebany kretyn popływał? Gdzie kable i bateria, żeby mu spalić jaja? Ten wieprz komendant spierdolił, pojechał jedynym wozem patrolowym w Villi, razem ze swoimi zbirami spierdolił do domu Wiedźmy, jak tylko przestali bić Branda w pokoiku za gabinetem komendanta. Gdzie jest kasa?, wrzeszczał ten obrzydliwy wieprz, gadaj albo uduszę

cię jak jebanego szczura. Gadaj albo utnę ci kutasa i wsadzę w dupę, pierdolony zboku, wydupczony pedale – dureń chciał, żeby Brando powiedział mu, gdzie są pieniądze, chociaż chłopak przysięgał, że niczego nie znaleźli, że nie było żadnego skarbu, to wszystko kłamstwa, wyssane z palca plotki; nawet się popłakał przed tymi chujami, gdy przypomniał sobie wściekłość i zawód, jakie czuł, gdy niczego nie znaleźli w tamtym domu, niczego tam nie było, tylko syfiasty banknot o nominale dwustu pesos leżał na kuchennym stole i jeszcze ta garść monet rozsypana na podłodze w salonie; żadnych skarbów, żadnych skrzyń ze złotem, same śmieci, zgniłe od wilgoci gówna, papiery, szmaty, śmieci, bobki tarentoli i zdechłe z głodu karaluchy, bo nawet głośniki i odtwarzacze, których ciota używała podczas swoich imprez, zostały zniszczone, rozbite – leżały rozwalone po całym parterze domu, jakby podczas jednego ze swoich ataków hysterii ten pedzio wniósł je na górę i rzucił ze schodów. Niczego tam nie było, powiedział policjantom, ale gdy przestali walić go po nerkach kawałkiem drewna – na zmianę, żeby się nie zmęczyć – gdy mu pokazali kable i baterię, za pomocą których chcieli go razić prądem, i gdy ściągnęli mu obszczone spodenki i przywiązali go za ręce do rur pod sufitem, Brando nie miał wyjścia i powiedział im o tamtym pokoju, o zawsze zamkniętych na klucz drzwiach na piętrze w domu Wiedźmy, których nie mogli wyważyć mimo wysiłków i prób. Gdy Rigorito przyczepił mu gołe kable do jaj, musiał także wyznać, że nocą po morderstwie wrócił do tamtego domu, po tym, jak wrzucili ciało do kanału – ale już bez Luisiego i Munry. Chciał jeszcze raz sprawdzić dom, bo nie wierzył, że niczego tam nie ma, do kurwy nędzy. Przetrzęsął cały parter, wszedł po schodach i jeszcze raz przejrzał pokoje na górze; ponownie próbował wyważyć drzwi do zamkniętego pomieszczenia, nawet wpadł na pomysł, żeby rozwalić je maczetą, był pewien, że do chuja, musiało się tam kryć coś wartościowego, bo po co całe to pilnowanie, żeby nikt tam nie wszedł, żeby nikt nie wchodził na górę. Dopiero gdy im to powiedział, dopiero gdy zaczął szlochać z wściekłości, upokorzenia i z powodu lania, te pieprzone świnię okazały zadowolenie i zaraz zabrały go z tamtego pomieszczenia i wrzuciły do separatki, a same natychmiast pojechały na sygnale wozem patrolowym, na pewno prosto do domu Wiedźmy, żeby poszukać przeklętej

kasy, wypierdolić drzwi strzałami z pistoletu, jeśli trzeba, chociaż Brando był prawie pewien, że Rigorito również niczego tam nie znajdzie, a gdy się zorientuje, że to wszystko na próżno, wróci na posterunek, żeby się zemścić na chłopaku, obetnie mu kutasa, uszy i zostawi, żeby się wykrwawił na podłodze tamtej celi – która raczej przypominała trumnę – słynnego dołeczka. Być może w wesołej kompanii wariata, który zabił swoją matkę. Bo tak naprawdę komendanta Rigorita ni chuja nie obchodziła śmierć Wiedźmy, ten idiota chciał jedynie wiedzieć, gdzie jest złoto. Jakie złoto, darł się Brando, i ciach, cios w podbrzusze, gadaj, gdzie je schowaliście, i buch deską w nery, zanim nawet zdążył otworzyć usta, żeby powiedzieć, że nie wie – jakby ten gość umiał czytać w myślach, do kurwy nędzy. Ja tak mogę całą noc, pogromco ciot, to jest mój ulubiony sport, więc gadaj: gdzie jest kasa? Gdzie ją ukryliście? Brando czuł, że jego nerki się zwinęły, a skóra na pośladkach zmieniła w krwawą masę, ale oczywiście te sukinsyny dbały o to, żeby nie uderzyć go w twarz – jutro dziennikarze będą robić mu zdjęcia, żeby nie szemrali potem, że się przyznał, bo pobili go na posterunku. Następnego dnia jego matka wszystkiego się dowie, zobaczy jego twarz w dziale kryminalnym gazety, choć pewnie jakaś sąsiadka już do niej poszła powiedzieć, że chodzą słuchy, jakoby policja go złapała przed samym sklepem don Roquego i kopniakami zapędziła do wozu patrolowego. Przywódca Bandy Pogromców Ciot – tak go nazwał ten durny wieprz Rigorito, pierdolony skurwiel lubi przesadzać, w końcu zabili tylko jedną ciotę i Brando wcale się tym nie zajmował zawodowo, a poza tym ta pierdolona Wiedźma tak naprawdę na to zasługiwała, bo była pedałem, brzydkim, durnym i wrednym. Nikt nie będzie tęsknił za tym pierdolonym gównianym pederastą, Brando nie żałował tego, co się stało. Niby czego tu żałować? Po pierwsze on nawet nie wbił noża, tylko spuścił jej lańsko, żeby zmiękła, co nie? Najpierw w domu, a potem poprawił, gdy jechali furgonetką Munry. To Luisimi ją zabił, to on wsadził jej nóż w szyję, powiedział Rigoritowi. Brando tylko wrzucił ciało do kanału. Ale komendant nie chciał o tym słyszeć, interesowały go jedynie pieniądze, pierdolone pieniądze, i Brandowi nie udawało się go przekonać, że nie było żadnych pieniędzy, że nigdy ich nie było, że okazało się to wielkim rozczarowaniem; żałował tylko, że

nie miał odwagi pozabijać ich wszystkich – tego kretyna Luisiego i przy okazji gównianego obrzydliwego kulawca Munry – i spierdolić z tego syfiastego, pełnego ciot miasteczka. Powinni każdego pedzia zebrać za wszarza, zaciągnąć na plac i tam spalić, powiedział policjantom, spalić wszystkich tych pierdolonych pedałów, krwi! Pęcherz mu się rozluźnił po walnięciu deską w podbrzusze. Zsikał się i nie był w stanie się ruszyć, a w ustach miał metaliczny posmak – takiego wsadzili go do celi, żeby te parszywe skurwysyny go okradły. Zabrały mu jego nowe tenisówki, do kurwy nędzy, jego markowe buty, oryginalne; kosztowały go sporą część tych dwóch tysięcy, które ukradł Luisiemu, tych słynnych dwóch tysięcy, które Wiedźma dała Luisiemu, żeby pojechał do dzielnicy La Zanja i kupić kokainę, a ten kretyn był tak naćpany swoimi pastylkami, że nie zauważył nawet, jak po drodze Brando go obszukał. Następnego dnia Wiedźma się wściekła, gdy zobaczyła, że Luisi przychodzi bez koki i bez kasy, myślała, że kolo chce ją jak zawsze nabrać, i wypierdoliła go z domu, powiedziała, żeby więcej się tam nie pokazywał – to była jedna z tych histeryjek wkurwionego pedałka. Żałosna scena: pierdolona ciota tupała, a ten kretyn Luisi darł się na nią, że nie jest jebanym złodziejem, że niczego jej nie ukradł, że ktoś musiał zabrać mu te pieniądze, a może wypadły mu po prostu z kieszeni, bo był nieźle naprany. Tak się zapamiętali w tej kłótni jak z telenoweli, że żaden nie podejrzewał Branda, który tydzień później, gdy skończył się już karnawał, poszedł do Domów Towarowych Principado w Villi i kupił sobie białe tenisówki adidasa z czerwonym paskiem, takie zajebiste, a wszystkich, którzy go pytali, komu je skroił, mówił, że dostał je od starego, chociaż ten jebany kretyn od lat się nie pojawiał w miasteczku, żeby ich odwiedzić, i jedynie wysyłał im co miesiąc żalosną kwotę, za którą Brando i jego matka biednie żyli. Jej nie musiał wyjaśniać, skąd wziął buty, była głupia i nawet się nie zorientowała, że Brando nie chodzi w tych gównianych trzewikach, które kupowała mu na targu – niemodnych trepach, w których po kilku dniach robiły się dziury, buty biedaków kupowane w śmieciowych sklepach, gdzie nabywała wszystkie te durnostojki: plastikowe aniołki, plakaty z Ostatnią Wieczerzą, ceramicznych pastuszków i pluszowe zabawki, którymi zarzucała kanapę w salonie, tak że nie było już prawie gdzie usiąść – nie



dało się spokojnie posadzić dupy z tymi wszystkimi zakurzonymi zwierzętami. Dlatego gdy matka zajęta była swoimi sprawami, w wieczory, które spędzała w kościele, odmawiając różaniec z resztą starych dewotek, Brando wybierał jednego pluszaka, patroszył go, oblewał benzyną i palił na podwórzu, gorąco pragnąc, by było to prawdziwe zwierzę, takie z krwi i kości: króliki i niedźwiedziątka, i koty o rozmarzonych oczach, których sierść płonęłaby wśród wrzasków agonii. Wkurwiało go, że jego matka jest taka durna, taka łatwowierna, to z jej winy musieli codziennie jeść fasolę, bo sporą część pieniędzy, jakie wysyłał im ojciec Branda, a nie było tego dużo, oddawała na kościół. Piekielnie go wkurwiało, że jego matka spędza tyle czasu w kościele, włączając w dupę pierdolonemu ojcu Casto, który dręczył Branda, gdy przychodził do nich na obiad: dlaczego nie widzi go na mszy, dlaczego się nie spowiada, dlaczego zadaje się ze złym towarzystwem? Dlaczego nosi ubrania pokryte satanistycznymi symbolami, diabłami, szkieletami i bluźnierstwami przeciwko Panu? Dlaczego nie pozbędzie się muzyki, która tylko nakłania do złego, pcha prosto w szpony zagubienia i szaleństwa? Nie wstyd mu tak dręczyć matki? Zamiast się włóczyć z łobuzami i upijać w parku, lepiej niech przyjdzie na piątkową mszę, którą ojciec Casto poświęcał opętanym z parafii, wszystkim tym, którzy wierzyli w czary i ciemne moce, w legiony demonów i upiory chodzące luzem po ziemi, złe duchy czające się na tego, kto ich wpuści swoimi nieczystymi myślami, magicznymi rytuałami oraz przesądami, niestety pleniącymi się na tej ziemi z powodu afrykańskich korzeni jej mieszkańców, zwyczajów indiańskich, biedy, nędzy i niewiedzy. Brando dobrze znał te msze, matka zabierała go na nie od małego, przekonana, że jej syna opętał diabeł. Nabożeństwo trwało niesłychanie długo i było strasznie nudne, ojciec Casto śpiewał po łacinie i Brando nie rozumiał ni chuja z tego, co mówił, chociaż na koniec zaczynało się robić interesująco, bo któryś z uczestników siedzących w ławkach z przodu zawsze zaczynał nagle się wić albo wywracać oczami, gdy ojciec Casto kropił go wodą święconą i nakładał na niego ręce. Poza tym grupa starych wariatek zwykle mdlała, inne zaczynały się wydzierać w dziwnych językach, mówiły, że wstąpił w nie Duch Święty. Brando nie miał wtedy jeszcze nawet dwunastu lat i nie rozumiał, dlaczego

matka go tam zabiera, dlaczego jest taka pewna, że opętał go diabeł, kiedy on przecież nigdy nie odczuwał chęci, by wrzeszczeć podczas mszy albo wić się niczym zacadzona gąsienica – jak to robiły te stare idiotki. Ale matka mówiła, że Brando czasami gada przez sen, płacze i lunatykuje, rozmawia z niewidzialnymi osobami, a niekiedy nawet się śmieje. Jeśli nie opętał go diabeł, dlaczego stał się taki nieposłuszny i nieprzystępny? Dlaczego nigdy nie patrzy jej w oczy, gdy mówi mu, by wyjął ręce z kieszeni, żeby nie łapał się za to, co nieprzystojne, żeby wyszedł z łazienki i przestał robić świństwa, które na pewno tam robi? Czy nie wstyd mu, że Bóg widzi jego grzechy? Ponieważ Pan Bóg widzi wszystko, Brando, zwłaszcza to, co chcesz przed nim ukryć, to, co robisz zamknięty w łazience, z plotkarskimi gazetami matki rozłożonymi na podłodze, to, czego sam się nauczyłeś podczas bezsennych nocy – te parkowe wałkonie nie miały nic do tego, chociaż od jakiegoś czasu dręczyły go tym swoim: no dobra, chłopaczku, ile razy dziś pościskałeś? Wychodzą ci włosy na ręce, stary, zauważyłeś? Popatrz no tylko, ten dureń ogląda swoje kudły! Grzmociłeś się, pistoleciku? Szarpałeś druta? Ten twój kutasik pewnie w ogóle nie staje, prawda? I zawstydzony Brando otoczony chłopakami, którzy palili i pili, a niektórzy mieli dwa razy tyle lat co on, odpowiadał: staje mi, do kurwy nędzy, spytaj swojej starej, i łobuzy zaśmiewały się do łez, a on czuł dumę, że został włączony do tego kółka, które się zbierało na najdalszej ławce parku, choć te durnie śmiały się z niego, z jego imienia charakterystycznego dla bogaczy i homosiów, z jego kutasa, który na pewno jest mikroskopijny, a przede wszystkim z tego, że dwunastoletni Brando nigdy się nikomu nie spuścił do środka. Stary, nic z ciebie nie będzie! Stary, ja w twoim wieku pieprzyłem nawet nauczycielki. Ale bajki opowiadasz, Willy, krzyczał Gatarrata. Nie wkręcaj mnie, idioto, nie pamiętasz, jak Borrega podał johimbinę tej z szóstej klasy i babka oszalała, zaczęła się grzmocić na podłodze? Miała wielkie cyce, skurwielu, ale od tamtej pory nikt nie mógł już ich zobaczyć ani jej przerznąć, bo nie wróciła więcej do pracy. Aleśmy dali czadu w szóstej, jeśli dobrze pamiętam, to był Nelson, powiedział Mutant. Nie ściemniaj! Nelson, co się stało z tą pieprzoną ciotą? Mówią, że wyjechał do Maticocuite i założył tam salon piękności, i nikt już nie woła na niego Nelson, teraz nazywa się

Evelyn Krystal. Pieprzona ciota, ale miał dupencję, pamiętasz, stary? I jak paradował przed nami z tym swoim tyłkiem, udając, że nie wie, że na niego patrzymy? Rozdziewiczyliśmy go, jak był jeszcze całkiem młody, ale już nie mogliśmy wytrzymać z powodu tego tyłka, byliśmy chorzy z pożądania i pewnego dnia zaciągnęliśmy go tam, gdzie krzyżują się tory, i po kolei porządnie go wyruchaliśmy, pamiętasz, stary? Cioteczka popłakała się nam z radości, nie wiedziała, co zrobić z tyłoma kutasami! Naprawdę nigdy nikomu nie wsadziłeś, pieprzony Brando? Chłopie! Nawet cwelikowi? Nie? Nawet prosiaczkowi albo barankowi? Sukinsyny zaśmiewały się do rozpuku, a Brando obgryzał paznokcie i też się śmiał, bo to prawda, że w wieku dwunastu, trzynastu, czternastu lat jeszcze się nie pieprzył z żadną laską, tylko marszczył fredda w łazience przed gazetami plotkarskimi matki. Potem musiał wynosić je po kryjomu na śmietnik, bo zostawały na nich ślady jego smarków, spermy, która wreszcie z niego wyszła, tak jak zapowiedziały mu te parkowe durnie, chociaż nie sprawdzało się to, że kutas staje się większy, im bardziej się go marszczy, i Brando rzeczywiście martwił się wielkością swojego penisa, a raczej jego grubością. Uważał, że jego ptaszek jest za chudy, zbyt ciemny, u podstawy był prawie fioletowy, wydawało mu się także, że jest mały, zwłaszcza w porównaniu z tymi zajebistymi chujami koleśki z filmów porno, które kupował u Willy'ego, gdy znudziły go babki w bikini z gazet plotkarskich. Lokal Willy'ego krył się w głębi dzielnicy, obok targowych toalet. Była to piwnica, gdzie kolo trzymał pirackie filmy, które sprzedawał na stoiskach, chociaż tak naprawdę jego biznes opierał się na porno i gotowych skrętach z marihuaną trzymany w pudełkach po płatkach owsianych. Gdy Brando po raz pierwszy przyszedł kupić sobie filmik, Willy głośno się zaśmiał: włosy ci wyrosną na ręce, stary, powiedział, dlatego masz tyle syfów na mordzie, dlatego jesteś taki chudy, bo tyle go trzepiesz, na co Brando odpowiedział: a chuj ci do tego, nie?, przełknął wściekłość i zniósł docinki, byle tylko Willy pozwolił mu wejść głębiej i wybrać sobie film po zdjęciach na okładce, niewyraźnie skopiowanych na błyszczącym papierze. Po paru buchach zioła – Willy zawsze go zapraszał – szybko wracał do domu, włączał film na konsoli w salonie i walił konia, podczas gdy jego matka

siedziała w kościele, na mszy albo różańcu, co mogło trwać godzinami i pozwalało mu się masturbować przed ekranem, powtarzał przy tym kilkakrotnie sceny, które najbardziej go brały. Tę, w której wielki Murzyn pierdolił cysatą blondynę na masce samochodu, tę, w której dwie babki pieprzyły się nawzajem wielkim dildem, tyłek w tyłek, albo fragment filmu, na którym przywiązana do łóżka mała Chinka płakała i wywracała oczami jak opętane z mszy ojca Casto, podczas gdy dwóch koleś ją pieprzyło. Te sceny szybko go nudziły i męczyły, aż pewnego dnia, zupełnie przypadkowo, z powodu błędu Willy'ego albo tych, którzy piracili te filmy w stolicy, po raz pierwszy zobaczył scenę, która zmieniła wszystko. To nagranie stanowiło moment przełomowy dla jego fantazji. Był to klip wgrany między dwie sceny innego filmu: szczupluta dziewczynka o krótkiej fryzurze i twarzy dziecka, zupełnie naga, z pieprzykami pokrywającymi jej ramiona i małymi sterczącymi piersiami, pojawiała się na nim obok wielkiego psa, skundlonego doga niemieckiego, który na przednich łapach miał skarpetki. Zaśliniony potwór biegał za dziewczynką po całym pomieszczeniu, przyciskał ją do mebli, wsadzał swój czarny pysk między jej nogi i lizał różowym językiem jej równie różową cipkę, a dziewczynka śmiała się jak głupia i udawała, że karci psa w języku, którego Brando nie rozumiał. Film kończył się po dwóch minutach, gdy dziewczynka udaje, że upada na plecy na fotelu, pies na nią skacze i kładzie łapy w tych śmiesznych żółtych skarpetkach na jej ramionach, a ona zbliża twarz do wielkiego zwierzęcego penisa i dokładnie w chwili, gdy otwiera usta w kolorze truskawki, żeby chwycić nimi psi członek, scena brutalnie się urywa, przez sekundę jest tylko niebieski ekran, a potem powrót do filmu, w którym występują nieźle wyposażony koleś – jego twarzy nigdy nie widać – i kolejna z tych blondynek ze zoperowanymi cyckami. Brando zawył z frustracji i przyspieszył film, żeby sprawdzić, czy dziewczynka i pies powrócą, ale nadaremnie. Musiał więc się zadowolić tymi dwoma minutami, które odtwarzał w pętli przez wiele godzin, chociaż tak naprawdę chciał zobaczyć, jak pies pieprzy tę babkę, jak dziewczyna najpierw mu obciąga, a potem się odwraca i pies bezlitośnie na nią wchodzi i wypełnia jej zaczerwienioną cipkę kleistym mlekiem, gorącym psim mlekiem, które spływa po bladych udach

dziewczyny, a ta jęczy i wierci się, próbując się wydostać spod tego obrzydliwego psa – Brando nie mógł przestać wyobrazać sobie tej sceny przez kolejne miesiące, nawet w miejscach i sytuacjach, w których nie było wskazane, żeby penis mu stawał: na przykład w szkole, gdzie wystarczyło, by jedna z koleżanek schyliła się po ołówkę, a Brando już zaczynał sobie wyobrażać, jak zmienia się w wielkiego czarnego psa i na nią wchodzi, ściąga jej majtki zębami i przydusza ją do podłogi, żeby wsadzić jej swojego okrutnego, nieludzkiego kutasa. Czasami budził się w środku nocy i próbował się masturbować, przywołując wspomnienie tamtego filmu, ale sama wyobraźnia nie wystarczała, a o tej porze nie mógł odtworzyć go w salonie, gdyż jego matka spała w drugim pokoju z otwartymi drzwiami. Brando wymykał się więc na podwórze, wspinał się na dach i schodził po piorunochronie sąsiedniego domu. Włóczył się po pustych ulicach miasteczka, wypatrując wskazówek – stłumionych szczeknięć, spokojnego wycia – które prowadziły go tam, gdzie celebrowano cykliczny pierwotny rytuał, do uliczki za sklepem don Roquego albo między kwietniki parku naprzeciwko kościoła, albo na puste tereny na przedmieściach, gdzie ulotne cienie bezpańskich psów zbierały się, by w świętej ciszy się parzyć, z wywalonymi językami, nabrzmiętymi genitaliami i odsłoniętymi kłami, którymi ziejąca z pożądania suka ustanawiała hierarchię. Jak wybierała pierwszego? Bo dla Branda wszystkie były tak samo piękne, wolne i piękne, oraz pewne siebie w taki sposób, w jaki on nigdy nie był i nie będzie. Obserwował psy z rozsądnego dystansu, żeby ich nie wystraszyć i nie sprowokować, za pomocą swojej prawej ręki uczestniczył z dala w tej orgii i spuszczał się na ziemię aż do ostatniej kropli trucizny palącej go w żyłach, a potem wracał do domu i wchodził do łóżka, gdzie zapadał w paraliżujący sen dzięki boskiej pustce, spokojowi, który go opanowywał, gdy w końcu udawało mu się pozbyć jadu wypełniającego mu jaja. Być może był to dowód na to, że naprawdę ma w sobie diabła, dowód nie do podważenia, chociaż nigdy nie udało mu się znaleźć na twarzy znaków, które według ojca Casto pojawiały się u opętanych. Szukał ich w odbiciu w lustrze, kiedy nocą długo obserwował swoją twarz przed umywalką, ale nie odnajdywał w niej niczego satanicznego, demonicznego – widział tylko swoje oblicze z podkrążonymi oczami

i pucułowatymi policzkami oraz zwykłym ponurym spojrzeniem; codzienny banalny widok. Chciałby odkryć w swych oczach jakiś błysk złego, grę barw na dnie źrenic albo ślad po rogach na czole lub nagle wyrastające kły, cokolwiek, do cholery, cokolwiek, co nie byłoby tą żalospną mordą coraz chudszeo i bardziej kościstego chłopaczka. Ta jego chudość spowodowana była nocnymi wypadami, coraz częstszymi, oraz ogromną ilością marihuany, którą mniej więcej wtedy zaczął regularnie palić. Już nie tylko w soboty w sklepie Willy'ego, ale również we własnym domu przed masturbacją, i z łobuzami w parku, z Willym, Gatarratą, Mutantem, Luisim i innymi kolesiami, z którymi spędzał teraz popołudnia po szkole, pijąc gorzałę i paląc zioło, a czasami też wdychając klej albo wciągając kokainę, gdy mieli kasę, a Munra zgodził się zawieźć ich do Pablów, do dzielnicy La Zanja, prawie przed samym Matacocuite, gdzie kupowali tanią i mocno zanieczyszczoną kokę, którą Brando wolał palić na czubku papierosa lub skręta. Uwielbiał ten plastikowy posmak jej słodkawego dymu, który wypełniał mu płuca i przyjemnie paraliżował zmysły, ale zdawał sobie sprawę, że gdy był otumaniony narkotykiem, nie mógł dojść, nawet przy filmie z dziewczynką i psem. Mógł trzepać kapucyna całymi godzinami, patrząc na tamtą udawaną gonitwę zwierzęcia za dziewczyną, tą piegowatą ślicznotką o twarzy dziecka i z zaczerwienioną dziurką nieprzypominającą mu żadnej cipy, jaką widział na żywo, żadnej z dwóch cip, w które w wieku piętnastu, szesnastu, siedemnastu lat udało mu się wsadzić, choć się nie spuścił. Z winy narkotyków, oczywiście, z winy koki, przede wszystkim koki, która usypiała mózg i ciało, oraz z winy tych durniów, którzy się z niego naśmiewali, a przede wszystkim z winy tamtej pierdolonej babki, której ledwo zdążył wsadzić, bo wcale nie chciał mu stanąć, co za wstyd, ale to wszystko z winy koki i alkoholu, i braku snu. Wtedy po raz pierwszy spędził całą noc, włóczęąc się z bandą kolegów, pierwszy raz nie posłuchał nakazów matki ani ostrzeżeń ojca Casto odnośnie do pogańskiej i grzesznej natury karnawału w Villi, fiesty będącej po prostu rozbuchanym sabatem, na którym zachęcano lokalną młodzież do spółkowania i folgowania nałogom. Brando miał już dość spędzania tych dni z matką w zamknięciu, miał dość tego, że słyszy muzykę parad wyłącznie z daleka i patrzy

tylko, jak inni się bawią, piją i tańczą na ulicach. Słyszał wybuchy petard i rozbijanie butelek podczas kłótni o świcie, płacz przerywany wymiotami zagubionych pijaków, wciągające stukanie wideogier instalowanych obok kościoła – te metalowe potwory Brando mógł podziwiać dopiero w Środę Popielcową, gdy stały rozmontowane na asfalcie, ze światłami i neonami wygaszonymi w świetle dnia. Szedł wtedy z matką na mszę ulicami nadal pokrytymi śmieciami, puszkami po piwie, pustymi butelkami po wódce, widział całe rodziny obdartych wieśniaków chrapiących na kwietnikach w parku i na chodnikach pokrytych konfetti. Brando zawsze się zastanawiał, jak to możliwe, że to podniecenie opanowujące miasteczko w dniach poprzedzających karnawał, wszystkie te błyskotki i sztuczne światła ostatecznie kończyły w apokaliptycznym śmietniku pełnym nieprzytomnych troglodytów i kałuż wymiocin. Wreszcie w roku, w którym kończył szesnaście lat, zdecydował się wymknąć na karnawał, nie zważając na płacz matki, na jej wyzywanie go od wyrodných synów i libertynów, grożenie, że poskarży się ojcu – co Brandowi wydało się tak idiotycznym pomysłem, że nie mógł powstrzymać śmiechu, przecież ojciec od dawna nie stanowił autorytetu w tym domu, ten facet od lat nie zniżał się nawet do tego, żeby do nich zadzwonić, nie mówiąc już o tym, żeby wpadł w odwiedzinę, a poza tym matka Branda wydawała się jedyną w całej Villagarbosie osobą nieświadomą faktu, że ojciec miał już drugi dom w Palogacho, drugą rodzinę, kobietę i małe dzieci, i tylko z litości wysyłał im pieniądze, żeby nie umarli z głodu, podczas gdy ta durna matka siedziała cały czas w kościele, udając, że tak nie jest, myśląc, że dzięki modlitwom i litaniom wszystko ułoży się samo, dzięki boskiej interwencji, że Brando znów stanie się grzecznym cichym dzieckiem, prawie autysiem, którym niegdyś był, podporządkowanym głuptasem, który chodził z mamusią pod rękę, jakby był jej malutkim mężem, którego łobuzy z parku wyśmiewały, krzycząc: Brandi maminsynek, mamusia ciągle jeszcze podciera ci tyłek? Ciągle jeszcze cię kąpie, obsypuje puderkim i ciągnie za ptaszka, żebyś spał dobrze? Kiedy przestaniesz być pieprzonym homochłoptasiem, Brando? Nie wstyd ci, że jesteś taki żalorny? Nie wstyd ci, że jeszcze nie wsadziłeś żadnej babce? Masz szansę, stary, powiedziały te skurwysyny. Wsadzaj, wsadzaj, póki czas, zanim się

obudzi. To było tamtej nocy, kiedy poszedł z nimi na karnawał, na swoją pierwszą paradę, a raczej rano, bo Brando nigdy wcześniej nie został do świtu z kolegami; wtedy po raz pierwszy spędził z nimi całą noc, włóczęc się po ulicach zmienionych przez hałas setek głośników, z których każdy emitował swoją piosenkę. Oszołomiony Brando prześlizgiwał oczami o poszerzonych źrenicach po nagiej skórze tancerek, po anonimowych twarzach zebranego na chodnikach tłumu, po groteskowych maskach dzieci, które nagle wyskakiwały i rzucały jajka pełne mąki i konfetti na głowy nieświadomych niczego dorosłych. Spowite dymem lutowe powietrze pachniało piwną pianą, przypalonym tłuszczem ze stoisk z tacos, kuszącą smażeniną, rynsztokiem i śmieciami, moczem i innymi wydzielinami zalegającymi na ławkach, a także potem ciał tłoczących się wokół Branda. Plac w Villi był również pełen policjantów, których sprowadzono ze stolicy po to, by powstrzymać, choć bez większego skutku, tłum kłębiący się wokół tronu królowej, dziecka właściwie, zawiniętej w tiule i brokaty niczym księżniczka z dawnych czasów. Dziewczynka miała zagubione spojrzenie i prezentowała wymuszony uśmiech, pełnymi gracji ruchami tańczyła do muzyki grzmiącej ze ściany głośników za jej plecami: *ona lubi dobre paliwo*, jedną rękę oparła na biodrze, drugą podtrzymywała koronę, *dajcie jej więcej paliwa*, a jej spojrzenie było puste, prawie przerażone, *ją kręci dobre paliwo*, obscenicznymi tekstami, jakie pijani ludzie u jej stóp rzucali raczej z głodu niż pożądania, *dajcie jej więcej paliwa*, gotowi ją pożreć, wbić swoje zęby w to delikatne ciało, prawie kościste, gdyby przypadkiem policjanci pozwolili, żeby królowa znalazła się w zasięgu ich rąk. Brando nigdy w życiu się tyle nie śmiał, z oczu leciały mu histeryczne łzy i musiał podtrzymywać się ścian i swoich towarzyszy, żeby się nie przewrócić, bo jego mózg był zamulony ziołem i piwem, a brzuch bolał go od tych salw śmiechu spowodowanych spektaklem, jaki oferowały wariatki, cały legion ciot, przebierańców i transwestytów – przybyłych z całego kraju, żeby poszaleć na słynnym karnawale w Villagarbosie, swobodnie kokietować na zatłoczonych ulicach – w obcisłych legginsach baletnicy, strojach wróżek ze skrzydłami motyli, mundurkach zmysłowych pielęgniarek z Czerwonego Krzyża; te wszystkie muskularne gimnastyczki i cheerleaderki, policjantki babochłopy



i brzuchate Kobiety-Koty w szpilkach. Największe wariatki przebrały się za panny młode i ściagały młodych chłopców po ciemnych uliczkach, inne, te z gargantuicznymi cyckami i tyłkami, próbowały całować w usta wieśniaków. Były też wariatki przebrane za upudrowane gejsze albo takie z czułkami kosmitów i szpicrutami faszystów, wariatki przebrane za kapucynki i Szkotki, wariatki przebrane za prawdziwych macho – wyglądały jak zwykli mężczyźni, ale gdy zdejmowały ciemne okulary, okazywało się, że mają wyskubane brwi i powieki pomalowane błyszczącymi cieniami w wielu kolorach, do tego rzucały dookoła rozpustne spojrzenia. Inne stawiały piwo, żebyś z nimi zatańczył, jeszcze inne walczyły gołymi pięściami o twoje względy, szarpały się za peruki i tiary, które kończyły na ziemi wśród wrzasków; po walkach zostawały krew i cekiny, a tłum rżał ze śmiechu. W tym powszechnym rozpustnym zapamiętaniu Brando nie wiedział, kiedy minęła noc, ale gdy zdał sobie z tego sprawę, już od jakiegoś czasu był dzień i jego kumple chcieli jechać po kokę i kontynuować zabawę, niech Munra zawiezie ich do dzielnicy La Zanja po proszek. Nagle Brando znalazł się w furgonetce i obserwował, jak pierdolony kulawiec wywija hołubce na trasie w kierunku Matacocuite, tak naprawdę to z powodu tego całego zielska i alkoholu, i tej imprezowej gorączki Brando nie wiedział również, kiedy babka w zielonej sukience do nich dołączyła i gdzie wsiadła do ich samochodu. Nikt z nich jej nie znał, nikt nie wiedział, jak się nazywa, a ona sprawiała wrażenie, że jest jej wszystko jedno. Była okropnie naćpana, dość otumaniona oraz bardzo chętna, bo wyciągała swoje niezborne ręce na wszystkie strony, próbując złapać jego kumpli za kutasy. Willy pierwszy zdecydował się ją rozebrać, uwolnił jej cycki z sukienki i zaczął za nie brutalnie ciągnąć, jakby chciał ją wydoić lub coś w tym rodzaju, ale babkę to zachwyciło, zaczęła jęczeć i prosić, by ją przerznąli, żeby wszyscy ją przerznąli, tu i teraz, na tylnym siedzeniu, i właśnie to zrobiły te skurwysyny – najpierw Willy, ten nigdy nie przepuści okazji, potem Mutant i Gatarrata, wreszcie Borrega i Canito, wszyscy poza Munrą, który prowadził i patrzył na to w lusterku wstecznym zły, że plamią mu siedzenie, pierdolone świnie. Wszyscy poza Luisim, który z powodu swojej durnoty i pastylek przysnął na przednim siedzeniu z głową opartą o drzwi. Brando patrzył na

to wszystko z mieszaniną fascynacji i przerażenia. Zapach szarej owłosionej cipy tamtej babki sprawiał, że przewracało mu się w żołądku. Tak właśnie śmierdziały tam kobiety? Taki sam zapach wydzielala delikatna przerwa między nogami dziewczynki z filmu z psem? Do kurwy nędzy! Wolał się odwrócić w stronę okna, popatrzeć na blade niebo nad trzciną, ale po jakimś czasie koledzy zaczęli go wołać: Brandi, och, Brandi, tylko ty nie podupczyłeś. Brandi, wsadź wreszcie, stary, wsadź, póki czas, krzyczał Willy, zanim się obudzi, bo ta kretynka zemdlala albo przedobrzyła z kutasami, kto ją tam wie, ale wszyscy się śmiali i krzyczeli: wsadź jej, sukinsynu, wsadź jej od razu. Brando nie miał ochoty, ale nie był w stanie odmówić, więc przeszedł na tylne siedzenie, wyciągnął swojego penisa przez rozporek, nie ściągając gaci, bo za Chiny nie pozwoli, żeby tamci pierdoloni degeneraci zobaczyli jego goły tyłek, pochylił się nad rozłożonymi nogami kobiety i błagał w głębi serca, żeby mu stanął, choćby odrobinę, tylko tyle, żeby mógł przynajmniej udawać, że ją rżnie, i w ten sposób uniknąć ośmieszenia. Już prawie mu się udało, zamknął oczy, pomyślał o dziewczynce i psie, po kryjomu się masturbując prawą ręką, wsadził koniuszek penisa w tę lepką dziurę, a wtedy nagle poczuł ciepło na brzuchu. Spojrzał w dół i zobaczył, że rozporek jego spodni i dolna część koszulki szybko ciemnieją, wówczas wrzasnął ze wstrętem i oparł się plecami o drzwi, a wszyscy obecni na chwilę zamilkli, a zaraz potem wybuchnęli dzikim śmiechem, zaczęli wyć, wskazując na jego podbrzusze i strumyk moczu, który ta obrzydliwa babka ciągle z siebie wypuszczała. Obszczała go!, wrzeszczały te pierdolone durnie. Obszczała go, jak ją rżnął! Pierdolona ohydna świnią, co za gówniana suka! Nikt nie powstrzymywał Branda, gdy ten rzucił się na kobietę i walnął ją pięścią w twarz, wszyscy byli zbyt zajęci śmiechem. Na całe szczęście w tym momencie Munra zatrzymał się pięćdziesiąt metrów przed domem Pablów, zaczął narzekać na smród moczu i kazał im wystawić babkę na zewnątrz. Gdyby nie to, Brando nadal by ją tłukł, zmasakrowałby jej twarz, wybił wszystkie zęby, a może nawet zabił za to, że zanieczyściła mu penisa i ubranie swoimi obrzydliwymi szczynami, ale przede wszystkim za to, że go ośmieszyła przed kolegami, przed tymi upierdliwymi skurwielami, którzy jeszcze po latach się śmiali z tamtego wypadku.

Brando musiał znosić te docinki, bo jeśli dałby im do zrozumienia, że to go wkurwia, jeszcze bardziej by sobie na nim używali. Być może z tego powodu: żeby odciągnąć ich myśli od tamtego wydarzenia, żeby o nim zapomnieli, ale też dlatego, że po tylu latach codziennego masturbowania się był już tym znudzony, został kochankiem Leticii, dupiastej, jakieś dziesięć lat starszej od niego czarnulki, która robiła do niego maślane oczy, ilekroć się spotykali w sklepie don Roquego. Leticia była żoną jednego gościa od nafty, który codziennie jeździł do pracy do Palogacho; siedziała w domu sama i nudziła się jak diabli, a przynajmniej tak opowiadała wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, gdy wychodziła po papierosy. Brando z nią nie rozmawiał, ignorował jej spojrzenia, prawie zawsze był zbyt zajęty rywalizacją z jakimś gówniarzem z okolicy na maszynach z wideogrami, które don Roque trzymał przed sklepem. Nie rozmawiał z nią, ale patrzył na jej tyłek, bezczelnie i nie ukrywając się z tym, a ona była tego świadoma, bo jeszcze bardziej kręciła biodrami i krągłymi pośladkami, które sprawiały wrażenie, że służą tylko temu, by je chłostać, kąsać i wyżywać się na nich. Pewnego dnia Leticia mrugnęła do Branda i pomachała do niego na oczach tych idiotów z parku i chłopak nie miał wyjścia – poszedł za nią. Ty to masz zajebiste szczęście, powiedzieli, gdy wrócił i opowiedział, że babka otworzyła drzwi swojego domu, zaprosiła go do środka i zaraz, prawie bez słowa, podniosła tył spódnicy, żeby mu pokazać, że nie nosi majtek. Powiedział im, że przerznął ją od razu, najpierw na stojąco w korytarzu, potem opartą o fotel w salonie i jeszcze gdy wyglądała przez okno z drugiego piętra, patrząc, czy jej mąż nie wraca wcześniej z pracy. Ta durna baba nie pozwalała Brandowi wejść do swojego małżeńskiego łóżka. Nie chciała mu też obciągnąć, powiedziała, że tego nie lubi, że zapach nasienia budzi w niej wstręt. Mnie za to odrzuca smród twojej cipy, pomyślał chłopak, ale nic nie powiedział. Odczuwał wielką przyjemność, gdy ją rznął, zawsze od tyłu albo na pieska na fotelu w salonie. Ona błagała go wśród jęków, żeby ją szarpał za włosy, chwycił za tyłek i rozchyłał pośladki, żeby wchodził głębiej, żeby wsadził jej w dupę i ją wyjebał. Był tylko jeden problem: Brando nie mógł dojść. Ale tego nie opowiadał kolegom. Leticia też się nie zorientowała, a może ta suka miała to gdzieś – była szczęśliwa, że Brando przychodził, wsadzał jej i doprowadzał

ją do orgazmu. Powtarzała, że jest najlepszym kochankiem, jakiego miała, najbardziej szczodrym, najdłużej wytrzymującym. Dochodziła setki razy, gdy Brando walił ją od tyłu, coraz bardziej zmęczony i spocony, coraz bardziej mający tego wszystkiego dosyć. Przyjemność, jaką odczuwał zaraz po tym, jak w nią wszedł, powoli zamieniała się w odrazę, gdy zapach Leticii przybierał na sile z każdym jej orgazmem i wciskał się Brandowi do nosa, wywołując mdłości. Nie pomagało nawet, gdy zamykał oczy i myślał o dziewczynce od psa, o jej dziurce dziecka, o tej delikatnej niewinnej cipuszce, która z całą pewnością smakowała jak miód. Ostatecznie drażniący realizm waginy Leticii i jej zapach jak z rury, którą spuszcza się nieczystości ze sklepu rybnego, sprawiały, że jego penis wiotczał, i wtedy musiał udawać, że doszedł. Odsuwał się od niej i szybko zamykał w łazience, gdzie ściągał lepiącą się, lecz pustą gumkę i wrzucał ją do kibla, a potem mył ręce, penisa, jądra i całą skórę, która miała kontakt z cipą Leticii, a mimo to czasami po powrocie do domu brał prysznic kilka razy, bo wydawało mu się, że odór nie schodzi. Ale tego nie opowiadał kolegom z parku. Chłopakom opisywał ze szczegółami wrażenia z tego, jak te ciemne pośladki wałą go w brzuch, podczas gdy on je ściska. Często opowiadał im o sytuacjach, które tak naprawdę się nie wydarzyły, na przykład o rzekomej manierze, z jaką Leticia mu obciągała, albo o tym, jak go błagała, by spuścił jej się na twarz i piersi – były to sceny z filmów pornograficznych, które oglądał. Nie mówił im także, że często ma ochotę posłać czarnulę na drzewo, nigdy więcej nie wrócić do jej domu i przestać ją rżnąć, ale była mu potrzebna. Jej kołyszące się pośladki, jej kapryśne jęki i ciasna, choć zainfekowana cipa były mu potrzebne, żeby móc dalej opowiadać kolegom o swoich wyczynach, zabawiać ich świństwami, jakie niby wyprawiał, a wszystko po to, żeby wreszcie przestali wspominać jego zaszczanego kutasa. Bo nadal lubili przywoływać tamto zdarzenie, do chuja z nimi, cholera. Oni rżnęli wszystko, co się ruszało, za pieniądze na alkohol i narkotyki pieprzyli nawet te transwariatki, a czasami robili to też z czystej ochoty, bo sprawiało im przyjemność wyjebanie paru homosiów, którzy zjeżdżali na karnawał. To wydawało się Brandowi – na początku – potworne i poniżające, ale z czasem się przyzwyczaił, dał się przekonać nieodpartej logice argumentów grupy:

Stary, nie mów, że nigdy nie dałeś sobie obciągnąć żadnej ciocie, zagajał Willy z mordą upapraną koką. Nie wiesz, co tracisz, chłopie, podchwytywał Borrega, przygotowują ci ciambottę i jeszcze dadzą kasę, i zaproszą na piwo. Po prostu zamknij oczy, mówił Mutant, pomyśl o jakiejś pieprzonej babce i korzystaj, do kurwy nędzy. Naprawdę nigdy nie wsadziłeś żadnej ciocie?, pytali z drwiącym uśmiechem. Nawet delikatnemu ciaśniutkiemu homosiowi, który wyje jak pies, gdy się pochyła, żeby polizać ci jaja? Pierdolonym draniom zawsze udawało się jakoś przerobić Branda – jeśli on próbował się pośmiać z nich i pokazać, że są zwykłymi męskimi dziwkami, bo zadają się ze zbokami, koledzy wyśmiewali jego brak doświadczenia, ja pierdołę. I przypominali, że obszczała go jakaś dziwka! Do kurwy nędzy! Ale z pieprzonymi ciotami nie wszystko zawsze szło gładko i Brando doskonale o tym wiedział. Większość z tych, z którymi Willy i reszta (nawet pieprzony Luisi, kto by powiedział!) się zadawali, stanowiła bandę śmierdzących brzuchaczy i zniewieściałych pedziów, którzy ściągali do barów Villi od czwartku do soboty, szukając młodych świeżych ofiar. Byli to brzydcy goście, nieco zbzikowani, jak ta cała Wiedźma, kurwa mać, westytka z La Matosy, która mieszkała w złowieszczym domu pośrodku plantacji trzciny. Włosy stawały Brandowi dęba, ale nie z powodu orgii, jakie tam się odbywały, lecz ze względu na historie, które słyszał jako dziecko, gdy bawił się na ulicy i matka chciała, żeby zaraz wrócił do domu. Mówiła, że jeśli natychmiast tego nie zrobi, przyjdzie wiedźma i go sobie zabierze, i pewnego dnia, do cholery z tymi przypadkami!, zupełnie niespodziewanie ta wariatka, na którą mówili Wiedźma, pojawiła się na ulicach Villi, ubrana cała na czarno, z woalką zakrywającą jej twarz, wtedy matka pokazała ją Brandowi: widziałeś?, spytała, wiedźma przyszła po ciebie. Brando podniósł wzrok i stanął twarzą w twarz z tym upiornym dziwolągami, wtedy szybko pobiegł do domu, jakby go piorun trzasnął, i ukrył się pod łóżkiem, gdzie spędził w chuj czasu, zanim odważył się wrócić na ulicę – tak wielki strach wzbudziła w nim Wiedźma. Z czasem udało mu się zakopać ten lęk w zakamarkach pamięci, jednak strach wracał, ilekroć Brando szedł z kolegami do domu tego gównianego pedzia. W końcu Wiedźma zawsze zapraszała na piwo i mocniejsze trunki, nawet czasami proponowała narkotyki, tylko po to, żeby

chłopaki przesiadywali u niej w domu, skąd prawie nigdy nie wychodziła. Domiszczce wznosiło się pośrodku plantacji trzciny w La Matosie, zaraz za kompleksem Syndykatu – była to budowla brzydka i odrzucająca, Brandowi przypominała skorupę martwego żółwia nie do końca pochowanego w ziemi. Szary mroczny budynek, do którego wchodziło się przez wąskie drzwi prowadzące prosto do zasyfionej kuchni; stamtąd korytarzem udawało się do wielkiego salonu zawalonego sprzętami i workami śmieci, gdzie znajdowały się także schody na piętro, na które nikt nie wchodził, bo wówczas pedzio się wkurwiał. Tuż pod schodami znajdowało się coś w rodzaju piwnicy, gdzie Wiedźma organizowała swoje imprezy. Było to pomieszczenie wypełnione fotelami i głośnikami, miało nawet kolorowe światła jak dyskoteki w Matacocuite. Zajebyście wariackie były to imprezy, bo po tym, jak pieprzony pedzio ich powitał i posadził w tych kazamatach, znikał i wracał już bez woalki, fantazyjnie umalowany, nawet nakładał kolorowe peruki z brokatem i kiedy wszyscy byli gotowi, nieźle pijani lub naćpani zielkiem, które Wiedźma wysiewała w swoim ogrodzie, czy grzybami, które zbierała w czasie deszczu spod krowich placków i marynowała w syropie, żeby chłopcy dobrze się napruli, stracili kontakt ze światem, ich źrenice rozszerzały się jak w anime, a gęby otwierały na widok wszystkiego, co im się zwidywało – ściany się waliły, twarze pokrywały im się tatuażami, Wiedźmie wyrastały rogi i skrzydła, jej skóra stawała się czerwona, a oczy żółte. Wówczas zaczynała dudnić muzyka i pedzio stawał na czymś w rodzaju sceny w głębi pomieszczenia, w otoczeniu reflektorów, i zaczynał śpiewać, a raczej wyć tym swoim jebanym głosem, który nigdy nie sięgał wysokich nut. Brando dobrze znał puszczane utwory, bo jego matka lubiła ich słuchać podczas domowej krzątany. Często leciały w lokalnej stacji nadającej muzykę romantyczną. Opowiadały takie historie: *i tak naprawdę szaleję za tobą, boję się, że znów cię stracę* albo: *będę twą kochanką czy kim zechcesz, tym, kogo będziesz chciał mieć*, albo: *za oknem umyka moje życie, jestem z tobą, lecz sama*, i ta pierdolona Wiedźma nawet robiła miny, gdy śpiewała z mikrofonem w rękę. Miała nieobecne spojrzenie, jakby ta jebana kretynka naprawdę znajdowała się na scenie, na stadionie, otoczona fanami – uśmiechała się i czasami się wydawało, że się

rozplacze, a Brando nie mógł uwierzyć własnym oczom, podobnie jak jego koledzy i inni faceci, którzy tam przychodzili: przede wszystkim chłopcy z pobliskich wiosek, jeden czy drugi z tych zniewieściałych gości, którzy pojawiali się nie wiadomo skąd; no więc wszyscy patrzyli na Wiedźmę oniemiała, jakby w ekstazie, a może raczej przerażeniu, ale nikt nie miał odwagi wyśmiać tej cioty ani krzyknąć, żeby się, do cholery, zamknęła, bo wyje jak opos. Tak naprawdę Brando nie lubił tam chodzić, bo gdy się naćpał koki i był nakręcony, nie miał ochoty się zamykać w tym posepnym bunkrze i wysłuchiwać tej samej pierdolonej muzyki, którą puszczała jego matka. Wpadał w paranoję i wyobrażał sobie, że wszyscy, którzy się tam zbrali, chcą, żeby się naćpał, żeby go potem wykorzystać, zgwałcić, i że to się stanie, jeśli tylko zamknie oczy albo przyśnie, w końcu przytrafiało się to wielu z tych, którym Wiedźma rozdawała pastylki niczym cukierki – byli jak ogłupiali, zupełni idioci, tylko się śmiali z półprzymkniętymi oczami. Pewnego razu pedzio nalegał, żeby Brando też zażył te gówniane pastylki, i chłopak musiał udawać, że je połyka, ale zaraz je wypluł i wcisnął w fotel. A potem się przyglądał, jak wszyscy osuwają się na podłogę, tak otumanieni, że nawet nie byli w stanie oklaskiwać tej starej wariatki wijącej się w kolorowym świetle niczym gigantyczna szmaciana lalka, manekin z koszmarów, który nagle ożył. Ale najgorsze było to, co potem, kiedy pedzio zmęczył się wyszczekiwaniem swoich piosenek i przed mikrofonem stanął pieprzony Luismi. Nikt nic nie powiedział, nikt go do niczego nie zachęcał, ale wyglądało na to, że kolo całą noc czekał na ten właśnie moment – żeby wziąć do ręki mikrofon i ze zmrużonymi oczami zacząć śpiewać nieco ochrypłym z powodu alkoholu i papierosów głosem. Dawał radę, do kurwy nędzy, pieprzony Luismi, kto by powiedział, że ten bydlak potrafi tak zajebiście śpiewać. Jak to możliwe, że ten pierdolony chudzielec o szurzej twarzy, napompowany pastylkami, ma taki piękny głos, tak głęboki, niezwykle młody, a zarazem męski? Brando do tamtej pory nie wiedział, że Luismi nosi to imię z powodu podobieństwa jego głosu do piosenkarza Luisa Miguela, sądził, że ksywka była prześmiewcza, bo bujne, spalone słońcem włosy, krzywe zęby i kościste ciało stanowiły zupełne przeciwieństwo wyglądu słynnego piosenkarza. *Nie wiem, jak ty, śpiewał kolo, ale ja nie mogę przestać*

*myśleć*, tym swoim czystym jak kryształ głosem, *ani na chwilę*, wibrowało mu w gardle, *nie mogę przestać myśleć o twoich pocałunkach, uściskach, o wspólnie spędzonym czasie*. Brando poczuł, jak w gardle rośnie mu gęsia skórka i dostaje gęsiej skóry. Przez chwilę, opanowując coś w rodzaju skurczu w żołądku, pomyślał, że być może nie wypluł pastylek na czas i że to wszystko to halucynacje, dziwny koszmar, omamy wywołane tanią gorzałką, ziołami i wieloma godzinami spędzonymi w tym okropnym domu z przerażającą wariatką. Nigdy nikomu nie powiedział, że głos Luisiego tak bardzo go wzruszył, i prędzej by umarł, niż przyznał, że tak naprawdę chodzi na imprezy Wiedźmy, żeby go znowu usłyszeć. Nawet po paru latach Brando nadal miał gęsią skórę, gdy musiał rozmawiać z tą pierdoloną wariatką, tak brzydką i dziwną. Przerazała go jej zaskakująca maniera poruszania chudymi członkami, jakby Wiedźma była marionetką bez sznurków, która nagle ożyła. Gdyby to od niego zależało, nigdy by się do niej nie odezwał. Chodził tam tylko z powodu towarzystwa, choć któregoś razu musiał pozwolić, by Wiedźma mu obciągnęła w piwnicy podczas występu Luisiego. Gdyby jej nie pozwolił, pierdolona ciota wywaliłaby go z domu, a Brando nie miał ochoty wracać do Villi sam o tej porze, na piechotę przez pola trzciny cukrowej, a więc gdy nadeszła ta chwila, *nie wiem, jak ty*, wyciągnął kutasa, *ale ja chciałbym jeszcze raz*, i pozwolił temu pedziowi mu obciągnąć, *byłem tak zmęczony przez ciebie*, zamknął oczy i słuchał, jak Luisi śpiewa, *nocą, którą mi dałaś*, ale nigdy nie dotknął tego ciała, *chwilą, którą stworzyłaś pocałunkami*, i zrobił tylko to, do czego zachęcali go Borrega i Mutant – zamknął oczy i myślał o czymś innym, podczas gdy język tamtego oplatał jego członka; nigdy, ale to nigdy, przenigdy nie pozwolił, żeby ta ciota dotykała mu twarzy ani go całowała. Pozwolić, by pedały cię kochały, dać się zaprosić na parę kielonków i piwko oraz zarobić pięć dychów za to, że znosisz ich pedalskie awanse, a nawet pierdolić ich przez chwilę w dupę albo w usta to jedno, ale być takim obrzydliwym wieprzem jak pieprzony Luisi, kiedy obściskował się i obcałowywał z Wiedźmą, to już zupełnie co innego. Nie wiadomo, skąd się brała u Branda tak wielka niechęć wobec tego widoku, nawet występ tej tłustej świni Mutanta, który wypieprzył wariatkę, nie wydawał mu się tak ohydny. Być może całe



to całowanie się z ciotami postrzegał jako nieco obrzydliwe albo uważał za niegodny atak na swoją męskość, w każdym razie nie rozumiał, skąd Luismi czerpał odwagę, żeby się całować z Wiedźmą na oczach wszystkich, skoro Brando zawsze uważał go za typa w porzo, całkiem męskiego. Mimo że był tylko jakieś dwa lata starszy od Branda, robił to, na co miał ochotę, i nie musiał się nikomu spowiadać, a tym bardziej histerycznej matce dewotce, która całymi dniami tylko płakała i biła się w piersi, gdy wracał do domu pijany. Luismi wciągał to, co chciał, robił to, co chciał, i nikt się z niego nie wyśmiewał, bo jakaś pierdolona kurwa świnia obszczała mu kutasa na imprezie. Z Luismim nikt nie zadzierał i Brando mu tego zazdrościł, choć szybko zdał sobie sprawę – gdy zaczął chodzić z kolegami do barów na poboczu, żeby łowić tam wariatki i pedziów – że za Luismim tak naprawdę nieustannie ciągnął się cień: jego kuzynka Jaszczurka, brzydka i chuda, pyskata baba, która nierzadko wchodziła wściekła do knajpy, żeby wyciągnąć go stamtąd za włosy po tym, jak obita mu mordę na oczach wszystkich. Nikt nie wiedział, o co jej chodziło ani skąd się u niej brała taka nienawiść do Luismiego. On sam tylko śmiał się ponuro, gdy chłopaki się nabijały z jego kuzynki, ale nigdy niczego nie wyjaśniał. Krążyła plotka, że dziewczyna łązi za nim, bo chce go przyłapać na kurwieniu się, obsesyjnie pragnie, by babka wydziedziczyła chłopaka. Luismi wyglądał na durnia, ale wcale nie był głupi, bo zawsze uciekał Jaszczurce, zadawał się z ciotami, a ona nie była w stanie go na tym przyłapać, aż nadeszła tamta noc, kiedy szalona kuzynka pojawiła się w domu Wiedźmy. Brando wyszedł akurat na podwórze wypalić skręta z koką. Stał pod bujnym tamaryszkiem rosnącym tuż przy drzwiach kuchennych. Wyszedł, bo nie mógł już znieść szaleństw, do jakich dochodziło na imprezie – nadszedł ten moment, w którym wycie Wiedźmy do mikrofonu, skrzeczenie tych gównianych piosenek i kolorowe światła totalnie go odrzucały, chciał przez chwilę pobyc sam i wypalić skręta w ciszy, obserwując noc rozszerzonymi źrenicami, słuchając jedynie dźwięków owadów i świszających porywów wiatru pędzącego przez równinę – kretański syfiasty wiatr próbował zdmuchnąć mu czubek skręta, na którym proszek koki łączył się z marihuaną zawiniętą w papierek. Brando wciągał dym i czuł słodki rausz. Być może to właśnie

koka sprawiła, że wzrok mu się wyostrzył, a może jego źrenice przyzwyczyły się już do ciemności, w każdym razie zaraz po tym, jak wyrzucił palącego się skręta w szemrzące trzcinowisko, zauważył zbliżającą się postać, wychudzony pochylony cień, który szedł w milczeniu po piaszczystej drodze. Gdy zmrużył oczy, od razu ją rozpoznał: kuzynka Luisiego, babka, na którą wołają Jaszczurka. Ona jeszcze go nie dostrzegła, pewnie dlatego, że schował się za liśćmi tamaryszku, a może żarówka wisząca nad kuchennymi drzwiami oślepiała ją tak samo jak gigantyczne termyty latające wokół światła jak szalone. Nagle poczuł chęć na błaznowanie i nie odezwał się do kobiety, dopóki nie zbliżyła się do niego i nie wyciągnęła ręki, by otworzyć kratę. Wtedy najpoważniejszym i najgłębszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, wyrzucił z siebie: Dokąd to?, i babka wrzasnęła niczym ranne ptaszysko, na jej twarzy pojawiło się wielkie przerażenie, a Brando padł ze śmiechu. Ta idiotka z całą pewnością złała się w majty, bo nie przestawała obserwować tamaryszku z wystraszoną miną, aż wreszcie Brando wyszedł spomiędzy gałęzi i światło żarówki padło na jego rozbawioną twarz. Dopiero wtedy Jaszczurka go rozpoznała, choć nigdy nie zostali sobie przedstawieni. Co ci padło na mózg, kretynie?, zakwakała głosem, w którym jeszcze czaił się przestach albo wściekłość. Prawie dostałam zawału, durniu, na co Brando nie mógł powstrzymać kolejnej salwy śmiechu. Kobieta odwróciła się od niego i szarpnęła za kratę – Brando musiał ją powstrzymać. Dokąd to?, powtórzył. Strząsnęła gwałtownie jego rękę z ramienia i wyszczerzyła zęby: chuj ci do tego, durniu jebany. Wtedy Brando, nie tracąc opanowania, w swoistej chłodnej złości uśmiechnął się do niej napiętymi wargami i podniósł ręce wierzchem dłoni do góry: no dobrze, masz rację, ja tu nie mam nic do gadania, powiedział. Idź, ale żebyś potem nie uciekała z wrzaskiem... Spojrzała na niego z nienawiścią i weszła do domu, ale zanim zniknęła w mroku kuchni, odwróciła się jeszcze, żeby mu powiedzieć: jesteś diabłem, pieprzony chłopaku. Brando nie chciał iść za nią, został przy drzwiach i chwycił się obiema rękami za kraty, bo nagle poczuł zawroty głowy, a serce waliło mu mocno, z pewnością z powodu narkotyków, prawda? A może dlatego, że piliło go, żeby być świadkiem awantury, która miała zaraz wybuchnąć w środku, gdy kuzynka Luisiego wejdzie do

piwnicy i zobaczy, co tam się wyprawia, rzuci się na kuzyna, wrzeszcząc i klnąc, jak wtedy, gdy przyłapywała go w barach. Lecz tamtej nocy Brando nadaremnie czekał na awanturę, z wnętrza nie wydobył się żaden krzyk, żaden wrzask, nic – poza śpiewem Wiedźmy: *będę twą kochanką czy kim zechcesz*, podczas gdy na zewnątrz noc coraz bardziej gęstniała, *tym, kogo będziesz chciał mieć*, szum liści i trzciny wibrował w tym durnym wietrze z południa, *królową, niewolnicą lub żoną*, z trudem tłumiąc serenadę, którą żaby i cykady wyśpiewywały księżycowi, *pozwól mi wrócić, wrócić do ciebie...* Gdy się tego w ogóle nie spodziewał, krata otwarła się gwałtownie i postać Jaszczurki wyłoniła się z mroku kuchni, kobieta odepchnęła go i uciekła w stronę ścieżki, wprawdzie nie wrzeszcząc, jak ją ostrzegał, lecz tak szybko, jakby ścigał ją sam diabeł. Muzyka cały czas grała, więc Brando postanowił wrócić i zobaczyć, co się wydarzyło, ale zanim dotarł do korytarza, wpadł na Luismiego. Kolo był bez koszuli, a na jego twarzy widać było przerażenie: ja pierdołę, powiedział od razu, chyba widziałem moją kuzynkę, stary. Brando położył mu wtedy rękę na prawym ramieniu i próbował go uspokoić. Nie ryj bani, chłopie, nie ma co się przejmować, powiedział, byłem na zewnątrz i nikogo nie widziałem. Luisimi na to, zagubiony: ale wyraźnie ją widziałem, wyraźniutko widziałem jej twarz, zaglądała do pokoju, na co Brando z uśmiechem: chyba jesteś nieźle naprany, to na pewno tylko twoja wyobraźnia, stary, byłem na zewnątrz i mówię ci, że nikogo nie widziałem, na to Luisimi: ale, ale... Nic więcej nie mógł z siebie wydusić z powodu nerwów i tamtej nocy nie chciał śpiewać na scenie, tylko pił i pił, aż stracił przytomność, i dopiero kilka dni później Brando się dowiedział, że Luisimi już nie mieszka z babką i kuzynkami, lecz przeniósł się do domu matki, z którą nie miał wcale dobrych relacji, dlatego wyglądało na to, że raczej przeniósł się do Wiedźmy, bo nieustannie siedział w jej domu, jeśli tylko nie spędzał czasu w barach na poboczu albo na rozwidleniu torów za starym opuszczonym magazynem w Villi. Choć to ostatnie tak naprawdę było tylko plotką, dość poważną zresztą, bo pierdolić cioty, kiedy brakuje ci pieniędzy na kokę, to jedno, ale wycieczki za ten opuszczony magazyn, gdzie o każdej porze można się natknąć na gorących koleś między krzakami, pieprzających się i obciągających dla czystej frajdy – to zupełnie co innego,

zdecydowanie obrzydliwego, bo wszyscy wiedzieli, że tam nikt nikomu nie płaci, i Brando miał coraz większą chęć któregoś dnia śledzić Luismiego, żeby się przekonać, czy chodzi tam, by za darmo pieprzyć żołnierzy z koszar w Matacoquite albo dać się zbiorowo wyjechać jak goniąca się suka. Ale się powstrzymywał, bo przerażało go, że jeśli tam pójdzie, wezmą go za pederastę, więc tylko fantazjował. I czasami, gdy wariatki zabierały Branda do szaletów w Zasysaczu, żeby mu obciągnąć w zamian za kasę, zamykał oczy i wyobrażał sobie, że język pieszczący mu żołądz należy do Luismiego, wówczas kutas robił mu się niezwykle twardy, a pedał, który go ssał, wzdychał zafascynowany i jeszcze bardziej przykładał się do pracy. Brando ejakulował, myśląc o oczach Luismiego, o tym jego bezczelnym spojrzeniu, które się pojawiało, gdy widział swojego inżynierka, brzuchatego i na wpół łysego kolesia z Kompanii Naftowej, co to w każdy piątek po wyjściu z pracy pojawiał się w Zasysaczu, żeby pić whisky z Luisim. Dziwnie było widzieć ich razem – pili w zupełnym milczeniu, jak te pary z długim stażem lub starzy kumowie, którzy już nie potrzebują gadki. Inżynier wyglądał jak panicz w swojej nieskazitelnej koszuli z długimi rękawami, ze złotą bransoletką na owłosionym nadgarstku i z komórką najnowszej generacji u paska spodni, a pieprzony Luisim wpatrywał się w niego jak zabujana piętnastolatka, miał rozczochrane włosy i stopy brudne od chodzenia ciągle w sandałach. A gdy nagle coś odciągało twoją uwagę i po chwili wracałeś do nich wzrokiem, już ich tam nie było i wiedziałeś, że pojechali jeepem inżyniera, żeby pierdolić się gdzieś na uboczu albo w jednym z pokoi motelu Paradiso. Brando tylko raz zobaczył, jak się całują w kącie podwórka za Zasysaczem, obściskiwali się w ciemnościach jak parka sekretnych kochanków; ich usta się od siebie nie odrywały, oczy mieli zamknięte, ręce inżyniera pieściły tyłeczek pieprzonego Luismiego z pożądaniem godnym faceta chwytającego za dupę podniecającej babki. Ja cię, stary!, wrzasnęła jednogłośnie banda, gdy Brando wszedł biegiem do knajpy, żeby powiedzieć, co właśnie zobaczył: Luisim jest kurwą inżyniera! Luisim, pierdolona, jebana ciota, kto by powiedział! Stary! No, ciekawe, kto pierwszy go teraz wypieprzy, roześmiał się Borrega, stuknęli się butelkami i zaczęli spekulować o tym, jak by to było wsadzić Luisiemu, czy jego tyłek jest

wąski czy raczej luźny, czy kolo dobrze obciąża, i Brando w milczeniu pozwolił swojej wyobraźni podążyć za tymi obrazami, aż poczuł ucisk w piersi, a ponieważ tamtej nocy brakowało chętnych ciot, musiał wyjść z baru – nie liczył na to, że ponownie się natknie na Luismiego obściskującego się z tamtym kolesiem, więc wytrzepał kapucyna obślinioną ręką, jęcząc z poczucia winy i wyobrażając sobie, jak by to było wskoczyć na Luismiego od tyłu i jednocześnie masturbować go delikatnie, żeby on także mógł dojść razem z Brandem, na czworakach, jak pies, jak chuda brudna suka, goniąca się suka, która w żądry zadziera ogon za każdym razem, gdy widzi swojego inżyniera, pierdolonego cwela inżyniera. Nawet Wiedźma zdała sobie sprawę, że Luismi ma fioła na punkcie tamtego kolesia, bo ciągle o nim gada, o tym, jaki jest mądry, i o tej robocie, którą niby ma mu załatwić w Kompanii Naftowej: to był zwykły onanizm mentalny, bo Luismi ledwo ukończył podstawówkę i nie znał się na niczym innym poza pierdoleniem, tak że nikt normalny by go nie zatrudnił nawet do zamiatania ulic. Nie wiadomo, kto powtórzył plotkę Wiedźmie, ale ta stara wariatka nagle dostawała focha, gdy Luismi z nimi przychodził, bo była zazdrosna, to jasne. A pewnej nocy otwarcie posłała go do wszystkich diabłów, kilka dni przed karnawałem, bo według niej Luismi ukradł jej kasę, choć chłopak zapewniał, że to nieprawda, że po prostu się porządnie naćpał i ktoś mu skroił pieniądze, a może mu wypadły – sam nie wiedział. Zaczęli się kłócić przy wszystkich, wrzeszczeli i wypominali sobie różne sprawy i nagle Wiedźma walnęła Luismiego w twarz, a ten rzucił się na pedzia, złapał go za gardło i zaczął dusić, ostatecznie inni ich rozdzielili i Wiedźma z płaczem padła na podłogę, kopiając jak w kreskówkach, gdy tymczasem Luismi uciekł, a Brando pobiegł za nim. Ścigał go do samych drzwi baru Sarajuany, gdzie wreszcie go dogonił i uspokoił, stawiając mu piwo z pieniędzy, które mu ukradł, z części tych dwóch patyków, które wariatka dała Luismiemu na kokę dla młodzieżówki przychodzącej do niej do domu i potrzebującej zachęty, żeby wytrzymać te gówniane piosenki, durną muzykę i jej żałośne śmieszne występy. A gdy bar Sarajuany opustoszał koło trzeciej nad ranem, gdy Luismi nieźle już ochrypl od skarg na Wiedźmę i jej kretyńskie zachowania, wyszli z knajpy i przeszli te pięćset metrów dzielących bar i dom Luismiego, tę zgniłą budę, którą

skurwysyn nazywał domem, i tam, na rzuconym na ziemię materacu, położyli się razem. Luismi zaraz zasnął, podczas gdy Brando leżał na plecach, słuchał jego oddechu i masował sobie penisa przez spodnie, aż potrzeba, ta jebana potrzeba przerwnięcia go stała się tak intensywna, że zmusiła go do zsunęcia gaci. Ukłękł przy twarzy Luisiego i zbliżył koniuszek penisa do półotwartych ust kumpla, jego pełnych warg, a ten arcypedzio od razu je rozchylił, żeby mógł wejść mu do ust, do samego końca i spuścić się w chwili, gdy poczuł, jak język Luisiego igra z jego wędzidełkiem. Doszedł w intensywnych spazmach, które wręcz sprawiły mu ból. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętał z tamtej nocy, i ostatnia, jaką pragnął pamiętać, bo po tym, jak skończył, stracił przytomność, jego mózg się po prostu wyłączył po dewastującej intensywności tego pierwszego orgazmu w ustach Luisiego. Dlatego był w wielkim szoku, gdy następnego dnia obudził się na materacu z monstrualnym bólem głowy. Spodnie miał opuszczone do kostek, a prawą rękę zaplątaną w kudły Luisiego, którego głowa spoczywała czule na ramieniu Branda. W pierwszym odruchu oderwał się od Luisiego – głowa tamtego bezwładnie opadła na materac, choć sukinsyn się nie obudził. W drugim odruchu podciągnął spodnie, następnie zdjął deskę służącą za drzwi i zaraz pobiegł ścieżką do drogi, gdzie złapał pierwszy autobus do Villi, modląc się, by nikt, a zwłaszcza Munra, ten pieprzony plotkarz Munra, nie widział go wychodzącego z chaty Luisiego. Gdy dotarł do domu, wziął prysznic, żeby zetrzeć resztki nasienia przyklejonego do włosów między udami i położył się nagi na łóżku. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, jak wielki błąd popełnił: zamiast uciec jak pieprzony tchórz, powinien usiąść na Luisim i wykorzystując to, że spał i był bezbronny, zadusić go rękami albo lepiej paskiem od spodni, po to tylko, żeby nie musieć spędzić całego karnawału w domu z matką (ku jej radości) ze strachu przed spotkaniem z kumplami i że ci, świadomi szczegółów tego, co zaszło między nim a Luisim, dadzą mu popalić przed całym miasteczkiem, nazywając go ciotą, pedziem, cwelem, do kurwy nędzy! Dopiero tydzień po Środzie Popielcowej odważył się pójść do parku, miał nerwy napięte jak postronki i ściśnięty żołądek. Włożył za to swoje nowiutkie adidasy. Z ulgą stwierdził, że Luismi nic nikomu nie zdradził, być może był tak napruty tamtej nocy,

że nie pamiętał, co się między nimi wydarzyło, nie pamiętał tego, co robili na tym śmierzącym materacu, a przynajmniej Brando tak myślał do czasu, gdy dwa tygodnie później, już na początku marca, spotkał słynnego inżyniera w nowej knajpie na poboczu, w Caguamaramie, i chociaż w życiu nie zamienił słowa z tym koleśkiem, inżynier znał jego imię i usilnie chciał wypić z nim flaszkę whisky. Gdy wytrąbili już połowę, facet poprosił Branda, by zaprowadził go w miejsce, gdzie można kupić kokę, więc pojechali do dzielnicy La Zanja jeepem inżyniera. Brando nawet wyświadczył mu przysługę i poszedł załatwić z Pablami kilka porcji, a potem pojechali na odludzie, gdzie sobie zapodali narkotyk – Brando jak zawsze palił kokę na końcówce skręta, tak jak lubił – a gdy skończyli, pierdolony homoś westchnął, odwrócił się do Branda i z kokieteryjnym uśmiechem poprosił go, żeby zdjął spodnie, bo ma ochotę wylizać mu tyłek. Brando przez ułamek sekundy milczał, bo nie był pewien, czy dobrze zrozumiał, co tamten powiedział. Pomyślał, że inżynier chce mu obciągnąć, i już złapał za pasek, ale wtedy zrozumiał, o co tamtemu chodzi. Stłumionym od wściekłości głosem powiedział, żeby spierdalał, żeby polizał tyłek swojej babce, że on nie lubi tych pieprzonych pedalskich zabaw, a inżynier rżał tym swoim na poły astmatycznym śmiechem i próbował go zagadać: no dobra, skąd możesz wiedzieć, że nie lubisz, jak ci liżą tyłek, jeśli nikt nigdy ci tego nie zrobił, chłopaczku? Brando raz jeszcze kazał mu spierdalać, tym razem bardziej wściekły, ale inżynier nie dawał za wygraną, cały czas namawiał go, żeby jednak spróbował, bo może mu się spodoba, no dawaj, nie każ się błagać, tak jakby Brando był jednym z tych zwiędłych zboków potrzebujących tylko trochę namawiania, żeby rozchylić pośladki, żeby ściągnąć spodnie i wypiąć się w stronę inżyniera, który wylizuje im dziurkę, a potem na pewno ich wyjebie, korzystając z tego, że sami się nadstawili. No proszę, będzie bosko, powtarzał pieprzony brzuchacz i oblizywał swoje wąsiki. Właśnie widok jego bladego języka sprawił, że Brando wybuchł: spierdalaj, jebana cioto, powtórzył, otworzył drzwi samochodu i odwrócił się, żeby wysiąść, ale inżynier tylko się zaśmiał i powiedział: dobrze wiesz, po co tu przyjechaliśmy, nie zgrywaj durnia. Luismi opowiedział mi, jak szalejesz, gdy ktoś dotknie ci językiem gwiazdeczki... Brando był już jedną nogą na zewnątrz, gdy to usłyszał, i zamiast

wyść z samochodu, wrócił na siedzenie, nachylił się do inżyniera i walnął go głową w twarz, rozbijając mu okulary i nos chyba też, sądząc po trzasku, jaki poczuł na swoim czole, a także po wrzaskach, które wydał z siebie ten perfumowany jebany homoś. Brando nie chciał jednak podziwiać efektów tego, co zrobił, wyskoczył z samochodu, przeszedł na drugą stronę jezdni i pobiegł w stronę góry; biegł przez łąki, aż poczuł pieczenie w piersi – dopiero wtedy się zatrzymał. Jemu też ciekła krew z czoła, ale rana już wyschła, gdy wrócił do miasteczka, a w ogóle była tak mała, że nikt niczego nie zauważył, nawet jego matka nie zapytała, co się stało. Pierdolony kolo, pierdolony dureń Luisimi, po co mełł jęzorem, dlaczego nie mógł zachować tego w sekrecie, po chuja opowiedział to temu gównianemu inżynierkowi? Dlaczego nie zabił wtedy Luisiego od razu, gdy się obudził obok niego na materacu? Powinien był go zabić i uciec z ukradzionymi pieniędzmi, nawet jeśli to w sumie nie było dużo. Ostatnio myślał tylko o tym: zabić i uciec, o niczym innym. Szkoła wyłącznie go wkurzała, zwykła strata czasu, alkohol i narkotyki go obrzydzały, już nie był w stanie czerpać przyjemności z ich efektów; jego kumple byli biednymi kretynami, a matka pierdoloną kretynką, która nadal wierzyła, że ojciec Branda któregoś dnia do nich wróci, biedna idiotka wołała udawać nieświadomą tego, że stary ma już drugą rodzinę w Palogacho i wysyła im pieniądze co miesiąc, bo czuje się winny, że ich tak porzucił, jakby byli jakimiś śmieciami, matko, jakbyśmy byli jakimś gównem, ogarnij się wreszcie, do cholery! Po co ci te wszystkie modlitwy, jeśli nie jesteś w stanie uznać prawdy? Wszyscy już wiedzą, ty durna babo! Ale ona zamykała się w sypialni i zaczynała swoje litanie, prawie krzycząc, żeby tylko nie słyszeć tego, co mówił Brando, ani kopniaków, którymi traktował jej drzwi – kopniaki i uderzenia pięścią, którymi chętnie by ją poczęstował, może wtedy wreszcie zrozumie, może wtedy wreszcie umrze i w końcu pójdzie do tego cholernego nieba, i przestanie wkurwiać go swoimi modlitwami, kazaniem, skargami, pieprzonymi płaczkami i jęczeniem, że o mój Boże, czym zasłużyłam na takiego syna? Gdzie moje kochane dziecko, mój słodki dobry Brando? Panie, dlaczego pozwoliłeś, by opętał go diabeł? Diabeł nie istnieje, durna babo, odgryzał się Brando po drugiej stronie drzwi. Diabeł nie istnieje i twój pieprzony



Bóg też nie, na to matka wydawała z siebie agonálny pisk i modlitwy się wznagały, stawały się intensywniejsze i żarliwsze, żeby pokryć bluźnierstwa syna. Wtedy Brando się odwracał, szedł do łazienki, stał przed lustrem i patrzył na odbicie swojej twarzy, aż zaczęło mu się wydawać, że czarne źrenice i tak samo ciemna tęczęwka rosna i rozszerzają się, zajmują w końcu całą powierzchnię zwierciadła, a wszystko pochłania przeokropna ciemność – ciemność, w której nie istnieje pocieszenie, nawet w postaci rozżarzonych płomieni piekła, ciemność opuszczenia i śmierci, pustka, z której nikt i nic nigdy nie zdoła go ocalić: ani zachłanne usta pedałów atakujące go w barach na poboczu, ani nocne wyprawy, by podglądać orgie psów, nawet wspomnienie tego, co zrobili z Luismim, nawet to. *Nie wiem, jak ty, ale ja już za tobą tęsknię*, leciało w radiu u Sarajuany, *ciągle o tobie myślę na mej poduszce*, ale Luisimi już nie śpiewał do wtóru, nawet nie nucił pod nosem jak zawsze, gdy puszczała muzykę, którą lubił, *z ludźmi, z kolegami*, nawet już nie mówił, był tak naćpany pastylkami, *na ulicach, bez świadków*, bo inżynier nie odpowiadał na jego telefony i nikt nigdy nie zobaczył go już w knajpach na poboczu; chodziły plotki, że przenieśli tego skurwiela w inne miejsce ze względu na rosnaące niebezpieczeństwo w strefie cukrowej. Brando nigdy nie opowiedział Luisiemu o tym, co się stało, gdy koleś zaproponował, że wyliże mu tyłek, ani nie wypomniał mu niedyskrecji, bo gdyby to zrobił, przyznałby się, że rzeczywiście coś się wydarzyło między nimi, a nie był gotowy stawić temu czoło, choć właściwie nie był również gotowy stawić czoło tym głupotom, które Luisimi wyczyniał, gdy najpierw całymi dniami płakał za inżynierem i oddawał się w kiblach knajp na poboczu, a potem pewnej nocy przybiegł szczęśliwy i promieniejący do Sarajuany i ogłosił, że... się ożenił! Nie pierdol, stary! Naprawdę? Ożeniłeś się po bożemu? Aha, przytaknął ten idiota. Nazywa się Norma i jest z Ciudad del Valle. Chłopie! To ta dziewczynka, którą wyrwał w parku? Już paru kolegów z bandy miało oko na laseczkę, ale Luisimi ich wyprzedził i zabrał ją do siebie, do La Matosy, i teraz ta babka była jego żoną, i... Trzymajcie się, pieprzone pedały! Norma jest w ciąży i za parę miesięcy Luisimi zostanie ojcem. Ja pierdolę! Nie chrzań, stary! Gratulacje!, zakrzyknęła banda i żeby oblać te nowiny, tej samej nocy obrzydliwie się nawalili,

a Luisimi promieniował szczęściem, pierdolony gówniany pederasta, i wszystkie jebane cioty z miasteczka kłóciły się o to, kto obciągnie panu młodemu. Pierdolony Luisimi znowu miał powodzenie i nawet powtarzał, że już nie będzie brał pastylek, a jego oczy po raz pierwszy od dawna błyszczały. Brando wściekał się na samą myśl o tym, co razem zrobili i co nigdy się nie powtórzyło, a wspomnienie tamtej nocy tak go zaburzało, że chciał je wyrwać z mózgu. Nie przestawał też się zastanawiać, kto jeszcze zna ten sekret, komu jeszcze Luisimi mógł o tym opowiedzieć. A może inżynier tak naprawdę niczego nie wiedział i rzucił to na ślepo, żeby go omamić swoją gadką? W końcu nikt sobie z Branda nie żartował, nikt nie wspominał przy nim Luisiego ani nie ośmielał się niczego insynuować, nawet sam Luisimi zachowywał się jak zawsze, jakby wszystko to, co zaszło tamtej nocy, było jebanym zwidzeniem, wytworem mózgu Branda, jakby nigdy w życiu się nie całowali, nie dotykali i nie pieprzyli. Traktował go zupełnie normalnie, tak jak zawsze: pozdrawiał uniesieniem brwi, gdy spotykali się w parku, i stukał się z nim pięściami, jak wymagał protokół, w środku imprezy częstował go paroma buchami ze swojego skrzyżta w ogródku Zasysacza – Brando przyjmował poczęstunek, nie odzywając się, nawet nie patrząc na niego i oczywiście nie dotykając go, tak jakby nic się nie wydarzyło, jakby Brando to wszystko sobie wymyślił, chociaż oczywiście to nie było możliwe: w końcu nie był żadnym jebanym homosiem, co nie? Dlaczego więc miałby sobie wyobrazać pedalskie sceny...? Ale dlaczego z takim trudem odrywał oczy od Luisiego, gdy pili razem albo kiedy zadawali się z ciotami? Dlaczego mu się wydawało, że Luisimi wyczekuje odpowiedniego momentu, by opowiedzieć wszystkim o tym, co się wydarzyło? Dlaczego Brando coraz bardziej obsesyjnie myślał o tym, żeby go zabić, nim to nastąpi? Wystarczyło zdobyć broń, co było łatwe, i go zabić – co również nie wydawało się skomplikowane. Potem musi się pozbyć ciała, choć pewnie mógłby wyrzucić je do któregoś z kanałów. Na koniec ucieknie z miasteczka, ucieknie tam, gdzie nikt ze znajomych go nie spotka, a już na pewno ta jego durna matka. Być może ją także zabije przed ucieczką – strzeli jej w łeb podczas snu lub coś w tym stylu, coś szybkiego i dyskretnego, żeby wysłać ją do jej jebanego nieba, raz na zawsze skończyć z jej cierpieniem. Matka właściwie

do niczego się nie nadawała: nie pracowała, nie zarabiała, ciągle siedziała w kościele albo przykuta do telewizora, oglądała te swoje telenowele i czytała plotkarskie gazety, a jej jedynym wkładem w świat był dwutlenek węgla, który wydychała. Zupełnie nieskomplikowane i niepotrzebne życie. Zabić ją oznaczało wyświadczyć jej przysługę, było aktem miłosierdzia. Ale zanimby się tym wszystkim zajął, potrzebował skombinować kasę, sumę, która wystarczyłaby mu na podróż do innego miasta, znalezienie miejsca do spania i utrzymanie się do czasu, aż znajdzie jakąś robotę. Zacznie nowe życie, życie wolne, jakie z pewnością stworzył sobie jego ojciec, gdy Kompania przeniosła go do Palogacho i mógł wreszcie się od nich uwolnić, od matki, zimnej dewotki, i głupiego chłopaka słuchającego się jej ślepo, robiącego tylko to, co ona chciała, pieprzony gówniarz, który co niedzielę w przebraniu ministranta służył ojcu Casto do mszy, myślał, że trzepanie kapucyna to grzech i jeśli tego spróbuje, pójdzie do piekła. Do diabła z tym, pomyślał, do diabła z tym całym pedalskim miasteczkiem, powtórzył, gdy oblizywał usta, które mu trochę sparaliżowało, bo koka na czubku skręta była bardzo dobra, co za moc wciągał do płuc, jak mu było cudownie, gdy jeszcze żywy ogień na nowo się rozżarzał, dla twej jebanej matki, kumie, wystukiwały palce Branda, dla twej jebanej matki, niezła, co, nie chcesz trochę?, zaproponował Luisiemu, ale tamten pokazał mu w śmiechu swoje krzywe zębiska i powiedział, że nie, że już nie bierze, nawet pastylek, że teraz tylko pije piwko i pali zioło. Willy opowiadał o swoich przygodach w Cancún, jaki to był świetny czas, gdy opuścił dom w wieku siedemnastu lat i pojechał do pracy jako kelner na Półwyspie. Brando chciał go zapytać, ile potrzeba pieniędzy, żeby zacząć tam nowe życie, ale nie chciał, żeby inni pomyśleli, że coś się święci. Policzył, że trzydzieści tysięcy mu wystarczy, za trzydzieści tysięcy pesos dotrze do Cancún, wynajmie jakiś pokój i zacznie szukać roboty, obojętnie jakiej – kelnera, kuchcika, pomywacza, cokolwiek na początek, żeby się ogarnąć, a potem podłapie trochę angielskiego i poszuka pracy w hotelach, gdzie nigdy nie brakowało pedalskich *gringos*, którzy chętnie pozwolą się podupczyć; ale nie będzie długo zostawał w jednym miejscu, zawsze w ruchu, obciążać, pieprzyć, umizgiwać się na tle tego turkusowego morza, prawie zielonego. Co sądzisz?, spytał Luisiego, gdy

wyszli zapalić na zewnątrz. Nagle, z niczego, wpadł na pomysł, w jaki sposób zdobyć pieniądze, te trzydzieści tysięcy: zabrać je Wiedźmie. Pomysł polegał na tym, żeby pójść do jej domu i poprosić o pożyczkę albo od razu je skroić, gdy zobaczymy, że tak będzie lepiej; mówią, że ukrywa złoto, Luismi, że ma stare monety, które są warte majątek; mówią, że kiedyś jakiś koleś znalazł jedną pod meblem, który Wiedźma chciała, żeby przesunęli, a gdy poszedł do banku, żeby ją sprzedać, powiedzieli, że jest warta pięć patyków, taka zasyfiona moneta i ta ciota nawet nie wiedziała, że taki skarb tam leży, że się potoczył pod mebel. Na pewno gdzieś w tym domu stoją skrzynie i worki pełne monet, bo z czego żyje Wiedźma, no powiedz, jeśli nie pracuje, a ziemie już jej zachachmęciły te skurwiele z Syndykatu? Skąd bierze kasę, żeby płacić za alkohol i narkotyki chłopakom, którzy chodzą do tamtego domu, żeby się naćpać i słuchać jej durnych piosenek, i czasami wyjechać ją na fotelu? Pomyśl tylko, Luismi, nawet jak nie znajdziemy pieniędzy, w tym domu jest sporo wartościowych rzeczy: głośniki i konsola w piwnicy, ten gigantyczny ekran i projektor, to wszystko ma swoją cenę i możemy spokojnie zabrać sprzęt samochodem Munry, który bez problemu zawiezie nas do Wiedźmy, jeśli zaproponujemy mu kasę; pomyśl, na pewno coś trzyma w tym pokoju na górze, bo dłaczego jest cały czas zamknięty, dłaczego się wścieka, gdy ktoś wchodzi po schodach albo pyta, co jest w środku? Co mogłaby tam ukrywać? Brando tego nie wiedział. Czy to by się opłacało? Brando nie miał pojęcia, ale nie mogli mieć świadków, choć tego nigdy nie powiedział Luismiemu, żeby się nie połapał przed czasem. Zabić ciotę i zrobić w to tego durnia Munrę, a potem on i Luismi uciekną i Brando będzie musiał wcześniej czy później pozbyć się także towarzysza, ale to już gdzieś daleko od miasteczka, daleko od Villi, od wszystkiego, co znali. Dopiero wtedy się postara, by Luismi mu zapłacił za upokorzenie i nerwy, które przez cały ten czas odczuwał, zwłaszcza odkąd Luismi prowadzał się z tą laseczką, którą nazywał żoną, gówniarą o indiańskich rysach, szczuplutką, ale z brzuchem, która nigdy się nie odzywała i rumieniła się za każdym razem, gdy ktoś się do niej zwracał. Była głupia i nie zdawała sobie sprawy, że Luismi ją oszukuje, ten sukinsyn wymyślił kłamstewko o tym, że pracuje jako stróż w Villi, żeby nadal móc się

włóczyć z brzuchatymi homosiami – kierowcami i operatorami dźwigów, i tymi niby-inżynierami, którzy nie skończyli szkoły, ale udawali, że są tacy ważni, bo nosili koszulkę z logo Kompanii i pili whisky Buchanan's. Stary, mówił Brando do Luismiego, gdy spotykali się sami w parku, zajebimy tę kasę, napadniemy na Wiedźmę i skroimy jej parę pesos, a potem wyjedziemy stąd na zawsze, ty i ja, razem, lecz Luismi potrząsał głową i powtarzał, że już nie chce więcej widzieć Wiedźmy na oczy, jeszcze jej nie wybaczył, że nie uwierzyła mu w sprawie tamtych pieniędzy – niech spierdala, jeśli myśli, że się poniżę po tym, jak nazwała mnie złodziejem i dupkiem. Brando nalegał, codziennie, ilekroć go spotykał, nalegał, żeby to zrobić, bo już go piliło, żeby się stamtąd zmyć, i myślał, że tylko jeśli przyjdzie w towarzystwie Luismiego, Wiedźma otworzy mu drzwi, bo wszyscy wiedzieli, że ta pierdolona wariatka ciągle wypłakuje za nim oczy, nieustannie o niego wypytuje i za nim tęskni, i że jeśli Luismi ją przeprosi, na pewno mu przebaczy, a może nawet da mu kasę i nie będą musieli jej zabijać. Ale Luismi upierał się głupio: nie, nie chce widzieć Wiedźmy, a poza tym po jaki chuj uciekać z La Matosy, lepiej zostać, w końcu coś im się pojawi, nie trzeba wpadać w desperację, do tego Norma jest w ciąży i nie może ryzykować, że coś jej się stanie w podróży. Brando przytakiwał tylko ze zrozumieniem i powtarzał: jasne, masz rację, ale myślał: ty skurwysynu z matki suki, nienawidzę cię, kutasie, jak ja cię nienawidzę. I obiecywał sobie, że już nigdy nie odezwie się w tej sprawie do Luismiego, ale następnego dnia znowu się spotykali i słowa same cisnęły mu się na usta: no weź, pieprzony Luismi, zróbmy to, spierdolmy stąd, bo już nie był w stanie zajmować się niczym innym, dniami i nocami myślał tylko o tym, że zabiją Wiedźmę, że uciekną z pieniędzmi, co zrobią, żeby wymienić te złote monety bez wzbudzania podejrzeń, i wreszcie o tym, że skończą to, co zaczęli tamtej nocy na materacu Luismiego, i Brando zabije tego skurwiela we śnie. Minęła Wielkanoc i Brando nie wrócił już do szkoły, nie widział sensu w dalszej nauce, nie mógł się na niczym skoncentrować. Matka nie odważyła się o tym wspomnieć i w zasadzie wydawała się zadowolona, że siedział z nią w domu. Już jej nawet nie obchodziło, że Brando każdą noc spędza na picciu i wraca o świcie, wystarczało jej, że ogląda z nią serial o dziewiątej; to, co robi później,

mało ją obchodziło. Modliła się za niego, modliła się i oddawała w ręce Boga, Jezusa i Matki Boskiej, niech się dzieje, co ma się dziać, niech będzie wola Twoja. A Brando miał jej coraz bardziej dość, jej serialu o dziewiętej, głupich chichotów komediowych postaci oraz tej przesłodzonej muzyki reklam i zgrzytania wentylatora, gdy kręcił się z maksymalną prędkością pod sufitem. Miał dość miasteczka, dość durnej Leticii i kłótni, które mu urządzała przez telefon, bo Brando nie chciał jej pieprzyć. Przekłeta czarnula wpadła w obsesję, że chce mieć z nim dziecko, powtarzała, że jej mąż to idiota bez jaj, który choć pieprzy ją codziennie, nie może jej zrobić dzieciaka, dlatego chce, żeby Brando ją odwiedził, wsadził jej i spuścił się w środku, żeby zaszła w ciążę. Wychowa dziecko jako mężowskie, mówiła, Brando nie ma czym się martwić, niech tylko napełni jej cipkę swoim mleczkiem i zrobi jej dziecko, mówiła. Tylko napełnić jej cipkę mleczkiem, mówiła ta kretynka! Zrobić jej dziecko! Niech spierdala, Brando ani myślał niczego zostawiać po sobie w tym jebanym miasteczku. Za Chiny nie sprawi jej tej przyjemności, choćby nie wiem jak błagała, choćby nie wiem ile kasy proponowała. Mógł zdobyć pieniądze w inny sposób, a potem pojedzie do Cancún i będzie pracował jako kelner, będzie się kręcił wokół *gringos*, ciągle zmieniając miejsca – żeby się nie znudzić, żeby go nie złapali. No dalej, pieprzony Luisi, nalegał znowu, gdy nikt nie mógł ich usłyszeć, bo Brando nie chciał świadków: w poniedziałek, we wtorek, za tydzień pójdziemy tam i ją przyciśniemy, Munra nas zabierze, jeśli damy mu kasę. Podjedziemy, zapukamy do drzwi i przekonasz ją, żeby nam otworzyła. A gdy nas wpuści, zdobędziemy kasę, albo nam pożyczysz, albo sami sobie weźmiemy, jeden chuj, i spierdolimy od razu, bez bagażu i niczego takiego, żeby nikt nas nie podejrzewał, nikomu nic nie powiemy, tylko ty i ja, no dalej, pieprzony Luisi. Na to Luisi: ale musimy zabrać Normę, i Brando kręcił głową i myślał sobie: tak jakby ta dziewczyna w ogóle coś cię obchodziła, pierdolony pedale, ale zaraz się brał w garść, uśmiechał i mówił: jasne, to oczywiste, nie możemy uciec bez twojej żony, co nie? A słowo „żona” pozostawiało mu na ustach posmak gówna. Frustrował się tym, że nie udało mu się przekonać Luisiego. Przez jakiś czas wierzył nawet, że Luisi czuje, że Brando chce go wydymać, chce go zabić, jak tylko znajdą się

daleko, i przez kilka dni poważnie się zastanawiał, czy nie uciec samemu, bez pieniędzy, aż wreszcie pewnego piątkowego popołudnia Luisimi przyszedł do niego do domu, co było dziwne. Wyglądał jak obszarpaniec, od dwóch dni nie spał, bo Norma – Brando ledwo zrozumiał, co tamten do niego mówi przez zaciśnięte z wściekłości zęby – jego żona, leżała w szpitalu w ciężkim stanie, a winę za to ponosiła Wiedźma, bo coś zrobiła biednej dziewczynie, i dlatego chciał, żeby teraz poszli do domu starej wariatki i zrobili to, co planowali: dziś, zaraz, do chuja, na gorąco, dziś, pieprzony Brando; był naćpany po uszy pastylkami i ledwie mógł utrzymać się na nogach. Brando już miał mu kazać spierdalać, wywalić go kopniakami, żeby otrzeźwiał i zdał sobie sprawę, co za kretyństwa wygaduje, ale zaraz pomyślał, że być może jest to szansa, na którą czekał. Co za różnica, kiedy to zrobią, co za różnica, dlaczego Luisimi chce to zrobić, nic nie straci, jeśli spróbuje – być może taka okazja nigdy się już nie powtórzy, tak więc powiedział, że się zgadza, że dobrze, ale najpierw się napiją, żeby się przygotować, nabrać odwagi. Potem poszedł do pokoju i włożył czarną koszulkę – żeby ukryć ewentualne plamy krwi, pomyślał przytomnie – a na nią koszulkę Manchesteru, zabrał wszystkie pieniądze i nic nie mówiąc matce, wyszedł z domu, wziął Luisimiego pod rękę, żeby ten mu nie zwiął, i zaprowadził go do sklepu don Roquego, gdzie kupili dwa litry gorzały, wymieszali ją z napojem pomarańczowym, słodzoną wodą z farbą i trucizną, i wypili we czterech, bo po drodze do parku przypałał się Willy, a potem przyjechał Munra. Brando nie wierzył, że Luisimi mówi poważnie. Wydawało mu się, że w każdej chwili się wycofa albo popełni głupotę i zacznie się popisywać planem przed Munrą i Willym, co pokrzyżuje im szyki. Dlatego był zaskoczony, że Luisimi, niby na pozór taki idiota, poczekał, aż Willy upije się do nieprzytomności, i dopiero wtedy poprosił Munrę, żeby zrobił im łaskę i zabrał ich do La Matosy. Być może nie był tak naćpany, jak myślał Brando, albo poważnie chciał się zemścić. Ten dureń Munra powiedział, że zabierze ich, dokądkolwiek chcą, jeśli dadzą mu kasę, przynajmniej sto pesos, na to Brando odparł, że dadzą mu pięćdziesiąt teraz i pięćdziesiąt po powrocie, po tym, jak nas zawieziesz w jedno miejsce, tyle mam, a potem dam ci resztę i pójdziemy się napić z tym, co zdobędziemy. Munra powiedział: niech będzie,

i pojechali, i stało się, stało się, stało się to, że prawie nie miał siły w rękach, i stało się, może nie powinien był uderzyć tak mocno tej wariatki kulą, gdy się odwróciła, żeby wybiec z kuchni, i to jeszcze w tę część czaszki, do kurwy nędzy, bo poleciała na ziemię i Luismi skoczył jej na twarz, i potem już nie powiedziała ani słowa, nawet gdy Brando spoliczkował ją parę razy, żeby zdradziła, gdzie trzyma kasę. A ona tylko jęczała, ślina ciekła jej na podłogę, podczas gdy krew zalewała jej ranę i włosy, więc musieli sami przetrząsnąć dom w poszukiwaniu skarbu. Kto wie, ile czasu na tym strawili – Munra powiedział, że to było tylko pół godziny, ale Brando miał wrażenie, że spędził tam, w środku, całe dnie, gdy przebiegali przez pomieszczenia na górze, coraz bardziej rozczarowani. Pokoje te były niezamieszkałe, z nielicznymi meblami, cztery ściany i dwa meble – łóżko i komoda albo łóżko i krzesło, albo stół na środku pomieszczenia, w którym nie było niczego innego, mała ciemna łazienka przypominająca latrynę, zasłony wiszące na zamurowanych oknach, szare ściany, niezrozumiałe obrazki i okropny smród, nieludzki, zapach dawnej śmierci. Nie wiadomo, myślał przerażony Brando, który z tych pokoi to sypialnia Wiedźmy, gdzie ta wariatka kładzie się co noc, bo wszystkie pomieszczenia na piętrze wydawały się niezamieszkałe, wręcz opuszczone, jakby nikt nigdy nie spoczął na tych ciężkich łóżach pokrytych zakurzonymi narzutami. Sprawdził pomieszczenia i szafy pełne podziurawionych przez mole ubrań, worków śmieci, zgniłych papierów, aż doszedł na koniec ponurego korytarza, gdzie znajdowały się jedyne zamknięte na klucz drzwi. Wyglądało na to, że zablokowano je od wewnątrz; Brando próbował wyważyć je pchnięciami i kopniakami w zamek, ale bez skutku. Luismi wszedł na górę, żeby mu pomóc, ale również nic to nie zmieniło, choć tak naprawdę już w tamtej chwili do niczego się nie nadawał – podniecenie związane z atakiem na Wiedźmę opadło, teraz ten skurwysyn był jak sparaliżowany i Brando zaczął myśleć, że to wszystko okazało się jakimś cholernym kretyństwem, bo w tym domu nie ma żadnej kasy poza dwustoma pesos w jednym banknocie leżącym na stole w kuchni i garścią monet, zwyczajnych monet porozrzucanych w salonie – monet, które Brando musiał zebrać jak jakiś żebrak, bo Luismiemu trzęsły się ręce i wszystko mu z nich leciało.



W samym środku szaleństwa zaczęło w końcu do niego docierać, co zrobili. Wiedźma leżała cała we krwi, ulatywały z niej resztki życia, nie wiadomo, jakim cudem jeszcze oddychała, ziała i parskała, po jej jękach widać było, że cierpi. Brando powiedział Luismiemu, że muszą ją stąd zabrać, porzucić w górach, żeby nie można było jej tak łatwo znaleźć. Jeśli ją tu zostawią, znajdą ją kobiety, które nadal przychodzą co piątek, i wtedy ich złapią, dlatego muszą jak najszybciej stąd spierdolić, w tej chwili. Więc zawinęli z grubsza Wiedźmę w jej spódnice, a tą jej ohydną woalką owinęli łeb, żeby mózg nie wypływał przez ranę, we dwóch podnieśli ją i wsadzili do samochodu. Pojechali drogą w stronę Syndykatu, ale zanim dotarli nad rzekę, skręcili w ścieżkę prowadzącą w stronę kanału i tam ją zaciągnęli aż na skraj wąwozu, i Brando podał Luismiemu nóż, który zabrał z kuchni Wiedźmy, ten nóż latami leżał na stole, odkąd Brando pamiętał, na talerzu z grubą solą. Brando cały czas ścisnął go w garści, kiedy mówił Munrze, dokąd ma jechać, ale gdy nadeszła pora, Luismi nie chciał wziąć noża i Brando musiał mu go wsadzić na siłę, włożył mu go do ręki i zacisnął palce, żeby dobrze chwycił za rękojeść. Nie chciał też patrzeć na Wiedźmę i Brando musiał go przekonać, że biedna wariatka cierpi, że trzeba koniecznie zakończyć jej męki i wbić jej nóż, no już, to strzał łaski, tyle że nie mieli pistoletu ani kul, więc musieli użyć noża, wbić go trzęsącemu się i jęczącemu homosiovi o twarzy zalanej krwią i tym żółtym gównem, które mu wychodziło z rany, śmierdzące jak sam chuj. Wbijaj w szyję, powiedział Luismiemu, dobrze wbij mu w szyję, niech się wykrwawi, ale pierdolony pedzio Luismi zrobił to zbyt płytko i nie udało mu się przeciąć żadnej ważnej żyły, za to Wiedźma otworzyła szeroko oczy i odsłoniła umazane krwią zęby. Brando już nie mógł tego znieść, ukląkł obok Luismiego, owinął pięść tamtego własnymi rękami i poprowadził nóż po gardle Wiedźmy, z całej siły, raz, a potem drugi i jeszcze trzeci, na wszelki wypadek. Teraz udało się przeciąć warstwy skóry i mięśni, ścianki arterii i chrząstkę otaczającą gardło, a nawet kości kręgosłupa, które po trzecim cięciu pękły z suchym trzaskiem, na co ten pedałek Luismi zapłakał jak dziecko, nie wypuścił noża z garści, a krew tryskała na wszystkie strony, plamiąc im ręce, ubranie, buty, włosy, nawet usta. Brando musiał wyciągnąć nóż z dłoni Luismiego

i rzucić go do kanału, choć wolałby go oczyścić i zatrzymać, być może wykorzysta go ponownie tej samej nocy i zamorduje nim matkę i Luismiego, bo musiał wrócić do La Matosy – wrócić do domu Wiedźmy po serialu o dziewiątej, po wiadomościach i połowie teleturnieju, który jego matka oglądała, już prawie śpiąc. Wrócił na rowerze, walcząc z owadami próbującymi mu się wcisnąć do otwartych z powodu wysiłku ust i wyrastającymi z ziemi korzeniami drzew oraz z głupim wiatrem, co to rozwiewało mu włosy i ściągało z czoła wielkie krople potu, które opadały na suchą ziemię. Wrócił do domu Wiedźmy, żeby poszukać pieniędzy, i znowu niczego, do kurwy nędzy, nie znalazł – salon był pusty niczym skorupka martwego ślimaka, odbijało się w nim echo i panowała zdumiewająca cisza. To samo w piwnicy i w pokojach na górze, choć przeszukał wszystkie meble, grzebał w śmieciach, a nawet rozerwał niektóre plastikowe worki zebrane pod ścianami – bez skutku. Niczego tam nie było. Wreszcie skierował się do zamkniętych drzwi, których nie mogli otworzyć wcześniej. Ukląkł, by spojrzeć przez szparę między nimi a podłogą, ale nie dostrzegł tam niczego poza kurzem i ciemnością, poczuł również zapach śmierci, który unosił się także w korytarzu. Pomyślał, że gdzieś w tym domu musi być maczeta, nawet zardzewiała, i być może uda mu się rozwalić nią zamek, a przynajmniej rozbić otaczające go drewno. Zbiegł więc po schodach, a w korytarzu zatrzymał się nagle, bo natknął się na żółte oczy wielkiego czarnego kocura, które wpatrywały się w niego z framugi kuchennych drzwi. Brando nie miał pojęcia, jak zwierzę, które teraz bezczelnie wbijało w niego wzrok, mogło się tam dostać, skoro własnoręcznie zablokował drzwi prowadzące do kuchni, żeby nikt inny nie próbował przeszukać domu. Pieprzony kot się nie poruszył, gdy Brando podniósł nogę, udając, że chce go kopnąć. Nie ruszył się ani nie mrugnął, choć z jego zamkniętego pyska wydobyło się wściekłe miauczenie, które sprawiło, że Brando się cofnął i rzucił okiem na stół, błagając w duchu, by znajdował się tam jeszcze jeden nóż. W tej samej chwili rozbłysły wszystkie światła w kuchni i w całym domu – Brando uznał, że to wściekłe zwierzę, ta bestia parskająca na niego w ciemności to diabeł, diabeł wcielony, który ścigał go przez lata i wreszcie przyszedł zabrać go do piekła. Stwierdził również, że jeśli zaraz stamtąd nie ucieknie, na zawsze utknie

w tej ciemności z okropną bestią – skoczył więc w kierunku drzwi kuchennych, podniósł blokadę i pchnął je z całej siły; na podwórzu upadł na twarz, a ryk bestii wrzynał mu się w mózg. Popęłznął w kurzu do roweru i desperacko popędził przez szeptu nocy, pedałowując jak szalony ścieżkami przecinającymi plantacje trzciny; pocił się ze strachu, opanowało go okropne uczucie, że jest sam pośrodku niczego, że kręci się w kółko po drózkach, które wcześniej czy później skończą się przy kanale, gdzie czeka na niego Wiedźma z rozciętym gardłem i mózgiem na zewnątrz, z zębami oblepionymi krwią... Już prawie stracił nadzieję na ratunek, ale wreszcie dostrzegł pierwsze światła Villi, te w okolicy cmentarza. Popedałował do zupełnie pustej głównej alei i pół godziny później był już w domu. Stwierdził, że matka nadal śpi, a potem wszedł do łazienki, by umyć twarz i ręce upaprane ziemią; prawie wrzasnął, gdy spojrzął w zaparowane lustro i zobaczył swoje odbicie – w miejscu oczu widniały dwie błyszczące obręcze świecące się nad spoconymi czerwonymi ślepiami. Parę ładnych minut minęło, zanim się uspokoił, w tym czasie stał nieruchomo przed umywalką, z zamkniętymi oczami, gęsią skórą i rękami uniesionymi do czoła, jakby się bał, że własne odbicie go zaatakuje. Wreszcie odzyskał panowanie nad sobą na tyle, aby ponownie móc zerknąć w lustro i stwierdzić, że pod tłustawą wilgocią, która je pokrywała, nie było żadnych demonicznych obręczy, lecz te same oczy co zawsze, podkrążone i zaczerwienione, zapadnięte i wyrażające desperację, ale całkowicie normalne. Skończył myć twarz, pierś i ręce, a potem wrócił do swojego pokoju, gdzie położył się na łóżku i przez kilka godzin wpatrywał w sufit, nie mogąc zasnąć. *Nie wiem, jak ty, był prawie pewien, że Luisi też nie może spać tej nocy, lecz ja cię szukam zawsze o świcie, że Luisi czeka na niego rozbudzony na materacu w swoim domu, nie mogę opanować mych pragnień, że czeka, aż Brando położy się obok, żeby skończyć to, co zaczęli, kiedy nocą śpię, na tamtym zasyfionym materacu, jeśli z bezsenności, trzeba było tamto dokończyć, choruję: wypieprzyć i zabić, być może jednocześnie. Myślał również o tym, że nie udało mu się pozyskać pieniędzy, i łzy upokorzenia napłynęły mu do oczu. Na koniec stwierdził, że i tak musi uciec, znaleźć gdzieś schronienie. Być może gdyby udało mu się porozmawiać z ojcem, mógłby się u niego zatrzymać*

na parę dni... Palogacho leżało wprawdzie niedaleko Villi, ale to już coś na wypadek, gdyby policja zaczęła go szukać... Myśląc o tym wszystkim i wyobrażając sobie, jak by to było uciec wreszcie z tego pieprzonego miasteczka i od matki, dostrzegł, że niebo się rozjaśnia i ptaki zaczynają śpiewać na migdałowcach. Nie usnął ani na sekundę – wstał teraz i poszedł do salonu, żeby poszukać numeru ojca w notatniku, który matka trzymała przy telefonie. Zadzwoił do niego i przez dobrą chwilę słyszał ten sam sygnał łączenia, w końcu facet podniósł słuchawkę i rzucił niechętnie: co tam?, wtedy Brando nerwowo się przedstawił – od lat nie rozmawiał z ojcem, możliwe, że facet nie pozna go po głosie i odłoży słuchawkę, myśląc, że to jakiś naganiacz – przeprosił, że dzwoni o tej porze, wymamrotał parę frazesów, które zabrzmiały mu fałszywie, ale nawet nie skończył, bo ojciec mu przerwał: czego chcą? Powiedz matce, że już nie mogę wysyłać pieniędzy, mam za dużo wydatków... W tle rozwrzeszczało się dziecko. Brando powiedział: rozumiem, proszę posłuchać... Nadeszła pora, żebyś zaczął utrzymywać matkę, nie sądzisz? Ile ty już masz lat, osiemnaście? Dziewiętnaście, odparł Brando. Matka weszła do salonu ubrana w podartą koszulę, której nie chciała wyrzucić, i frenetycznymi ruchami pokazywała Brandowi, żeby przekazał jej słuchawkę, ale on wolał ją odłożyć, nawet nie żegnając się z tamtym facetem. Matka chciała wiedzieć, o co chodzi, ale Brando powiedział jej, żeby się zamknęła, że nic się nie stało, niech wraca do łóżka i spróbuje zasnąć, a sam poszedł do swojego pokoju i włożył ubranie, które znalazł na podłodze, zabrał dwieście pesos oraz monety Wiedźmy i nie zwracając uwagi na płacz matki w korytarzu, wsadził trochę czystych rzeczy do plecaka i wyszedł, trzaskając drzwiami. Główną ulicą dotarł aż do wyjazdu z Villi, aż do stacji benzynowej, gdzie chciał poprosić o podwózkę pierwszego kierowcę ciężarówki, który mu się nawinie. Musiał to zrobić jak najszybciej, bo zaraz wyjazdy na pierwszego maja spowolnią ruch na drogach i kierowcy będą mniej chętni go zabrać, a być może, jeśli uda mu się uciec na czas, choćby miał ledwie dwieście pesos w kieszeni i zależał od kierowców i własnych pedalskich zdolności, dotrze do Cancún albo do granicy czy gdziekolwiek, bo co za różnica. Ale gdy szedł w stronę wyjazdu z Villi, pomyślał także o Luisim, o tym, jak bardzo chce go zobaczyć,

załatwić tę zaległą sprawę między nimi. Z każdą upływającą minutą czuł narastającą wściekłość i smutek, więc jeszcze zanim dotarł do drogi, zawrócił. Była czwarta po południu, gdy otworzył drzwi swojego domu i nie mówiąc ani słowa do matki, która na klęczkach modliła się przy ołtarzyku w salonie, wszedł do środka i w swoim pokoju zdjął zakurzone, zapocone ubranie, po czym położył się na łóżku i przez blisko dwanaście godzin spał, bez snów czy koszmarów. Obudził się, gdy było już ciemno – jego ciało pokrywał zimny pot. Wstał i poszedł do kuchni, gdzie wypił cały dzban gorącej wody i sprawdził garnek zostawiony przez matkę w lodówce; zawierał fasolę, która w żadnym razie go nie skusiła. Potem wrócił do łóżka i spał kolejne dwanaście godzin. Gdy ponownie się obudził, był zdezorientowany, a jego ciało drżało pod prześcieradłem jakby z zimna. Miał wrażenie, że ściany domu się na niego zawała, jeśli nie ucieknie, ubrał się więc i wyszedł na ulicę – jego żołądek był pusty i brzęczało mu w uszach. Ciało miał zdrętwiałe, a powietrze, które wciągał do płuc, było gęste, prawie płynne. Poszedł na róg i gdy skręcił w stronę sklepu don Roquego, natknął się na znaną scenkę: chłopaczek z sąsiedztwa, dziecko o bladej twarzy i ciemnych potarganych włosach, samotnie grał na maszynie obok skrzynki z warzywami – o tej porze już przywiedłymi – którą don Roque wystawiał przed sklep. Brando nie mógł sobie przypomnieć imienia chłopaczka, ale znał go z widzenia. Od lat go obserwował, wyobrażał sobie, że przypomina mu jego samego, choć dziecko było bledsze, stanowiło jakby lepszą wersję Branda – jemu matka pozwalała grać na maszynach don Roquego i w dodatku ten drań znał się na rzeczy, a przynajmniej wydawało się, że to lubi, sądząc po dzikim szarpaniu drążków i naciskaniu guzików oraz potrząsaniu tyłeczkiem w rytm muzyki. Miał różowe usta – to najbardziej zwróciło uwagę Branda, który poza dziewczynką z filmu z psem nie znał nikogo o takich wargach. Z całą pewnością ukryte pod koszulką brodawki chłopca mają ten sam blady odcień i z całą pewnością smakują truskawkami, wyobrażał sobie Brando – na pewno, gdy ktoś odważy się je ugryźć, popłynie z nich sok malinowy, a nie krew. Zdał sobie sprawę, że stoi na środku ulicy, więc przeszedł na drugą stronę i zbliżył się do dziecka. Przez jakiś czas patrzył, jak chłopaczek gra – nie ma więcej niż dziesięć lat, stwierdził, pieszcząc

wzrokiem gładziutkie policzki dziecka, które odwróciło się do niego i zaproponowało, żeby zagraли razem, na co Brando natychmiast się zgodził, choć nie znał tej gry, gdyż minęło już wiele lat, od kiedy maszyny przestały go interesować. Wszedł do sklepu, kupił paczkę papierosów, żeby rozmienić dwieście pesos, i zaczął grać z chłopaczkiem, właściwie to jedynie szarpał drażki, pozwalając dziecku wygrać za każdym razem. Niby nieświadomie ocierał się o jego ciało, próbując, czy jest tak silne, czy trudno będzie je sobie podporządkować, gdy uda mu się zaciągnąć chłopaczka na rozwidlenie torów, i już miał go przekonywać, żeby z nim poszedł, pod pretekstem zaproszenia na lody – choć po serii dobrowolnych porażek skończyły mu się monety, do cholery – ale trzech mundurowych rzuciło się na jego plecy i powaliło go na ziemię, a potem skuło kajdankami i wsadziło do wozu patrolowego. Gdzie jest kasa, pogromco ciot?, pytali, waląc go w pierś, na co Brando: jaka kasa? Nie wiem, o czym mówicie. A Rigorito: nie rób z siebie durnia, pogromco ciot, powiedz, gdzie schowałeś kasę, albo przypalę ci jaja. Brando wytrzymał lanie, bo nie chciał im powiedzieć, że tej samej nocy wrócił do domu Wiedźmy i znalazł tylko jebanego kota. Wreszcie zaczął pluć krwią i podłączyli mu te gołe kable do jaj, więc nie miał wyjścia, musiał powiedzieć im wszystko: o zamkniętych drzwiach, o jedynym pomieszczeniu, do którego nie mogli wejść, a w którym z całą pewnością znajdował się skarb Wiedźmy. Gdy tylko im to zdradził, te pierdolone świny pobiegły do tamtego domu, a jego zaciągnęły do celi na końcu korytarza, pełnej pijaczków, którzy spóźnili się na pierwszomajowy pochód, i złodziei, jak tych trzech gnoi, którzy skroili mu tenisówki – Brando widział tylko twarz jednego z nich, wychudzoną brodatą twarz przywódcy bez przednich zębów. Potem poczołgał się w stronę jedynego wolnego kąta, obok kibla, gdzie zwinął się w kłębek i objął czule swoje biedne wnętrzności, podczas gdy chudy brodacz krążył na środku celi, depcząc pijaczków nowymi tenisówkami i rycząc jak uwięzione zwierzę, podniecony jękami tamtego nieszczęśnika, który darł się jak bity pies, tego matkobójcy, narkomana, którego musieli zamknąć w dołeczku, żeby inni więźniowie go nie zabili. Zamknij się, psie!, darł się przywódca. Zamknij się, pierdolony morderco!, wrzeszczeli z innej celi. Zabiłeś matkę! Spalisz się w piekle, psie!

Przywódca zawołał Branda i obmacał delikatnie jego przetrącone żebra, jakby chciał raczej zwrócić jego uwagę, niż zrobić mu krzywdę. Powtarzał przy tym: pogromca ciot, pogromca ciot, patrzcie, patrzcie tylko, a Brando zakrył sobie uszy i zacisnął powieki, ale tamten wariat nie przestawał: patrzcie, pogromca ciot, patrzcie, wróg, wierzysz we wroga? Zapach tego mężczyzny był nawet gorszy niż szczyny, które wsiąkły w podłogę celi, i Brando się wysilił, żeby się rozluźnić, podnieść wzrok ku temu, który go nieustannie wyzywał, i wymamrotać: Co, do chuja, stary? Nic więcej nie mam. Spojrzał w kierunku wskazywanym przez chudzielca: na ścianę, przy której Brando kucnął, na przestrzeń nad jego głową na murze pełnym bazgrołów oraz wypisanych gwoździem imion, przydomków i dat, naskrobanych serc i penisów, i cip o wielkości godnej mitologicznych monstrów, na wszystkie te obrzydliwe sceny i na wyróżniające się czerwone linie tworzące figurę diabła. Jak to się stało, że tego nie zauważył, gdy wszedł do celi? Gigantyczny demon szefował temu miejscu niczym władca. Wróg, stary, powtarzał zdemenciały brodac, wróg jest wszędzie. Narysowali go cegłą albo innym cielistym pigmentem – miał wielką głowę z rogami i pyskiem świni, okrągłe puste oczy otoczone krzywymi promieniami, niczym słońca narysowane przez obłąkane dziecko, proste nogi kozła i piersi zwisające mu do pasa, tuż nad długim, uniesionym penisem, z którego wydobywało się coś w rodzaju suchej krwi, prawdziwej krwi. Brodaty przywódca celi zaczął wrzeszczeć na cały głos i kopać pijaczków, żeby się obudzili, żeby byli świadkami cudu, który miał się wydarzyć. Wróg!, krzyczał jak opętany, wróg żąda więcej sług, zło przyciąga zło. Szykujcie się, chuje! A pijacy jęczeli i osłaniali głowy ramionami, inni zegnali się przy kracie, lecz nikt nie odważył się odwrócić wzroku od przywódcy, od jego makabrycznego tańca, halucynacyjnego boksu, który zademonstrował na środku celi, zanim z wrzaskiem pochylił się nad Brandem, ale nie żeby go stłuc, tylko by walnąć dwoma szybkimi ciosami w ścianę, tuż nad brzuchem namalowanego diabła – dwa suche ciosy odbiły się echem w pomieszczeniu w prawie mistycznej ciszy, która nagle zapadła. Dwa ciosy, dwa, mamrotali przerażeni naśladowcy przywódcy. Dwa, dwa, powtórzyli co przytomniejsi spomiędzy pijaczków. Dwa, dwa, zaczęli krzyczeć więźniowie

w innej celi jak zarażeni i nawet zbity pies, który popłakiwał, błagając mamusię o wybaczenie, dołączył swoim łamiącym się głosem do zbiorowego wrzasku: dwa, dwa, krzyczeli wszyscy, dwa, dwa, wyszeptał Brando mimo woli. Wrzaski odbijały się od ścian piwnicy i wypełniły mu uszy, i być może dlatego nie usłyszał, jak drzwi separatki otwierają się ze zgrzytem, nie usłyszał też kroków zbliżających się do kraty – dopiero gdy oderwał wzrok od ślepych słońc na twarzy diabła, zdał sobie sprawę, że przed kratą zatrzymały się trzy postacie. Cofnąć się, do chuja, dupki!, krzyczał strażnik, obracając w rękach swoją pałkę, chuj wie, skąd zawsze wiedzą, ilu przyprowadzę, kutasy opętane. Zaraz też wepchnął dwóch nowych więźniów do celi: jeden z nich był niskim mężczyzną o siwych wąsach, wyraźnie kulał, ledwo był w stanie utrzymać się na nogach, a drugim chudy chłopak, wysoki, o skołtunionych włosach zalanych krwią – jego twarz napuchła, a oczy pełne były ran, bo wieprze Rigorita się na nim wyżyły, nie patrząc na to, co powiedzą dziennikarze, nie zwracając uwagi na zdjęcia i do chuja z prawami człowieka. To był sam Luismi, syn swojej matki kurwy, pierdolony gówniany pedzio Luismi stanął tuż przed wodnistymi oczami Branda; był jego, wreszcie, do kurwy nędzy, należał do niego, wreszcie Brando mógł zgnieść go w pieprzonych ramionach.



## VII

**M**ówi się, że tak naprawdę nie umarła, bo więdźmy tak łatwo nie umierają. Mówi się, że w ostatniej chwili, zanim chłopaki wbiły jej nóż, udało jej się wyszeptać zakłęcie, które zmieniło ją w coś innego: w jaszczurkę albo królika, który pobiegł się schronić w najbardziej niedostępnym miejscu gór. Albo w gigantyczną kanię, co to pojawiła się na niebie kilka dni po zabójstwie: ogromny ptak krążył nad polami, a potem siadał na gałęziach i kolorowymi oczami przyglądał się ludziom przechodzącym pod drzewami, jakby miał otworzyć dziób i do nich przemówić.

Mówi się, że po jej śmierci wielu poszło do tamtego domu, żeby szukać skarbu. Gdy tylko się dowiedzieli, czyje ciało pojawiło się w kanale, z łopatami, motykami i kijami rzucili się rozbijać podłogi i ściany, otworzyli prawdziwe okopy, szukając ukrytych przejść, sekretnych pomieszczeń. Ludzie Rigorita byli pierwsi, na rozkaz komendanta wyważyli nawet drzwi do sypialni w głębi korytarza, pokoju, który należał do Starej Wiedźmy i od jej zniknięcia zamknięty był na klucz. Mówi się, że ani Rigorito, ani jego ludzie nie znieśli widoku, który ukazał się im w środku: czarnej mumii Starej Wiedźmy na samym środku ciężkiego dębowego łoża – trup zaczął się rozkładać i na ich oczach zmienił się w stertę kości i włosów. Mówi się, że te tchórze wybiegły w pośpiechu i już nigdy nie pojawiły się w miasteczku, choć niektórzy twierdzą, że nie, że to nie było tak, że ostatecznie Rigorito i jego ludzie znaleźli słynny skarb ukryty w pokoju Starej – złote i srebrne monety, drogocenne klejnoty oraz ten pierścionek sprawiający wrażenie, jakby był ze szkła, tak wielki, że miał w sobie drugi kamień – że zabrali to wszystko i uciekli jedynym wozem patrolowym w Villi. Mówi się, że w pewnej chwili, gdy minęli już Matacoquite,

chciwość wprawiła Rigorita w szal – postanowił zabić swoich ludzi, żeby nie dzielić się z nimi łupem. Mówi się, że najpierw kazał im oddać broń, a potem strzelił im w plecy, że uciął im głowy, by władze myślały, że to sprawka *narcos*, i uciekł ze wszystkimi pieniędzmi w nieznanym kierunku. Chociaż mówi się również, że nie, że to niemożliwe, że to raczej ludzie Rigorita, sześciu przeciw jednemu, zabili jego. Ponoć uciekinierzy zetknęli się z bandą zwiadowczą grupy Nowa Rasa, która przybyła z północy, aby posprzątać bałagan, jaki zostawiła za sobą Grupa Cienia na polach naftowych, i to właśnie tamta banda napadła na policjantów i może też na samego komendanta, którego trupa znajdą pewnie niedługo w jakimś zbiorowym grobie, kto wie, czy nie poćwiartowanego i ze śladami tortur oraz tabliczkami z wiadomością dla Cuca Barrabasa i pozostałych ludzi z Grupy Cienia.

Mówi się, że jest coraz bardziej gorąco, że niedługo wyślą piechotę morską, by zaprowadziła porządek w okolicy. Mówi się, że przez upał ludzie wariują, bo jak to możliwe, że o tej porze w maju nie spadła jeszcze ani jedna kropla deszczu. Że tegoroczne huragany będą silne. Że winę za tyle nieszczęść ponoszą złe wibracje, że te pozbawione głowy, poćwiartowane, zawinięte, zamknięte w workach ciała pojawiające się przy drogach polnych albo w wykopanych pospiesznie dołach wokół miejscowości to efekt tego, co wisi w powietrzu. Zabici w strzelaninach i wypadkach samochodowych, ofiary zemsty klanowej, gwałty, samobójstwa, zabójstwa w afekcie – jak to nazywają dziennikarze. Na przykład ten dwunastolatek, który z zazdrości zabił ciężarną narzeczoną ojca w San Pedro Potrillo. Albo tamten rolnik, który zabił syna na polowaniu, bo jak powiedział policji, myślał, że to borsuk, ale wiadomo, że stary chciał po prostu wziąć sobie żonę młodego i nawet po cichu się już z nią porozumiał. Albo tamta stara wariatka z Palogacho, co mówiła, że jej dzieci nie są tak naprawdę jej dziećmi, lecz wampirami, które chcą wyssać jej krew, i dlatego zabiła je deskami wyrwanymi ze stołu i drzwiami od szafy, a nawet telewizorem. Czy inna nieszczęśnica, która zadusiła córeczkę z zazdrości, że mąż nie zwraca uwagi na nią, tylko na dziecko, więc złapała za koc i przyciskała go do twarzy małej, aż ta przestała oddychać. Albo ci skurwysyni z Matadepity, którzy

zgwalcili i zabili cztery kelnerki, a których sędzia puścił wolno, bo nie było świadków wskazujących ich jako zabójców; mówi się, że zostali ostrzeżeni, i teraz te skurwiele są na wolności, jakby nic się nie stało...

Mówi się, że dlatego kobiety są podminowane, przede wszystkim te z La Matosy. Mówi się, że popołudniami zbierają się na tyłach domów, palą papierosy bez filtra i kołyszają najmniejsze dzieci w ramionach, wydmuchując ostry dym nad ich delikatnymi główkami, żeby odegnać wścibskie owady i cieszyć się nieco świeżym powietrzem od rzeki, cieszyć się chwilami, kiedy miasteczko wreszcie się uspokaja i prawie nie słychać muzyki dochodzącej z barów na poboczu i ryku ciężarówek jadących na pola naftowe ani wycia psów nawołujących się jak wilki po obu stronach równiny. Jest to pora opowiadania historii przez kobiety, które uważnie patrzą w niebo, szukając tego dziwnego białego zwierzęcia, co to siada na najwyższych drzewach i spogląda w dół, jakby chciało je przed czymś ostrzec. Żeby nie wchodziły do domu Wiedźmy, to na pewno, żeby unikały tamtych ścieżek i nawet nie przechodziły obok, żeby nie zaglądały przez szpary w ścianach. Niech opowiedzą dzieciom, dlaczego nie wolno iść szukać tam skarbu ani tym bardziej biegać z koleżkami po zrujnowanych pokojach i wchodzić na piętro, żeby sprawdzić, kto ma tyle odwagi, by wejść do sypialni na końcu korytarza i dotknąć płamy, jaką trup Wiedźmy zostawił na brudnym materacu. Niech opowiedzą im, w jakim przerażeniu wyszli stamtąd niektórzy, z zawrotami głowy wywołanymi nadal tam panującym smrodem, przerażeni widokiem cienia, który pojawia się na ścianie i zaczyna ich ścigać. Niech uszanują martwą ciszę w tym domu, ból nieszczęśnic, które tam mieszkały. To właśnie mówią kobiety z miasteczka: nie ma tam żadnego skarbu, nie ma złota, srebra ani diamentów, nie ma niczego poza dotkliwym bólem, który nie odpuszcza.

## VIII

**D**ziadek palił, siedząc na pniaku, podczas gdy pracownicy kostnicy kończyli rozładowywać karetkę. Liczył wszystkie, jedne po drugich, nawet te wybrukowane, będące tylko fragmentami człowieka, pozbawione twarzy i płci: pokryta pęcherzami stopa jakiegoś wieśniaka, który pewnie po pijaku koniecznie musiał oczyścić pole maczetą, palce i kawałki wątroby, skrawki skóry, które pozostały po operacjach w szpitalu nafciarzy. Pierwszy zmarły w całości, którego wynieśli, wydawał się zagłodzony – jego zmasakrowana skóra przypominała pergamin jak u kogoś, kto spędził pół życia, włócząc się bez sensu pod niemiłosiernym słońcem. Potem ta biedna poćwiartowana dziewczyna, przynajmniej nie była naga, biedulka, zawinęli ją w błękitny celofan – żeby jej odcięte członki nie rozsypały się na podłodze karetki, podejrzewał Dziadek. Potem noworodek, dziewczynka o malutkiej niczym owoc czirimoi głowie, podrzuciona pewnie przez rodziców w klinice, zanim umarła. I wreszcie najcięższy i najbardziej kłopotliwy ze wszystkich – pracownicy kostnicy musieli przytrzymać go w prześcieradłach, bo jego skóra im się wymykała, ilekroć próbowali złapać go za ręce i nogi – ten, który z pewnością sprawi Dziadkowi najwięcej problemów, więcej nawet niż poćwiartowana biedaczka, bo mimo że zmarł od noża i gwałtownie, był calusieńki, zgniły, ale cały, a tacy kosztowali najwięcej pracy, tak jakby nie godzili się ze swym losem, jakby mroki grobu ich przerażały. Ale tych dwóch durniów o tym nie wiedziało. Chcieli tylko naciągnąć Dziadka na papierosy, powiedzieć jakieś głupoty, żeby zobaczyć, co z niego wyduszą. Będzie więcej roboty, powiedział najchudszy. Niedawno natknęli się na policjantów z Villi, którzy zniknęli – byli nieźle obrobieni, bez głów. Dziadek palił nadal, wypuszczając długie powolne kłęby dymu, wzrok wbił w ciała, które tamtych dwóch wrzucało do dołu, obliczając, ile potrzeba piasku

i wapna. Lepiej wykopać drugi grób, rzucił blondas, który rzadko się odzywał, tylko obserwował Dziadka z głupiutkim uśmiechem. W tym zmieści się jeszcze ze dwadzieścia, odparł stary. Chudzielec się roześmiał: to samo powiedzieli w Villi, Dziadku, i widzisz, co mamy? Musimy przywozić ciała tutaj, bo tam już się nie mieszczą. Cmentarz poryty jest jak pole golfowe. Dziadek tylko przyjrzał im się półprzymkniętymi oczami. Może lepiej pochować ich na stojąco, zasugerował blondas, wrzucając niedopałek na dno grobu. Dureń tylko żartował, ale Dziadek wiedział, że to nigdy się nie udawało. Jeśli się ich nie położy wygodnie jednego na drugim, sprawią mnóstwo kłopotów. Nie będą się czuć dobrze, będą się poruszać, a ludzie ich nie zapomną, w takiej sytuacji zmarli zostawali w pułapce tego świata i potem plątali się po nim, czyniąc nieprzystojne rzeczy, skacząc po grobach, strasząc ludzi. Dziadek zapalił kolejnego papierosa i tylko kręcił lekko głową, podczas gdy pracownicy kostnicy w Villi patrzyli na niego w oczekiwaniu. Chcieli, żeby im opowiedział jedną ze swoich historii, to pewne, ale stary nie miał zamiaru sprawiać im tej przyjemności. Po co? Żeby potem rozpowiadali, że skubany Dziadek to niezły wariat? Niech spierdalają! Zwłaszcza ten pieprzony chudzielec, który zaczął plotkować, że Dziadek gada z umarłymi, a wszystko dlatego, że opowiedział mu coś w dobrej wierze, sądził, że gówniarz zrozumie, ale nie – wyszedł z cmentarza i ogłosił wszem wobec, że Dziadek słyszy głosy, że ma kuku na muniu, a stary chciał tylko wyjaśnić mu, że trzeba rozmawiać z trupami, kiedy się je chowa, kurwa, bo z jego doświadczenia wynikało, że tak jest lepiej, gdyż zmarli czują, że ktoś do nich mówi, wyjaśnia im różne sprawy i nieco ich pociesza, więc przestają wkurwiać żywych. Dlatego poczeka, aż dwóch kolesi odjedzie pustą karetką, zanim przemówi do tych nowych. Trzeba ich najpierw uspokoić, sprawić, by zrozumieli, że nie mają czego się bać, że cierpienie tego życia już się dla nich zakończyło, a ciemność wkrótce się rozproszy. Wiatr przecinał równinę i targał liśćmi migdałowców złożonymi na kupkach, tworzył małe burze piaskowe na odległych grobowcach. Nadchodzi woda, powiedział Dziadek do zabitych, z ulgą przypatrując się ciężkim chmurom pokrywającym niebo. Bogu niech będą dzięki, nadchodzi woda, powtórzył, ale wy się nie bójcie. Samotna gruba kropla spadła na rękę podtrzymującą łopatę.

Dziadek zbliżył grzbiet dłoni, żeby zlizać słodycz pierwszego w sezonie deszczu. Trzeba się pospieszyć, skończyć zakopywać ciała – najpierw warstwa wapna, potem warstwa piachu – zanim nadejdzie ulewa, potem trzeba położyć siatkę nad grobem i kamienie, żeby bezdomne psy nie wykopały nocą ciała. Ale wy bądźcie spokojni, powtarzał, mamrocząc tonem niewiele głośniejszym niż kocie mruczenie. Nie bójcie się i nie traćcie nadziei, zostańcie tu w spokoju. Niebo zapłonęło od błyskawicy i głuchy piorun wstrząsnął ziemią. Woda nie może już wam nic zrobić, a ciemność kiedyś przeminie. Widzieliście to światło w oddali? To światełko, co wygląda jak gwiazda? Musicie podążać ku niemu, wyjaśnił, tam znajduje się wyjście z tej dziury.

PODZIĘKOWANIA niech przyjmą: Fernanda Álvarez, Eduardo Flores, Michael Gaeb, Miguel Ángel Hernández Acosta, Oscar Hernández Beltrán, Yuri Herrera, Pablo Martínez Lozada, Jaime Mesa, Emiliano Monge, Axel Muñoz, Andrés Ramírez i Gabriela Solís – za gotowość przeczytania i skomentowania poszczególnych wersji tej powieści. Martín Solares – z tego samego powodu oraz za polecenie mi *Jesieni patriarchy* w odpowiedniej chwili. Josefina Estrada – za wskazówki, które mi mimowolnie przekazała dzięki swojej niezapomnianej kronice zatytułowanej *Señas particulares* (Znaki szczególne). Poświęcam książkę pamięci kostarykańskiej pisarki i aktywistki społecznej Carmen Lyry, autorki licznych opowiadań, wśród nich *Salir con domingo siete* (Wyjść z niedzielą siódmego), intymnej wersji tej ludowej historii o nieznanym pochodzeniu, na której się oparłam w powieści.

Dziękuję dziennikarzom Yolandzie Ordaz i Gabrielowi Hugemu – zamordowanym podczas rządów niesławnego Javiera Duarte de Ochoa – których notatki w sekcji kryminalnej i zdjęcia zainspirowały niektóre historie zamieszczone w książce.

Lourdes Hoyo dziękuję za troskę. Urielowi Garcíi Vareli za światełko w oddali, które jest jak gwiazda.

Eric, Hanna i Gris Manjarrez to najlepsza rodzina we wszechświecie, dziękuję, że również mogę stanowić jej część.

# SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Karta redakcyjna



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Temporada de huracanes*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Paulina Zyszczyk, Zyszczyk.pl

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce: © Anne Nygård / Unsplash.com

Copyright © Fernanda Melchor 2017, published in arrangement with Michael Gaeb Literary Agency, Berlin.

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Sosnowska, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2021

ISBN 978-83-66967-99-1



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek